

Manuskrypt CHOPINA

AUTORZY POWIEŚCI

JEFFERY DEAVER
LISA SCOTTOLINE
LEE CHILD
JOSEPH FINDER
DAVID HEWSON
PETER SPIEGELMAN
S.J. ROZAN
ERICA SPINDLER
JOHN RAMSEY MILLER
JAMES GRADY
P.J. PARRISH
JIM FUSILLI
DAVID CORBETT
JOHN GILSTRAP
RALPH PEZZULLO

Rozdział 1

JEFFERY DEAVER

Stroiciel fortepianów powtórzył kilka wznoszących się akordów, z lubością wyczuwając pod palcami opór ciężkich klawiszy z kości słoniowej. Słuchał, pochyliwszy łysiejącą głowę i zamknawszy oczy. Dźwięki wlatywały ku ciemnemu sufitowi sali koncertowej niedaleko warszawskiego Rynku Starego Miasta, a potem rozwiewały się jak dym.

Zadowolony z efektów swojej pracy, włożył kliny do tłumienia strun oraz sfatygowany klucz stroicielski do aksamitnego futerału i postanowił sprawić sobie przyjemność, grając kilkuminutowy fragment „Eine kleine Nachtmusik” Mozarta, tryskającej energią serenady, która należała do jego ulubionych utworów.

Zaledwie skończył, za jego plecami rozbrzmiało energiczne klaskanie i stroiciel gwałtownie się odwrócił. Pięć metrów od niego stał jakiś mężczyzna, z uśmiechem kiwając głową. Krępy, o opadającej na czoło czuprynie ciemnych włosów i szerokiej twarzy. Południowy Słowianin, pomyślał stroiciel. Przed wielu laty podróżował po Jugosławii.

- Cudowne. Och. Jakie piękne. Mówi pan po angielsku? - spytał mężczyzna z silnym obcym akcentem.

- Owszem.

- Gra pan tutaj? Na pewno. Z takim talentem.

- Ja? Nie, ja tylko stroję fortepiany. Ale stroiciel też musi radzić sobie z klawiszami... Czym mogę panu służyć? Sala jest nieczynna.

- A jednak, ma pan taką pasję do muzyki. To słychać. Nigdy nie chciał pan grać?

Stroiciel nie bardzo miał ochotę mówić o sobie, lecz o muzyce mógł rozmawiać nawet całą noc. Poza tym, że cieszył się opinią bodaj najlepszego stroiciela fortepianów w Warszawie, jeśli nie w całej centralnej Polsce, był zapalonym kolekcjonerem nagrań i oryginalnych rękopisów partytur. Gdyby miał odpowiednie środki, zbierałby także instrumenty. Raz zdarzyło mu się wykonać poloneza Chopina na fortepianie, na którym grał sam kompozytor;

uważał tę chwilę za jedną z najważniejszych w swoim życiu.

- Kiedyś. Ale tylko w młodości. - Stroiciel opowiedział nieznanemu o pełnym sukcesów wschodnioeuropejskim tournée Warszawskiej Orkiestry Młodzieżowej, w której występował jako drugi wiolonczelista.

Patrzył na mężczyznę, który z kolei badawczo przyglądał się fortepianowi.

- Jak powiedziałem, sala jest zamknięta, ale może pan kogoś szuka?

- Tak, szukam. - Południowiec podszedł bliżej i zerknął na instrument. - Ach, Bosendorfer. Jeden z najwspanialszych przykładów wkładu Niemiec w kulturę.

- O, tak - odrzekł drobny mężczyzna, pieszczotliwie gładząc czarny lakier i wypisaną gotykiem nazwę firmy - Doskonałość. Naprawdę. Chciałby pan wypróbować? Gra pan?

- Nie tak jak pan. Po pańskim występie nie ośmieliłbym się dotknąć nawet klawisza.

- Bardzo pan miły. Mówi pan, że kogoś szuka. Anny? Tej, która uczy się grać na waltorni? Była tu, ale chyba już wyszła. Nie ma już nikogo z wyjątkiem sprzątaczk. Jeżeli pan sobie życzy, mogę przekazać wiadomość komuś z orkiestry albo administracji.

Gość podszedł jeszcze bliżej i delikatnie przesunął palcem po klawiszu - z prawdziwej kości słoniowej, ponieważ fortepian wyprodukowano jeszcze przed wprowadzeniem zakazu jej używania.

- To z panem chciałem się spotkać - powiedział.

- Ze mną? Czy my się znamy?

- Widziałem dzisiaj pana.

- Doprawdy? Gdzie? Nie przypominam sobie.

- Jadł pan obiad w restauracji z widokiem na ten wielki budynek. Mam na myśli ten oryginalny gmach, najwyższy w Warszawie. Jak on się nazywa? Stroiciel się zaśmiał.

- Najwyższy w całym kraju. Pałac Kultury i Nauki. Prezent od Sowietów, który, jak się żartuje, podarowali nam w zamian za wolność. Owszem, jadłem tam obiad. Ale... czy my się znamy?

Nieznajomy przestał się uśmiechać. Oderwał wzrok od fortepianu i spojrzał w zmrużone oczy swojego rozmówcy.

Nagle, niczym nieoczekiwany i gwałtowny akord w symfonii „Niespodzianka” Haydna, stroiciela przeniknął strach. Mężczyzna wziął swój zestaw narzędzi i zerwał się z miejsca. Po chwili zamarł.

- Och - wykrztusił.

Za plecami nieznanego ujrzał leżące na podłodze przy wejściu dwa ciała: waltomistki Anny, a obok sprzątaczk. Ich bezwładne sylwetki były obramowane dwoma cieniami; jeden rzucało światło padające przez drzwi, drugi utworzyły kałuże krwi.

Południowiec, niewiele wyższy od stroiciela, lecz znacznie silniejszy, chwycił go za ramiona.

- Siadaj - szepnął łagodnie, popychając go na ławę i odwracając w stronę fortepianu.
- Czego pan chce? - drżącym głosem i ze łzami w oczach zapytał mężczyzna.
— Cii...

Dygocząc ze strachu, stroiciel pomyślał: „Ależ ze mnie głupiec! Powiniennem uciekać, kiedy tylko wspomniał o niemieckim rodowodzie Bosendorfera”.
Każdy, kto naprawdę znał się na fortepianach, wiedział, że instrumenty tej marki produkuje się w Austrii.

Kiedy zatrzymano go na krakowskim lotnisku imienia Jana Pawła II, nie miał wątpliwości, że ma to związek z zawartością jego teczki.

Był wczesny ranek, a on obudził się znacznie wcześniej w hotelu Pod Różą, który w Polsce lubił najbardziej z powodu osobliwego połączenia ornamentalnej klasyki i surowej nowoczesności, a także ze względu na fakt, że gościł tam Franciszek Liszt. Wciąż na wpół przytomny, bez porannej kawy czy herbaty, szybko otrząsnął się z otępienia, gdy stanęli nad nim dwaj umundurowani mężczyźni.

- Pan Harold Middleton? Uniósł wzrok.

- Tak, to ja.

I nagle uświadomił sobie, co się stało. Przeglądając jego aktówkę, funkcjonariusze ochrony lotniska zobaczyli coś, co ich zaniepokoiło. Młodzi ludzie uznali jednak, że rozsądniej będzie nic nie mówić. Przepuścili go, po czym wezwali wsparcie: tych dwóch roślących, ponurych mężczyzn. Spośród około dwudziestu pasażerów czekających w hali odlotów na autobus, który miał ich zabrać do samolotu Lufthansy lecącego do Paryża, w jego stronę spojrzęło kilka młodszych osób. Starsi, utemperowani latami komunizmu, nie mieli odwagi. Mężczyzna siedzący najbliżej Middletona, dwa krzesła od niego, odruchowo uniósł wzrok z błyskiem niejasnej obawy w oczach, że wezmą go za jego towarzysza. Kiedy się zorientował, że nie zamierzają go zaczepiać, z wyraźną ulgą wrócił do lektury gazety.

- Pan pozwoli z nami. Tam. Tak. Proszę. - Przesadnie grzeczny, zwalisty funkcjonariusz wskazał ruchem głowy stanowisko kontroli bezpieczeństwa.

- Wiem, o co chodzi. To po prostu nieporozumienie. - Przesycił głos cierpliwością, szacunkiem i życzliwością. Taki ton należało przybierać w kontaktach z miejscową policją, ton, dzięki któremu można było uniknąć kłopotów podczas przekraczania granicy. Middleton wskazał aktówkę. - Mogę pokazać panom dokumentację, która...

Drugi, milczący funkcjonariusz podniósł teczkę. Jego towarzysz powiedział:

- Proszę, pan pójdzie. - Uprzejmie, lecz nieustępliwie. Młody mężczyzna o

kwadratowej szczęce, sprawiający wrażenie, jak gdyby nie potrafił się uśmiechnąć, patrzył mu w oczy niewzruszenie i nie było żadnej dyskusji. Middleton wiedział, że Polacy stawili najbardziej zacięty opór hitlerowcom. Ruszyli razem przez maleńkie, niemal puste lotnisko - w środku niższy Amerykanin o przeciętnym wyglądzie, a po jego bokach wysocy funkcjonariusze. Pięćdziesięciosześcioletni Harold Middleton przytył o kilka kilogramów od minionego roku, w którym z kolei ważył odrobinę więcej niż w poprzednim. Ale, co ciekawe, jego waga - w połączeniu z gęstymi, ciemnymi włosami - sprawiała, że wyglądał na młodszego. Jeszcze pięć lat temu jego córka podczas uroczystości wręczenia dyplomów w college'u przedstawiła go kilku koleżankom z roku jako swojego brata. Wszystkie dały się nabrać. Ojciec z córką często się później z tego śmiali

Pomyślał teraz o niej, gorąco licząc w duchu, że zdąży na samolot, a potem na lot do Waszyngtonu, wieczorem zamierzał zjeść kolację z Charlotte i jej mężem w Tyson's Coraer. Miał ją zobaczyć po raz pierwszy, odkąd poinformowała rodzinę, że jest w ciąży.

Spoglądając jednak na czekającą przy punkcie kontroli bezpieczeństwa gromadkę mężczyzn - równie posępnych - zaczynał ze smutkiem zdawać sobie sprawę z tego, że kolacja może zostać odłożona na później. Nie wiedział tylko, na jak długo.

Opuścili strefę odlotów i podeszli do dwóch następnych mundurowych i mężczyzny w średnim wieku, ubranego w wymięty brązowy garnitur i równie wymięty brązowy prochowiec.

— Panie Middleton, jestem podinspektor Staniewski z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. - Nie wyciągnął żadnej legitymacji. Funkcjonariusze otoczyli Amerykankę ciasnym kołem, jak gdyby niepozorny mężczyzna był gotów utorować sobie drogę na wolność ciosami karate.

- Proszę pokazać paszport.

Middleton podał mu sfatygowaną, grubą granatową książeczkę. Staniewski przejrzał dokument, zerknął na zdjęcie, po czym dwukrotnie popatrzył na stojącego przed nim mężczyznę. Ludzie często mieli trudności z zauważeniem Harolda Middletona, nie pamiętali, jak wyglądał. Kolega jego córki powiedział kiedyś, że mógłby być dobrym szpiegiem; wyjaśnił, że najlepsi z nich są niewidzialni. Middleton wiedział, że to prawda; zastanawiał się tylko, skąd o tym wie kolega Charlotte.

- Mam mało czasu do odlotu.

- Pan nie poleci, panie Middleton. Nie. Wracamy do Warszawy. Do Warszawy? Dwie godziny drogi.

- To szaleństwo. Po co? Nie usłyszał odpowiedzi. Spróbował jeszcze raz.

- Chodzi o rękopis, prawda? - Pokazał aktówkę. - Wszystko wyjaśnię. Owszem, jest na nim nazwisko Chopina, ale jestem przekonany, że to falsyfikat. Nie ma żadnej wartości. To nie jest skarb kultury narodowej.

Poproszono mnie, żebym zabrał go do Stanów i dokończył analizę. Może pan zadzwonić do doktora... Podinspektor pokręcił głową.

- Rękopis? Nie, panie Middleton. Nie chodzi o rękopis. Chodzi o morderstwo.

- Morderstwo? Policjant zawahał się.

- Używam tego słowa, żeby uświadomić panu powagę sytuacji. Najlepiej będzie, jeżeli nie powiem już nic więcej. Dobrze panu radzę, żeby zrobił pan to samo.

- Mój bagaż...

- Pański bagaż jest już w samochodzie. A teraz... - Ruchem głowy wskazał główne wyjście. - Idziemy.

- Proszę wejść, panie Middleton. I usiąść. Tak, tam będzie dobrze... Nazywam się Józef Padło, jestem młodszym inspektorem policji. — Tym razem Middleton zobaczył legitymację, choć odniósł wrażenie, że chudy mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, lecz znacznie wyższy, mignął mu dokumentem tylko dlatego, że Middleton się tego spodziewał, i że ta formalność była obca polskim organom ścigania.

- O co w tym wszystkim chodzi, inspektorze? Pański człowiek mówił coś o morderstwie, ale nic więcej.

- Och, wspomniał o tym? - Padło skrzywił się. - Ten Kraków. W ogóle nas nie słucha. Trochę lepiej niż Poznań, ale niewiele.

Siedzieli w gabinecie o brudnobiałych ścianach, przy oknie wychodzącym na szare wiosenne niebo. W pomieszczeniu było sporo książek i wydruków komputerowych oraz kilka map, a jedyną dekorację stanowiły oficjalne listy pochwalne, osobliwie wyglądający w tym miejscu ceramiczny kaktus w kowbojskim kapeluszu, a także zdjęcia żony inspektora, jego dzieci i wnuków. Mnóstwo zdjęć. Rodzina sprawiała wrażenie szczęśliwej. Middleton znów pomyślał o córce.

- Jestem o coś oskarżony?

- W tym momencie nie. - Padło doskonale mówił po angielsku, dlatego Middleton nie zdziwił się, widząc na ścianie dyplom ukończenia przez niego kursów w Quantico i tekszańskim Instytucie Zarządzania Organami Ścigania. Ach, stąd ten kaktus.

- W takim razie mogę wyjść.

- Wie pan, mamy tu przepisy zakazujące palenia tytoniu. Wydaje mi się, że to wasza sprawka, pańskiego kraju. Jedną ręką dajecie nam Burger Kinga, a drugą zabieracie papierosy. - Inspektor wzruszył ramionami i zapalił Sobieskiego. - Nie, nie może pan wyjść. Proszę pana, wczoraj jadł pan lunch z Henrykiem Jedynakiem, stroicielem fortepianów.

- Tak, z Henrykiem... Och, nie. To on został zamordowany? Padło uważnie przyglądał się Middletonowi.

- Niestety, tak, on. Wczoraj wieczorem. W sali koncertowej niedaleko Rynku

Starego Miasta.

- Nie, nie... - Middleton nie znał tego człowieka zbyt dobrze, spotkali się dopiero podczas tego wyjazdu, ale natychmiast przypadli sobie do gustu i miło spędzili czas w swoim towarzystwie. Wiadomość o śmierci Jedynaka wstrząsnęła nim.

- Zginęły jeszcze dwie osoby. Muzyczka i sprzątaczką. Od ciosów nożem. Najprawdopodobniej bez powodu, tylko dlatego, że miały nieszczęście znaleźć się tam w tym samym czasie co zabójca.

- To straszne. Ale dlaczego?

- Długo pan znał Jedynaka?

- Nie. Wczoraj pierwszy raz spotkaliśmy się osobiście. Kilka razy wymieniliśmy się e-mailami. Był kolekcjonerem rękopisów.

- Rękopisów? Książek?

- Nie. Rękopisów muzycznych - partytur. Udzielał się też w Muzeum Chopina.

- W Zaniku Ostrogskich. - Inspektor powiedział to takim tonem, jakby słyszał o tym gmachu, ale nigdy tam nie był.

- Tak. Wczoraj po południu miałem spotkanie z dyrektorem Muzeum Czartoryskich w Krakowie i poprosiłem Henryka, żeby wcześniej opowiedział mi o nim i o ich kolekcji. Chodziło o partyturę Chopina, której autentyczność budziła wątpliwości.

Padło nie wykazał żadnego zainteresowania tą sprawą.

- Proszę mi opowiedzieć o tym spotkaniu. W Warszawie.

- Późnym rankiem wypiliśmy z Henrykiem kawę w muzeum, pokazał mi nowe nabytki w zbiorach. Potem wróciliśmy do centrum i zjedliśmy lunch. Nie pamiętam gdzie.

- W restauracji Fryderyk.

A więc zapewne tak znalazł go Padło - na podstawie wpisu w palmtopie albo terminarzu Jedynaka.

- Tak, zgadza się. A później każdy z nas poszedł w swoją stronę. Pojechałem pociągiem do Krakowa.

- Zauważył pan w restauracji kogoś, kto was śledził albo obserwował?

- Dlaczego ktoś miałby nas śledzić?

Padło głęboko zaciągnął się papierosem. Gdy odejmował go od ust, opuszczał rękę pod biurko.

- Zauważył pan kogoś? - powtórzył. - Nie.

Inspektor skinął głową.

- Panie Middleton, muszę panu powiedzieć... przykro mi, ale to ważne. Pański znajomy był przed śmiercią torturowany. Nie będę się wdawał w szczegóły, w każdym razie morderca w bardzo nieprzyjemny sposób wykorzystał strunę fortepianową. Pański przyjaciel został zakneblowany, żeby nikt nie słyszał krzyków. Jego prawa ręka została nieuszkodzona, prawdopodobnie po to, żeby mógł napisać to, czego żądał zabójca. Chciał od niego informacji.

- Boże... - Middleton na chwilę zaniknął oczy, przypominając sobie, jak Henryk pokazywał mu zdjęcia żony i dwóch synów.

- Ciekawe, co to mogło być - ciągnął Padło. - Ten stroiciel był bardzo znany i powszechnie lubiany. Był też nieskazitelnie uczciwym człowiekiem. Muzyk, fachowiec w swojej dziedzinie, mąż i ojciec. Wydaje się, że nie miał w życiu żadnych mrocznych sekretów. -Badawczy rzut oka na twarz Middletona. - Może jednak morderca sądził, że było inaczej. Może morderca sądził, że prowadzi on drugie życie, związane z czymś więcej niż tylko muzyką... - Kiwając głową inspektor dodał: - Trochę jak pan.

- Do czego pan zmierza?

- Proszę mi opowiedzieć o swoim drugim zajęciu.

- Nie mam innego zajęcia. Uczę muzyki i ustalam autentyczność rękopisów muzycznych.

- Ale niedawno miał pan jeszcze inne zajęcie.

- Owszem, miałem. Co to ma do rzeczy? Po chwili zastanowienia Padło rzekł:

- Ma, z powodu zbieżności pewnych faktów.

Znudzony śmiech.

- Co to właściwie ma znaczyć? - Była to najbardziej emocjonalna reakcja, do jakiej był zdolny Harold Middleton. Zawsze uważał, że tracąc kontrolę, traci się przewagę. Powtarzał to sobie, choć wątpił, czy w ogóle potrafi stracić kontrolę.

- Proszę mi opowiedzieć o swojej pracy, pułkowniku. Czy ktoś się jeszcze tak do pana zwraca: „pułkowniku”?

— Już nie. Ale dlaczego zadaje mi pan pytania, skoro już chyba zna pan na nie odpowiedz?

— Wiem parę rzeczy. Chcę poznać więcej. Na przykład, wiem tylko, że miał pan związki z MTKJ i MTTC, ale nie znam zbyt wielu szczegółów. Międzynarodowy Trybunał Kamy dla byłej Jugosławii powołany przez ONZ skazywał sprawców zbrodni wojennych popełnionych w trakcie tragicznych walk o skomplikowanym przebiegu, jakie w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku toczyli ze sobą Serbowie, Bośniacy, Chorwaci i Albańczycy. Skrót MTK oznaczał Międzynarodowy Trybunał Kamy utworzony w 2002 roku w celu osądzenia zbrodniarzy wojennych odpowiedzialnych za przestępstwa popełnione w każdym zakątku świata. Obydwa sądy miały siedzibę w Hadze i zostały ustanowione, ponieważ państwa zwykle dość szybko zapomniały o okrucieństwach dokonanych w ich granicach i niechętnie odszukiwały i wskazywały tych, którzy za nie odpowiadali.

- Jak to się stało, że zaczął pan z nimi współpracować? Wydaje mi się, że to dziwny przeskok, od służby w wojsku do międzynarodowego trybunału.

- I tak zamierzałem odejść z armii. Służyłem ponad dwadzieścia lat

- Mimo wszystko. Proszę mi o tym opowiedzieć. Middleton uznał, że tylko współpraca pozwoli mu stąd wyjść

w miarę szybko. Przy różnicy czasu wciąż miał szansę zdążyć do Waszyngtonu na późną kolację z córką i zięciem w hotelu Ritz Carlton. Pokrótkę wyjaśnił inspektorowi, że był oficerem wywiadu wojskowego w siedmiotysięcznym kontyngencie amerykańskim wysłanym do Kosowa w ramach sił pokojowych latem 1999 roku, kiedy jego kraj zaangażował się w ostatnią z wojen toczonych w byłej Jugosławii. Middleton stacjonował w bazie Camp Bondsteel w południowo-wschodniej części kraju, w sektorze nadzorowanym przez Amerykanów. Był to w przeważającej części wiejski obszar, nad którym górował szczyt Ljuboten, wznoszący się niczym Fudzi ponad stromymi zboczami wzgórz - terytorium etnicznie albańskie, jak większość Kosowa, wielokrotnie najeżdżane przez Serbów z innych rejonów tego kraju, jak i z Serbii Miloševicia, której było częścią. Walki już się prawie zakończyły - dziesiątki tysięcy tak zwanych humanitarnych bombardowań odniosło pożądany skutek - lecz oddziały rozjemcze pozostawały nadal w stanie najwyższego pogotowia, by zapobiec starciom między słynną z okrucieństwa serbską partyzantką a równie bezwzględną Armią Wyzwolenia Kosowa (UCK).

Padło słuchał tych informacji, kiwając głową i zapalając następnego papierosa.

- Krótco po tym, jak skierowano mnie do Camp Bondsteel, do dowódcy bazy zadzwonił generał z sektora brytyjskiego, niedaleko stolicy, Prisztiny. Znalazł coś ciekawego i we wszystkich oddziałach sił pokojowych szukał kogoś z doświadczeniem w kolekcjonowaniu sztuki.

- Dlaczego? - Padło patrzył na ukrytego pod blatem Sobieskiego. Zapach nie był aż tak okropny, jak spodziewał się Middleton, mimo to gabinet coraz bardziej wypełniał się dymem. Piekły go oczy.

- Przedstawię panu krótki rys historyczny. Sprawa sięga czasów drugiej wojny światowej.

- Słucham.

- Otóż wielu Albańczyków z Kosowa walczyło w jednostce Waffen-SS, w 21. Dywizji Górskiej. Ich głównym zadaniem była eliminacja oddziałów partyzanckich, ale mieli też okazję do dokonywania czystek etnicznych na Serbach, którzy od lat byli ich wrogami.

Pooraną głębokimi zmarszczkami twarz inspektora wykrzywił grymas.

- Ach, zawsze to samo, gdziekolwiek spojrzeć. Polacy kontra Rosjanie. Arabowie kontra Żydzi. Amerykanie kontra... - uśmiechnął się - wszyscy. Middleton zignorował jego uwagę.

- Dwudziesta Pierwsza podobno otrzymała jeszcze inną misję.

Po upadku Włoch i pewnej już inwazji aliantów Himmler, Göring i inni naziści, którzy rabowali ze wschodniej Europy dzieła sztuki, szukali bezpiecznego miejsca, gdzie mogliby je ukryć - tak aby nawet po upadku Niemiec alianci nie potrafili ich odnaleźć. Dwudziesta Pierwsza przywiozła

ponoć do Kosowa wyładowane po brzegi ciężarówki. To miało sens. Mały, słabo zaludniony kraj, leżący na uboczu. Komu przyszyłoby do głowy szukać tam zaginionego Cezanne'a czy Maneta? Ten brytyjski generał znalazł pewną starą cerkiew. Stała opuszczona od lat i ONZ-owska organizacja humanitarna urządziła w niej schronisko dla wysiedlonych Serbów. W piwnicy żołnierze odkopali pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt skrzyń pełnych rzadkich książek, obrazów i manuskryptów muzycznych.

- Ach, aż tyle?

- Tak. Sporo uległo zniszczeniu, część nie do odratowania, ale niektóre były prawie nietknięte. O książkach i obrazach wiedziałem niewiele, ale w college'u studiowałem historię muzyki i od lat zbierałem nagrania i rękopisy. Dostałem od dowództwa zgodę i polecałem rzucić na to okiem.

- I co pan znalazł?

- Och, nadzwyczajne rzeczy. Oryginalne utwory Bacha i jego synów, Mozarta, Handla, szkice Wagnera - niektóre nigdy dotąd nie ujrzały światła dziennego. Oniemiałem z wrażenia.

- Cenne?

- Naprawdę nie sposób określić w dolarach ceny takiego znaleziska. Miało przede wszystkim wartość kulturową, a nie finansową.

- Mimo to musiało być warte grube miliony?

- Tak sądzę.

- Co się potem stało?

- Zawiadomiłem o wszystkim Brytyjczyków i swojego generała, który uzyskał pozwolenie z Waszyngtonu, żebym tam został kilka dni i skatalogowałem, co się da. Rozumie pan, chodziło o dobrą prasę.

- Tak samo jak w policyjnej robocie. - Pożółkły kciuk zgniótł mocno papierosa, jak gdyby Padło zdecydował się raz na zawsze zerwać z nałogiem. Middleton wyjaśnił, że tego samego wieczoru zabrał wszystkie rękopisy i foliały, które zdołał unieść, do kwater Brytyjczyków w Prisztinie, gdzie spędził długie godziny na badaniu i katalogowaniu znaleziska.

- Następnego dnia rano byłem bardzo przejęty, ciekawiło mnie, co jeszcze uda mi się odkryć. Wstałem wcześniej, żeby wrócić...

Amerikanin spojrzał na miękką, żółtą teczkę leżącą na biurku inspektora, opatrzoną trzema wyblakłymi znaczkami. Unosząc wzrok, usłyszał głos Padły:

- To była cerkiew Świętej Zofii.

- Wie pan o tym? - zdziwił się Middleton. Wiadomość o tamtym wydarzeniu w swoim czasie pojawiła się w mediach, ale wkrótce -gdy świat skupił się na końcu milenium i informatycznym problemie roku 2000 - straciła na znaczeniu, niknąc w mrokach historii.

- Owszem. Nie zdawałem sobie sprawy, że pan w tym uczestniczył.

Middleton przypomniał sobie, jak zbliżał się do cerkwi, myśląc: „Musiałem

zerwać się naprawdę wcześniej, skoro żaden z uchodźców jeszcze się nie obudził, zwłaszcza że mieszka tu tyle dzieciaków". Nagle przystanął, zastanawiając się, gdzie są brytyjscy strażnicy. Poprzedniego dnia przed wejściem do świątyni stało dwóch żołnierzy.

W tym momencie otworzyło się okno na piętrze i wyrzała z niego kilkunastoletnia dziewczyna z twarzą na wpół przysłoniętą długimi włosami. Zawołała: „Zielona koszula, zielona koszula... Proszę... Zielona koszula". Nie od razu zrozumiał. Ale po chwili dotarło do niego, że dziewczyna ma na myśli jego mundur polowy i wzywa pomocy.

- Jak to wyglądało? - spytał cicho Padło. Middleton w odpowiedzi tylko potrząsnął głową. Inspektor nie domagał się od niego szczegółów. Zapytał: - Odpowiedzialny za to był Rugova?

Middleton jeszcze bardziej zdumiał się na wieść, że Padło wie o udziale byłego dowódcy Armii Wyzwolenia Kosowa Agima Rugovy. Ten fakt wyszedł na jaw dopiero później, kiedy Rugova i jego ludzie uciekli z Prisztiny, a historię Świętej Zofii pokryła gruba warstwa kurzu.

- Teraz pańska decyzja o zmianie zajęcia nabiera sensu, panie Middleton. Po wojnie został pan detektywem, żeby go wytropić.

- Zgadza się, w największym skrócie. - Uśmiechnął się, jak gdyby mogło to odpędzić wspomnienia tamtego ranka, żywe i wyraźne jak cyfrowe fotografie.

Middleton wrócił do Camp Bondsteel i odsłużył do końca swoją zmianę, spędzając większość wolnego czasu nad raportami wywiadu na temat Rugovy i wielu innych przestępców wojennych, jakich wydał targany konfliktami region. Po powrocie do Pentagonu robił to samo. Ale schwytanie ich i postawienie przed sądem nie należało do zadań armii amerykańskiej, więc nie zrobił żadnych postępów.

Dlatego po przejściu w stan spoczynku założył własną agencję w niewielkim kompleksie biurowym w północnej Wirginii. Nazwał ją Zespołem Ścigania Zbrodniarzy Wojennych i całymi dniami siedział przy telefonie i komputerze, tropiąc Rugovę i resztę. Nawiązał kontakt z Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii (MTKJ) i podjął z nim regularną współpracę, ten jednak wraz z siłami pokojowymi ONZ zajmował się polowaniem na grubszego zwierzka: Ratka Mladicia, Nasera Oricia i innych odpowiedzialnych za masakrę w Srebrenicy - najpotworniejszą zbrodnię w Europie od czasów drugiej wojny światowej - a także samego Milosevicia. Ilekroć Middleton trafiał na jakiś ślad, jego wysiłki spełzały na niczym. Mimo to nie potrafił przestać myśleć o tym, co się zdarzyło w cerkwi Świętej Zofii.

Zielona koszula, zielona koszula... Proszę. Uznał, że niewiele wskóra, pracując w pojedynkę w Ameryce. Tak więc po kilku miesiącach poszukiwań znalazł ludzi do pomocy: dwóch żołnierzy amerykańskich, którzy byli w Kosowie i pomagali mu w śledztwie w sprawie Świętej Zofii, i pracownicę organizacji humanitarnej z Belgradu, którą poznał w Prisztinie.

Przeciążony pracą MTKJ chemie przyjął ofertę od niezależnych partnerów współdziałających z prokuraturą. Grupie nadano nazwę Ochotnicy.

Lespasse i Brocco, młodzi żołnierze, kierowani pasją łowców; Leonom Tesla, kierowana pasją uwolnienia świata od cierpień, pasją, dzięki której ta całkiem zwyczajna kobieta stawała się piękna; i starszy od nich Harold Middieton, któremu pasja była obca, a kierowało nim... sam właściwie nie wiedział co. Oficer wywiadu, który chyba nigdy nie potrafił wykorzystać samego siebie jako osobowego źródła informacji.

Bez broni - w każdym razie w przekonaniu MTKJ i miejscowych organów ścigania - udało się im wytropić kilku kompanów zbrodniarza, a dzięki nim w końcu samego Rugove, który pod fałszywym nazwiskiem mieszkał w skandalicznie zamożnym domu w Nicei. Według wcześniejszych ustaleń zadanie Ochotników, z przyczyn natury etycznej, polegało jedynie na przekazaniu trybunałowi informacji i kontaktów; aresztowania miały dokonać Siły Stabilizacyjne NATO (SFOR), działające pod auspicjami ONZ - grupa wojskowa uprawniona do zatrzymywania zbrodniarzy wojennych z byłej Jugosławii - oraz miejscowa policja, o ile była skłonna do współpracy. W 2002 roku, opierając się na danych otrzymanych od Middletona i jego ekipy, oddziały francuskie i ONZ-owskie przypuściły szturm na dom i aresztowały Rugove.

Procesy przed trybunałem zwykle ciągną się w nieskończoność, ale po trzech latach skazano go za zbrodnie popełnione w cerkwi Świętej Zofii Rugova złożył apelację od wyroku, pozostając w haskim areszcie — zdaniem Middletona miejscu zdecydowanie zbyt przyjemnym.

Middieton wciąż miał w pamięci jego śniadą twarz o twardych rysach, na której malowały się pewność siebie i święte oburzenie, gdy w trakcie procesu przysięgał, że nigdy nie dopuścił się ludobójstwa ani czystek etnicznych. Rugova przyznał, że był żołnierzem, lecz zdanie w cerkwi Świętej Zofii nazwał „odosobnionym incydentem” nieszczęsnej wojny. Middieton powtórzył jego słowa inspektorowi.

- Odosobniony incydent - szepnął Padło.

- Przez takie aseptyczne sformułowanie wydaje się to jeszcze bardziej okropne, nie sądzi pan?

- Owszem. — Inspektor znów zaciągnął się papierosem. Middieton żałował, że nie ma pod ręką batonika. Przepadał za słodyczami, choć utrzymywał tę słabość w tajemnicy.

- Ciekawi mnie jedna rzecz - rzekł Padło. - Uważa pan, że Rugova działał na czyjeś polecenie? Że podlegał rozkazom kogoś innego?

To pytanie natychmiast obudziło czujność Middletona.

- Dlaczego pan o to pyta? - rzucił ostrym tonem.

- Działał na czyjś rozkaz?

Po chwili wahania Amerykanin postanowił współpracować dalej.

Przynajmniej na razie.

- Kiedy go szukaliśmy, słyszeliśmy plotki, że ktoś go wspiera. To brzmiało logicznie. Jego oddział UCK dysponował najlepszą bronią ze wszystkich grup w całym kraju, lepszą nawet niż niektóre regularne jednostki armii serbskiej. Byli najlepiej wyszkoleni i mogli wynająć pilotów, żeby porywać helikoptery. W Kosowie to była niespotykana rzecz. Krążyły pogłoski o dużych pieniądzach. Wyglądało na to, że Rugova nie podlegał rozkazom żadnego ze znanych dowódców Armii Wyzwolenia Kosowa. Trafiliśmy tylko na jeden ślad, który mógł świadczyć, że ktoś za nim stoi. Zostawiono dla niego wiadomość o depozycie bankowym. Była ukryta w egzemplarzu Fausta Goethego, który znaleźliśmy w mieszkaniu w Eze.

- Jakies tropy?

- Przypuszczaliśmy, że to Brytyjczyk albo Amerykanin. Może Kanadyjczyk. Wskazywały na to pewne sformułowania w liście.

- Wiadomo, jak się mógł nazywać?

- Nie. Od książki nadaliśmy mu przydomek „Faust”.

- Cyrograf z diabłem. Nadal poszukuje pan tego człowieka?

- Ja? Nie. Nasza grupa już się rozwiązała. Trybunał ciągle działa i prokuratorzy oraz EUFOR być może go szukają ale wątpię. Rugova siedzi, część jego towarzyszy też trafiła za kratki. Trzeba zapolować na grubszego zwierza. Zna pan to wyrażenie?

- Nie, ale rozumiem. - Padło zdusił następnego papierosa. - Jest pan młody. Dlaczego rzucił pan pracę? Robił pan coś ważnego.

- Młody? - Middleton uśmiechnął się. Po chwili spoważniał. -Przeszkodził splot okoliczności.

- To też beznamiętne sformułowanie. „Przeszkodził splot okoliczności”. Middleton spuścił wzrok.

- Proszę wybaczyć mi tę niepotrzebną uwagę. Jestem panu winien wyjaśnienia i za moment zrozumie pan, dlaczego o to wszystko wypytywałem. - Wcisnął guzik w telefonie i powiedział do słuchawki coś po polsku. Middleton na tyle dobrze znał język, by zrozumieć, że prosi o jakieś zdjęcia. Padło rozłączył się i powiedział:

- Podczas śledztwa w sprawie morderstwa stroiciela dowiedziałem się, że jest pan prawdopodobnie ostatnią - ściślej mówiąc, przedostatnią - osobą, która widziała go żywego. W jego notesie pod tą datą figurowało pańskie nazwisko i numer telefonu w hotelu.

Po sprawdzeniu w Interpolu i innych bazach danych dowiedziałem się o pańskiej współpracy z trybunałami. Była tam krótka wzmianka o Agimie Rugovie, a także całkiem świeża adnotacja, którą Interpol dodał zaledwie wczoraj.

- Wczoraj?

- Tak. Wczoraj zmarł Rugova. Prawdopodobną przyczyną śmierci było zatrucie.

Middleton poczuł łomot własnego serca. Dlaczego nikt go nie zawiadomił?

Po chwili uświadomił sobie, że przestał już utrzymywać kontakty z MTKJ, a wydarzeniami w cerkwi Świętej Zofii od lat nikt się nie interesował.

Odosobniony incydent...

- Dziś rano zadzwoniłem do więzienia i dowiedziałem się, że kilka tygodni temu Rugova zwrócił się do jednego ze strażników, oferując mu łapówkę w zamian za pomoc w ucieczce. Zaproponował grubą sumkę. „Skąd taki zubożały zbrodniarz wojenny może wziąć takie pieniądze?” - zapytał strażnik. Rugova powiedział, że wymienioną przez niego kwotę - sto tysięcy euro - zdobędzie jego żona. Strażnik zameldował o całej sprawie i na tym się skończyło. Ale przed cztere-

ma dniami Rugova miał gościa - jak się później okazało, człowieka o fałszywym nazwisku i z fałszywymi dokumentami. Po jego wyjściu Rugova zachorował i wczoraj zmarł od trucizny. Kiedy policjanci poszli zawiadomić jego żonę, odkryli, że od kilku dni nie żyje. Zginęła od ciosów nożem. Nie żyje... Middletona ogarnęła przemożna chęć, by zadzwonić do Leonory i przekazać jej tę nowinę.

- Gdy dowiedziałem się o pańskich związkach ze stroicielem fortepianów i śmierci tego samego dnia zbrodniarza wojennego, którego pan aresztował, poprosiłem o zdjęcie domniemanego mordercy, które zrobiła kamera więzienna. Pokazałem fotografię świadkowi, kobiecie, która widziała podejrzanego wychodzącego wczoraj wieczorem z sali koncertowej przy Rynku Starego Miasta.

- To ten sam człowiek?

- Nie miała wątpliwości, że tak. - Padło pozwolił sobie zapalić jeszcze jednego Sobieskiego. - Odnoszę wrażenie, że to pan stanowi centrum tego zagadkowego wiru wydarzeń, panie Middleton. Ktoś zabija Rugovę i jego żonę, a potem torturuje i zabija człowieka, z którym właśnie się pan spotkał. Teraz więc obaj jesteśmy wplątani w tę sprawę.

W tym momencie do gabinetu wszedł młody funkcjonariusz w mundurze, niosąc kopertę. Położył ją na biurku inspektora.

- Dziękuję - powiedział po polsku Padło.

Policjant skinął głową i rzuciwszy Amerykaninowi przelotne spojrzenie, zniknął.

Inspektor podał zdjęcia Middletonowi, który na nie zerknął.

- O mój Boże... - Wciągnął głęboko w płuca powietrze przesiąknięte dymem tytoniowym.

- Co takiego? - spytał Padło, widząc jego reakcję. - Zna go pan ze śledztwa w sprawie Rugovy?

Amerykanin uniósł wzrok.

- Ten człowiek... siedział obok mnie na lotnisku w Krakowie. Leciał tym samym samolotem do Paryża. - Przypomniał sobie mężczyznę w paskudnej marynarce w kratę.

- Nie! Jest pan pewien?

- Tak. Musiał zabić Henryka, żeby się dowiedzieć, dokąd wyjeżdżam
W jednej chwili wszystko stało się jasne. Ktoś - ten człowiek albo Faust, albo
być może to właśnie on był Faustem - ścigał Middletona
i pozostałych Ochotników.

Po co? Dla zemsty? Czegoś się bał? A może był inny powód? I dlaczego
miałby zabić Rugowę?

Amerikanin postukał palcem w telefon.

- Wsiadł do tego samolotu? Wylądował w Paryżu? Niech pan
sprawdzi.

Padło dotknął językiem kącika ust. Podniósł słuchawkę i zaczął mówić po
polsku tak szybko, że Middleton nie uchwycił z rozmowy
ani słowa.

Wreszcie inspektor odłożył słuchawkę.

- Tak, samolot wylądował i wszyscy wysiedli. Z wyjątkiem pana przylecieli
wszyscy pasażerowie z kartą pokładową. Ale co było potem? Nie wiadomo.
Porównają listę pasażerów z listą z odprawy paszportowej na de Gaulle'u -
żeby sprawdzić, czy opuścił lotnisko. I listy pasażerów odlatujących
samolotów, na wypadek gdyby zamierzał się przesiadać.

Middleton pokręcił głową.

- Musiał już zmienić tożsamość. Widział, jak mnie zatrzymano, więc używa
nowego paszportu.

- Może lecieć dokądkolwiek - rzekł inspektor.

Ale Middleton wiedział, że nie. Pytanie tylko, czy był w drodze do Afryki,
żeby odnaleźć Tesłę pracującą w organizacji humanitarnej, czy do Stanów,
gdzie Lespasse prowadził świetnie prosperującą firmę komputerową, a
Brocco wydawał biuletyn „JHuman Rights Observer”?

A może wsiadł do samolotu zmierzającego do Waszyngtonu, gdzie mieszkał
Middleton.

Nagle zmiękły mu kolana.

Przypomniał sobie, że pokazując z dumą zdjęcia, powiedział stroicielowi
fortepianów, że jego córka mieszka w Waszyngtonie.

Uroczą młodą damą, a jej mąż taki przystojny... Wyglądają na bardzo
szczęśliwych.

Middleton zerwał się na równe nogi.

- Muszę wracać do domu. Jeżeli będzie pan próbował mnie zatrzymać,
zadzwoń do ambasady. - Ruszył do drzwi.

- Chwileczkę - powiedział ostrym tonem Padło. Middleton obrócił się
gwałtownie.

- Ostrzegam pana. Niech mnie pan nie próbuje zatrzymać, bo...

- Nie, nie, chcę tylko... Proszę. - Podeszedł i podał mu paszport. Dotknął
ramienia Middletona. - Niech mnie pan posłucha. Mnie też zależy na złapaniu
tego człowieka. Zabił troje obywateli mojego kraju. Bardzo mi na nim zależy.

Proszę o tym pamiętać.

Inspektor chyba coś jeszcze dodał, ale Middleton już biegł nieskończenie długim korytarzem, szarym jak wszystkie pokoje, szarym jak niebo, i szperał w kieszeniach, szukając telefonu komórkowego.

Rozdział 2

DAVID HEWSON

Felicja Kamińska po raz pierwszy zauważyła tego kloszarda przed Panteonem, kiedy grała muzykę cygańską, ulubione rzymskie melodie, cokolwiek, na dźwięk czego ludzie wrzuciliby parę monet do szarego, sfatygowanego futerału na skrzypce, który odziedziczyła po matce wraz z zajmującym go stuletnim włoskim instrumentem o czystym tonie. Mężczyzna słuchał ponad dziesięć minut, cały czas pilnie ją obserwując. Potem podszedł bliżej, tak blisko, że poczuła woń potu i ludzkiego ciała, która zawsze otaczała mieszkańców ulicy, choć sami nie zwracali na nią uwagi.

- Zagraj mi „Volare” - mruknął po angielsku. Miał szorstki głos i mówił z akcentem, którego nie potrafiła rozpoznać. Trzymał w ręku wymięte i brudne dziesięć euro. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, choć trudno było dokładnie określić. Przy wzroście co najmniej metra osiemdziesięciu był muskularny i wyglądał na wysportowanego, choć sama myśl, że mógłby być sportowcem, wydawała się nedorzeczną.

- „Volare” to piosenka, proszę pana, nie utwór na skrzypce - odrzekła niczym nastolatka, bardziej nieuprzejmie, niż być może podpowiadałby rozsądek. Jego twarz, mimo że na wpół ukryta pod czarną zaniedbaną brodą, zdradzała przenikliwość i spostrzegawczość. Mężczyzna sprawiał na Felicji wrażenie bystrzejszego niż większość włóczęgów, którymi byli albo starsi Włosi wygnani z domów przez ciężkie czasy, albo cudzoziemscy clandestini, Irakijczycy, Afrykanie i przedstawiciele mozaiki narodów bałkańskich: wszyscy małomówni, wszyscy w sobie tylko znany sposób poruszający się po ciemnym, tajemniczym świecie nieznanymi reguł ekonomicznych, próbujący przetrwać bez dokumentów.

Jej odpowiedź zabrzmiała zuchwale i nierozsądnie także z innych, bardziej istotnych powodów. Kwota, którą dostała na początek od wuja, była niewielka, choć zważywszy na jego skromne życie stroiciela fortepianów w

Warszawie, miał bardzo hojną rękę. Dwa miesiące wcześniej, w dniu jej dziewiętnastych urodzin, nieoczekiwanie oznajmił, że jego rola jako opiekuna Felicji właśnie dobiegła końca i nadszedł czas, by dziewczyna rozpoczęła nowe życie na Zachodzie. Wybrała Włochy, ponieważ pragnęła piękna i słonecznej pogody i nie miała ochoty dołączać do strumienia Polaków migrujących do Anglii. Przejazd brudnym, poruszającym się w żółtym tempie autobusem kosztował pięćdziesiąt euro, a pokój w nędznym domu studenckim na San Giovanni pochłaniał kolejne dwieście euro tygodniowo, podobnie jak lekcje włoskiego w szkole języków obcych. Dzięki dostatecznej znajomości angielskiego mogła znaleźć pracę w barze, ale tylko w knajpkach dla turystów za „polską stawkę”, jak nazywali ją właściciele, czyli cztery euro za godzinę, mniej niż wynosiła ustawowa płaca minimalna. Jadła jak ptaszek, głównie gotową pizzę rustica, często obrzydliwą, ale za niecałe dwa euro. Nigdzie nie wychodziła i z nikim nie zdążyła się zaprzyjaźnić. Mimo to pieniądze od wuja Henryka topniały z tygodnia na tydzień. Nie mogła ze spokojnym sumieniem zadzwonić do niego i prosić o więcej.

- Wiem, że to piosenka - odparł kloszard z nieprzyjemnym uśmiechem na ledwie widocznej twarzy. I zanucił fragment - głosem nieżyjącego od lat amerykańskiego piosenkarza, który pamiętała z dni, gdy jej rodzice słuchali muzyki z taniego zestawu stereo, wspominając czasy w Stanach, gdzie mieszkali przed powrotem do nowej, wolnej Polski w poszukiwaniu innego życia. Przypomniała sobie nazwisko piosenkarza: Dean Martin. A także melodię, więc zagrała ją, w bezbłędnej tonacji, z pamięci, nieco improwizując w stylu Stephane'a Grappellego, nadając każdej frazie jazzowy swing, tak że prawie nie można było rozpoznać oryginału.

Świetnie grała na skrzypcach. Czasem, kiedy się nudziła albo wśród publiczności znalazł się ktoś muzyczny, wyciągała z futerału nuty, prosiła któregoś ze słuchaczy o ich przytrzymanie i grała mazurka „Obertas” Wieniawskiego, okraszonego fajerwerkami dwu-dźwięków, flażoletów i wykonywanym palcami lewej ręki pizzicato. Jej rodzice także byli uzdolnieni muzycznie: matka była skrzypaczką, a ojciec znakomitym pianistą. Odkąd tylko sięgała pamięcią, uczyli ją muzyki, którą ich dom zawsze rozbrzmiewał tak naturalnie jak śmiechem, aż do tamtego strasznego dnia, gdy zniknęli, a Felicję przygarnął pod swoje skrzydła wuj Henryk.

Kloszard spojrzał na nią jak gdyby popełniła ciężki grzech.

- Spieprzyłaś to - prychnął. - Gówniarno. Wiesz, kim jesteś? - Spojrzał na swoje ubranie: brudny płaszcz cuchnący potem i moczem, przewiązany nieco teatralnie kawałkiem sznurka. - Kimś tylko trochę lepszym ode mnie. I tyle. Potem wrzucił do futerału jedno euro i ciężkim krokiem ruszył w stronę Largo Argentina, otwartej przestrzeni, gdzie zwykle wsiadała do autobusu, wracając do domu, nieodmiennie zafascynowana widokiem zrujnowanych

starożytnych świątyń - bezkształtnego skupiska zniszczonych kolumn i kamieni, zamieszkanego przez miauczące tabuny zdziczałych kotów, kawałka historii, którego nie zauważał już nikt poza nią i przechodzącymi tamtędy turystami. Felicja nie lubiła kotów. Bezcelne, agresywne i natarczywe, włąziły do futerału na skrzypce, otwartego na zbiórkę pieniędzy. Oprócz nut i kalafonii zaczęła więc nosić mały pistolet na wodę, stylizowany na wojskową broń, którym płoszyła koty, gdy stawały się zbyt natrętne.

Potem natknęła się na tego włóczęgę jeszcze czterokrotnie. Dwa razy przy fontannie di Trevi. Raz na Campo dei Fiori. Raz przed nowym muzeum poświęconym Ara Pacis, wzniesionemu przez cesarza Augusta Ołtarzowi Pokoju, który znajdował się teraz w nowoczesnym, kubistycznym pawilonie przy niezwykle ruchliwej arterii biegnącej wzdłuż Tybru. Zdziwiła się, widząc go przed tym budynkiem. Było to raczej nietypowe miejsce dla włóczęgów, a ona przyłapała go, gdy zaglądał przez szyby, oczarowany przepięknie rzeźbionym monumentem, na który sama też jedynie rzuciła okiem z zewnątrz, ponieważ opłata za wstęp przekraczała jej możliwości finansowe. Bezdomni rzadko oglądają zabytki Cesarstwa Rzymskiego, pomyślała. Większość z nich w ogóle niczego nie oglądała.

I znów się zjawiał - tego upalnego, słonecznego poranka przy Via delie Botteghe Oscure, na cotygodniowym targu, o którym mówił jej wuj. Targ odbywał się u wylotu Via dei Polacchi - ulicy Polaków - i budził w niej tęsknotę za domem, ilekroć tam trafiła. Ubodzy emigranci z Polski gromadzili się tu na zaimprovizowanym bazarze, który po części był ekonomiczną koniecznością, po części formą potwierdzenia ich wspólnych korzeni. Przyjeżdżali pordzewiałymi samochodami i furgonetkami, buchającymi kłębami spalin, z numerami rejestracyjnymi z Warszawy i Gdańska. Potem szybko, aby nie zwrócić uwagi policji, otwierali drzwi i bagażniki i zaczęli handlować towarami, których przybysze z Polski nie mogli znaleźć lub, co bardziej prawdopodobne, na które nie było ich stać w nowym kraju: sprzedawali wódkę i kiełbasę, szynkę i ciasta; część tych dóbr była bez wątpienia domowej roboty, niektóre być może zostały przywiezione nielegalnie.

Felicja nie знаła nikogo spośród tych ludzi. Czasem jednak biedni okazywali się najbardziej hojni, zwłaszcza jeśli się dowiedzieli, że też jest Polką, że jest w mieście sama i wciąż czuje się nieco zagubiona. Kiedy runął mur berliński, Felicja miała dwanaście miesięcy i mieszkała w ciasnej norze na przedmieściach Chicago. Wiedziała o tym fakcie, ponieważ rodzice często jej opowiadali, jaka radość nastąpiła później. Z jaką niecierpliwością wyczekiwali powrotu do kraju, z którego uciekli, by zrzucić pęta komunizmu.

Ilekroć mówili o tej decyzji, ich oczy zawsze zasnuwał cień. Felicja zrozumiała dlaczego, dopiero gdy dorosła. Opuszczając Polskę, zostawiali czarno-biały świat, a wrócili do świata mieniającego się różnymi odcieniami szarości. Przed

jej urodzeniem panował ponury czas władzy tajnych służb i okrutnych, arbitralnie wymierzanych kar za sprzeciw wobec systemu, ale nikt nie musiał pokonywać tysięcy kilometrów, by zarabiać na życie w jakimś odległym kraju. Mówili, że wraz z niepodważalnym złem, czego nikt nie negował, stracono

też coś dobrego. Rozmawiając ze starymi ludźmi gromadzącymi się u wylotu Via dei Polacchi, Felicja uświadomiła sobie, że oddziela ją od nich przepaść nie do przebycia, że dręczą ich jakieś wyrzuty sumienia i poczucie straty, które były jej zupełnie obce. Czuła też jednak, że łączy ich pewna więź. Felicja była Polką i była biedna. Kiedy uderzyła we właściwą strunę - grając mazurka czy poloneza - widziała wokół siebie zamglone spojrzenia i słyszała brzęk drobnych monet rzucanych do futerału.

A tego dnia dołączył do nich ten włóczęga, mierząc ją nieprzyjaznym wzrokiem, który zdawał się mówić... jak ci nie wstyd, jak ci nie wstyd. Grając wolny taniec ludowy, powiedziała sobie, że jeśli nadal będzie jej okazywał takie zainteresowanie, zgani go odważnie i głośno, przy wszystkich. Żeby włóczęga mówił o wstydzie? Kto mu dał prawo...? Nagle, czując na ramieniu czyjąś dłoń, opuściła skrzypce. Odwróciwszy się, ujrzała przyjazne jasnoniebieskie oczy mężczyzny w średnim wieku, ubranego w szary garnitur. Miał bladą, mięsistą twarz o rumianych policzkach, pokrytych krótkim zarostem, przerzedzone jasne włosy, zachowywał się ze spokojem i pewnością siebie często spotykaną u osoby sprawującej jakiś urząd, pracownika administracji albo dyrektora szkoły.

- Pięknie grasz, Felicjo - powiedział po polsku.

- Czy my się znamy?

Z kieszeni marynarki wyciągnął legitymację i mignął nią przed oczami Felicji, zbyt szybko, by zdążyła odczytać i zrozumieć choćby słowo.

- Nie. Jestem funkcjonariuszem polskiej policji, oddelegowanym do Rzymu.

Nie ma potrzeby, żebyśmy się znali.

Musiała wyglądać na przestraszoną. Położył jej dłoń na ramieniu i ciepłym, pełnym otuchy głosem powiedział:

- Nie bój się. Nie ma powodów do niepokoju. - Sympatyczny uśmiech zniknął z jego twarzy. - Spełniam po prostu smutny obowiązek, jaki od czasu do czasu spada na ludzi mojej profesji. Chodź, zapraszam cię na kawę. Za rogiem jest taki mały lokal.

Mężczyzna był tak miły i mówił tak przekonująco, że Felicja odruchowo skręciła za nim w Via dei Polacchi, mimo że nie potrafiła sobie przypomnieć, by znajdowała się tam jakaś kawiarnia.

Gdy byli w połowie ulicy, mężczyzna zatrzymał ją w cieniu budynku. W jego oczach malowały się smutek i współczucie.

- Przykro mi - rzekł cichym, spokojnym głosem. - Niełatwo mi to powiedzieć. Twój wuj Henryk nie żyje.

Poczuła bolesny ucisk w żołądku.

- Nie żyje?

- Został zamordowany podczas pracy. Razem z nim zginęły jeszcze dwie osoby. Tak to już jest na tym świecie.

- W Warszawie? Wzruszył ramionami.

- Kiedyś na pewno nie doszłoby do czegoś takiego. Nie w dawnych czasach. Ludzie czuli za duży respekt. I za duży strach.

W głowie Felicji kłębiło się mnóstwo pytań, lecz żadne nie potrafiło się sformułować w sensowne zdanie.

- Muszę wracać do domu - wykrztusiła w końcu. Mężczyzna przez chwilę milczał, zastanawiając się, z zupełnie

innym wyrazem oczu, którego nie umiała odgadnąć.

- Nie stać cię na powrót do domu - zauważył, marszcząc brwi. - Zresztą co cię tam może czekać? Tak naprawdę to nigdy nie był twój kraj.

Wąska ulica była pusta. Rozpalone słońce nagle przysłoniła chmura, pogrążając całą okolicę w mroku.

- Stać mnie na bilet na autobus - odrzekła, czując wzbierający w niej gniew.

- Nie, nie stać cię - odparł i chwycił ją za ramiona. Był silny. Niebieskie oczy błysnęły, wpatrując się w nią natarczywie, ostro. - Co dostałaś od wuja? Co ze sobą przywiozłaś?

Usiłowała się wyswobodzić. Bezskutecznie. Trzymał ją w żelaznym uścisku.

- Trochę pieniędzy... Dwa tysiące euro. To wszystko, co miał.

- Nie pieniądze - warknął mężczyzna, podnosząc głos. — Nie mam na myśli żadnych pieniędzy.

Odwrócił łokieć w taki sposób, że jego przedramię znalazło się pod brodą Felicji i przyparło ją do ściany, podczas gdy druga ręka wyszarpnęła jej futerał. Mężczyzna błyskawicznie pochylił głowę, otworzył zębami zatrzask i z trudem odchylił pokrywę.

- Tandetny instrument - burknął, po czym cisnął skrzypce na ulicę. Z futerału wyfrunęły kartki z nutami, opadając na bruk niczym jesienne liście. - Co ci dał?

- Nic. Naprawdę nic...

Urwała. Mężczyzna, wyrzuciwszy smyczek i ostatni kawałek kalafonii, trzymał w palcach jedyną zapasową strunę A, Thomastik-Infeld Dominant.

Cofnął łokieć. Zanim Felicja zdążyła rzucić się do uciecz-

ki, złapał ją i wymierzył jej potężny cios w brzuch. Powietrze uciekło jej z płuc, a oczy wypełniły się łzami strachu i wściekłości.

Odyskując oddech, zobaczyła, że mężczyzna zawiązał na strunie pętlę, którą błyskawicznie zarzucił jej na głowę, zsunął na szyję i pociągnął, niezbyt silnie, ale na tyle mocno, by poczuła na gardle chłód wpijającego się w skórę metalu.

- Biedna zagubiona dziewczynka - szepnął jej prosto do ucha, oblewając ją gorącym, obrzydliwym oddechem. - Bez domu. Bez przyjaciół. Bez przyszłości. Pytam ostatni raz... Co on ci dał?

- Nic... Nic...

Struna Thomastik-Infeld Dominant zaczęła się zaciskać. Felicja była świadoma własnego oddychania, ciągłego, rytmicznego ruchu mięśni, który zawsze uważała za coś naturalnego. Twarz mężczyzny wydawała się coraz większa. Uśmiechał się. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że osiągnął to, czego pragnął od początku.

Nagle uśmiech zamarł, a z ust mężczyzny wyrwał się zwierzęcy pomruk. Jego ciało runęło naprzód, przygniatając ją do muru, spomiędzy zaciśniętych zębów trysnęła szkarłatna krew. Felicja odwróciła głowę od czerwonej strużki spływającej mu po brodzie i zaczęła rozpaczliwie szarpać zadziergniętą na szyi strunę, aż rozluźniła pętlę i wreszcie ją zdjęła.

Jakaś siła odrzuciła na bok mężczyznę w szarym garniturze. Stał przed nią tamten włóczęga. W zaciśniętej dłoni trzymał długi nóż, którego całe ostrze było zbroczone krwią.

Cisnął broń na ziemię i wyciągnął rękę.

- Chodź ze mną - powiedział. - Za rogiem stoi samochód, siedzi w nim trzech ludzi. Nie będą czekać w nieskończoność.

- Kim pan jest? - wykrztusiła. Wciąż kręciło się jej w głowie i z trudem łąpała oddech.

Samochód zaczął skręcać w ulicę, która okazała się za wąską, by mógł wykonać ten manewr za jednym razem. Słońce wychynęło zza chmury.

Okolicę wokół nich zalał jasny, oślepiający blask, wydobywając z cienia ich sylwetki. Felicja usłyszała głosy mówiące po polsku i z akcentami, których nie potrafiła rozpoznać. Brzmiała w nich wściekłość.

- Jeżeli tu zostaniesz, zginiesz - nie ustępował włóczęga. - Tak jak twój wuj.

Jak twoi rodzice. Chodź ze mną!

Schyliła się, podniosła z bruku skrzypce i smyczek, upychając je pospiesznie w futerał wraz z ocalałymi nutami. Pościli się biegiem.

Za rogiem czekał na nich skuter. Nowiutka fioletowa vespa z nalepką wypożyczalni na tylnym błotniku. Felicja automatycznie zajęła tylne siodełko i chwyciła się mocno, cały czas przyciskając do siebie futerał ze skrzypcami. Włóczęga ruszył i z rykiem silnika zaczął kluczyć wąskimi uliczkami, próbując zgubić ścigający ich wóz.

Nie było to łatwe zadanie. Odwróciwszy się, Felicja zobaczyła samochód, który jechał za nimi pod prąd wąskimi alejkami, ocierając się o mury. Lubiła tę dzielnicę ze względu na niezwykle widoki i bogactwo budynków pochodzących z różnych stuleci, nierzadko pamiętających czasy Juliusza Cezara.

Wiedziała, że jadą pod prąd, ale włóczęga skierował skuter w uliczkę, zanim zdążyła mu o tym powiedzieć. Vespa zahamowała z piskiem opon na końcu

ślepego zaułka, zamkniętego czarną, świeżo malowaną żelazną balustradą, znad której rozpo-ści
ścierał się widok na labirynt ruin wokół Pescarìa, targu rybnego z czasów cesarstwa, prowadzącego do ogromnego kikuta Teatru Marcellusa, który wyglądał jak ucięte gigantycznym nożem mniejsze Koloseum. W stronę skupiska zniszczonych kolumn i murów biegła tylko wąska ścieżka. Pobiegli nią przez trawę, z rzadka porastającą niski skamieniały las z przysypanego pyłem granitu i marmuru. Felicja słyszała za plecami wołania po polsku i okrzyki bólu. Potem rozległ się strzał. Silna ręka włóczęgi złapała ją akurat w chwili, gdy potknęła się o kanelo-wany fragment kolumny. Zdyszana znalazła się nagle na ruchliwej, wypełnionej wściekłym hałasem ulicy pod wyniosłą budowlą teatru. Bezdomny pociągnął ją w sam środek roju samochodów. W połowie ulicy zobaczyli młodego człowieka na skuterze; spod kasku spływały mu na kark długie, ciemne włosy. Włóczęga kopniakiem zrzucił go z siedzenia i krzyknął do niej, żeby zajęła miejsce z tyłu. Nie musiała się zastanawiać. Nie chciała. Zaczęli przemykać krętą drogą wśród zablokowanych w korku pojazdów, dotarli do chodni ka od strony rzeki i po bruku pomknęli w kierunku Lungotevere. Panował tam równie gęsty ruch. Felicja odważyła się spojrzeć do tyłu. Po drugiej stronie ulicy ujrzała trzech mężczyzn, którzy przeciskali się między samochodami z pistoletami w rękach. Zakłęła. Zaczęła się modlić. Po chwili znaleźli się nad Tybrem i z turkotem zjechali po stopniach prowadzących na brzeg i szerokie betonowe bariery przeciwpowodziowe. Przed dwoma dniami Felicja spacerowała tu, rozmyślając, próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie jest jej miejsce. Nie skończyła jeszcze dwudziestu lat, urodziła się w kraju, który o niej zapomniał, nie miała rodziców. Teraz jeszcze straciła wujka, który pospieszył jej na ratunek, gdy została osierocona. Kurczowo trzymała się siodełka, z niezłomnym postanowieniem, że kiedy człowiek, który uratował ją i porwał, ponownie na nią spojrzy, nie zobaczy w jej oczach łez. Po niecałym kilometrze długim przejściem wydostali się z powrotem na jezdnię i już wolniej ruszyli przez San Giovanni. Kiedy mijali ulicę, przy której mieszkała, Felicja pożegnała się w duchu ze swoim niewielkim dobytkiem: rzadko czytana Biblią, paroma fotografiami, skromną garderobą, teczką na nuty z ukochanymi utworami. Dotarli na autostradę i dostrzegła drogowskaz na lotnisko. Kilka kilometrów przed Fiumicino włóczęga skrzył na podjazd niskiego, nowoczesnego hotelu, znalazł wolne miejsce w głębi parkingu, zatrzymał vespe i wyłączył silnik. Felicja, nie czekając na sygnał, zsiadła ze skutera.
- Dobrze się spisałaś - powiedział, patrząc na nią.

- Miałam inne wyjście?

- Nie masz, jeżeli chcesz żyć. Zapomniałaś już, że grozi ci poważne niebezpieczeństwo?

Zerknęła na skuter.

- A więc jest pan złodziejem?

Skinął głową, a Felicja nie była pewna, czy pod brudną zmierzwioną brodą nie zaigrał lekki uśmiech.

- Złodziejem. Masz rację, Felicjo. Musimy wejść do środka. Gdy szybkim krokiem mijali recepcję, pomachał kluczem. Weszli na pierwsze piętro, gdzie otworzył drzwi i wprowadził ją do pokoju. To był apartament, drogi i elegancki, jaki można zobaczyć tylko w filmach. Na podłodze stały dwie spakowane walizki. Na poduszkach leżały rozsypane czekoladki. Mężczyzna podał jej kilka. Pochłonęła je łapczywie. Czekolada była wyborna. Felicja zrozumiała, że pokój, który stał pusty być może nawet przez kilka tygodni, kosztował go fortunę.

- Masz przy sobie paszport? - spytał mężczyzna.

- Oczywiście. Takie są przepisy. Pokazała mu.

- Mówię o drugim. Masz podwójne obywatelstwo. To ważne.

- Nie. - Energicznie pokręciła głową. - Jestem tylko Polką. Traf tak chciał.

- Szczęśliwy traf - mruknął mężczyzna - nie potrafiła już o nim myśleć „włóczęga” - i podniósł teczkę stojącą obok łóżka. Wyciągnął z niej niebieski dokument: amerykański paszport.

- Teraz nazywasz się Joanna Phelps. Twoja matka była Polką, co usprawiedliwia twój akcent. Studiujesz w college'u w Baltimore. Dobrze to zapamiętaj.

Nie wzięła paszportu, choć nie mogła oderwać wzroku od złotego orła na okładce.

- Dlaczego? - zapytała.

- Wiesz dlaczego, Felicjo - odparł. - Naprawdę nie...

Niespodziewanie chwycił ją mocno za ramiona i potrząsnął jej drobnym ciałem. Jego spojrzenie było ostre i świdrujące.

- Jak się nazywasz? Jak się nazywasz?

- Nazywam się Felicja Kamińska. Mam dziewiętnaście lat. Jestem obywatelką Rzeczypospolitej Polskiej. Urodziłam się...

- Felicja Kamińska nie żyje - przerwał jej. - Uważaj, żebyś do niej nie dołączyła.

Puścił ją i rzekł:

- Nikomu nie otwieraj. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, jedzenie i picie masz w barku. Ja tymczasem... - obrzucił niechętnym spojrzeniem swoje brudne ubranie - muszę coś zrobić.

Wyciągnął z torby czyste rzeczy i zniknął w łazience. Felicja popatrzyła na drugą walizkę. Wyglądała na drogą. Na przywieszce widniało nazwisko „Joanna Phelps” i adres w Baltimore. Felicja otworzyła ją i zobaczyła

mnóstwo nowych dzinsów, spódnic, bluzek i bielizny. Wszystkie rzeczy były w jej rozmiarze i musiały kosztować więcej, niż wynosił jej miesięczny zarobek.

Gdy mężczyzna wyszedł z łazienki, był ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i elegancki, czerwony jedwabny krawat. Mógł mieć nie więcej niż czterdzieści lat, był przystojny, miał włoski typ urody, ziemistą cerę, gdzieś tam zaczerwienioną po goleniu, przenikliwe ciemne oczy i długie włosy, prawie czarne, lekko przyprószone siwizną, mokre po prysznicu i gładko zaczesane do tyłu. Jego twarz była poprzecinana nienaturalnie głębokimi zmarszczkami, które mogły świadczyć o jakimś bolesnym doświadczeniu albo przebytej chorobie.

W dłoni trzymał telefon.

- Za godzinę jedziemy na Fiumicino, Joanno - powiedział. - Przy stanowisku obsługi pasażerów pierwszej klasy Alitalii będzie na ciebie czekał bilet. Pokażesz paszport i po odprawie pójdziesz prosto do hali odlotów. Tam się spotkamy. Cały czas będę szedł za tobą. Po kontroli paszportowej nie zatrzymuj się i nie patrz na mnie. W ogóle nie zwracaj na mnie uwagi, dopóki nie wylądujemy i sam do ciebie nie podejść.

- Dokąd lecimy?

Zastanowił się nad pytaniem, jakby wahał się, czy na nie odpowiedzieć.

- Najpierw do Nowego Jorku. Potem do Waszyngtonu. Przecież musisz to wiedzieć. Jak inaczej mogłabyś wrócić z Włoch tam, gdzie mieszkasz?

Nie odpowiedziała.

- Gdzie mieszkasz, Joanno?

Pociągnęła przywieszkę walizki, którą dla niej przygotował.

- Mieszkam na South Fremont Avenue 121 w Baltimore. A pan? Na jego ustach pojawił się szczerzy uśmiech. Pomyślała, że w innych okolicznościach mogłaby go nawet polubić.

- To nie twoja sprawa.

- Jak się pan nazywa?

Milczał, wciąż się uśmiechając.

Zanim zdążył ją powstrzymać, Felicja szybko podeszła do drugiej walizki i chwyciła przywieszkę.

Była pusta. Mężczyzna parsknął śmiechem, a Felicja nie była pewna, czy słyszy w nim ton życzliwości, czy okrucieństwa.

- Jak więc mam się do pana zwracać? - zapytała.

Wykonał teatralny gest: położył palec wskazujący na zaczerwienionym podbródku, spojrzął w sufit i oznajmił:

- Na razie możesz mnie nazywać Faust

Rozdział 3

JAMES GRADY

Odrzutowiec spłynął z nocnego nieba i wylądował na waszyngtońskim lotnisku Dulles dwadzieścia dziewięć minut przed czasem i czterdzieści siedem minut przed tym, jak Harold Middleton zabił policjanta. Gdy tylko koła samolotu dotknęły pasa startowego, Middleton wysłał do córki SMS.

Nie odbierała, kiedy dzwonił do niej z Europy, a w policji stanowej, okręgowej i miejskiej telefony szalejącego z niepokoju ojca, który dzwonił z Polski i domagał się ochrony młodego małżeństwa, zbywano ogólnikami. Funkcjonariusze stołecznej sceptycznie odnosili się do zapewnień Middletona, że polscy stróże prawa wraz z amerykańskimi dyplomatami także podniosą alarm, gdy tylko w swoich hierarchiach służbowych ustalą, kto z kim powinien się najpierw skontaktować. SMS Middletona brzmiał: GREEN LANTERN, EWAKUACJA DO SZKOCJI. GREEN LANTERN: Jego ówczesna żona Sylvia kpiła z rodzinnego kodu, który miał ochronić ich córeczkę przed podstępными dwunożnymi drapieżnikami, ale mała Charlotte uznała, że to super-pomysł, zwłaszcza kiedy tata zgodził się, by wprowadziła do kodu jego (i tym samym jej) ulubionego bohatera komiksów.

EWAKUACJA: Charlotte miała dziewięć lat, gdy w Wydziale Wywiadu Wojskowego w Pentagonie, gdzie Middleton spędził większą część zawodowego życia, w ramach ćwiczeń przeprowadzono próbną ewakuację. Dziewczynka przyjęła hasło EWAKUACJA jako własną mantrę, nadając jej różne odcienie ironii w okresie burzliwego dojrzewania.

SZKOCJA: Kiedy Charlotte wychodziła za mąż, Middleton pozwolił jej urządzić wesele w swoim podmiejskim domu, a na ceremonię ślubną wynajął pokój w cichym hotelu niedaleko Wzgórza Kapitolu. Dwa dni przed ślubem oboje upili się w hotelowym barze, gdzie Middleton za namową córki

spróbował bardzo modnej słodowej szkockiej whisky. Od tamtej pory nazywali hotel Szkocja.

Powiedziałem jej, co ma robić, pomyślał Middleton. Dokąd ma iść. I że to naprawdę ja.

Jeżeli tylko odebrała wiadomość.

Na sygnał, że można odpiąć pasy, Middleton wpadł jak pocisk do przejścia między fotelami. Zarzucił na ramię czarną teczkę, przepasując nią swoją sportową marynarkę, dzięki czemu miał wolne ręce. Nie wiedział, gdzie jest reszta jego bagażu; nic go to nie obchodziło. W teczce miał swoją pracę, laptopa, iPoda i przybory toaletowe, które ochrona lotniska pozwoliła mu wnieść na pokład, plus wydanie „Obcego” Alberta Camusa w miękkiej oprawie.

Zanim Middleton dotarł do drzwi samolotu, w drogę weszło mu dwoje pasażerów z pierwszej klasy. Kobieta, która dziesięć lat i milion zbolących min temu mogła wyglądać olśniewająco, przyciskała do podejrzenia bujnego biustu kasetkę na biżuterię, człapiąc przez korytarz przed Middletonem w towarzystwie mężczyzny o smutnych oczach.

Middleton usłyszał, jak fuka na niego:

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że twojej siostrze ubzdurało się, że jak wyjedzie do Europy, to ukryje przede mną kosztowności twojej matki!

Mąż odrzekł bezbarwnym tonem, świadczącym o tym, że zdaje sobie sprawę, jak niewiele znaczy jego głos:

- Wszyscy popełniamy błędy.

Powlekli się do odprawy celnej, gdzie funkcjonariusz w chirurgicznych rękawiczkach dokładnie obejrzał błyszczące naszyjniki, bransoletki i kolczyki w szkatułce, porównując je z dokumentem przewozowym, o który żona nerwowo bębniła szkarłatnymi paznokciami. Gdy skończył, małżeństwo z pierwszej klasy podreptało przez terminal, wciąż przed Middletonem. Napięcie nerwowe wprowadziło go w stan wyostrozzonej czujności, stan, którego nie zaznał od powrotu do bałkańskiej rzeźni. Tam bał się tylko duchów obcych. Teraz przeczuwał, że pętla zaciska się wokół jego własnej szyi.

Czuł zapach współpasażerów. Wilgoć rozgrzanych ciałami ubrań. Metaliczną woń dezodorantów. Zapach przetrawionego piwa od Anglika, który próbował utopić w alkoholu strach przed lataniem.

Middleton słyszał kwilenie dziecka i szloch młodego, najwyżej dwudziestoletniego kaprała, który zmierzał do samolotu do Niemiec, skąd miał odlecieć do Iraku. Z niewidocznego odtwarzacza CD dudniła perkusja i gitarowy łomot: rozpoznał Springsteena, przypominając sobie, że oprócz Charlotte zawdzięcza swojej byłej żonie jedynie lepszą znajomość klasyki rocka.

Za oknami terminalu panowała noc. Ściany ozdobione były reklamami.

Muzykalne ucho Middletona wychwyciło melodię w ruchu tłumu,

zsynchronizowanym z jego własnym rytmicznym marszem w stronę autobusu odwożącego pasażerów do głównego terminalu. Stamtąd dotrze na parking lotniskowy, odnajdzie swój samochód i pomknie do Szkocji, cały czas próbując dodzwonić się do córki. Ostro i wyraźnie, w każdym szczególe, zobaczył, jak terażniejszość staje się przeszłością.

Spoglądając zza pleców małżeństwa z pierwszej klasy, ujrzał biegnącego w jego kierunku policjanta. Zauważył jego granatowy mundur. Dostrzegł czarny automat w kaburze pod pachą. Zobaczył drugi pistolet zawieszony na czarnym pasie, obok kajdanek, zapasowej amunicji i pustego zaczepu na radio.

Kiedy dzieliło ich dziesięć kroków, Middleton rozpoznał twarz ze zdjęć domniemanego mordercy, które pokazano mu w Polsce. Fałszywy gliniarz odpiął kaburę na biodrze. Middleton popchnął idącą przed nim kobietę prosto na policjanta wyciągającego broń.

Kasetka wypadła jej z rak i poleciała w jego stronę. Odtrącił ją na bok. Wieczko odskoczyło i na tłum w hali lotniska posypał się deszcz błyszczącej biżuterii.

Kobieta rzuciła się z pazurami na policjanta, krzycząc: - To moje! Moje! Jej mąż, uderzony przez kogoś, upadł na puste krzesło. Fałszywy policjant, nie zważając na okładającą go pięściami kobietę, wycelował pistolet w twarz Middletona.

Huk wystrzału, który wstrząsnął terminalem, odbił się echem przy wyjściu numer 67, jakieś dwanaście metrów na lewo od Middletona, gdzie agentka FBI M.T. Connolly zatrzaśniała właśnie kajdanki na własnym nadgarstku. Druga obręcz więziła już rękę Dana Kohrmana, którego przeguby dodatkowo skuto drugą parą kajdanek. Krótko obcięte włosy Connolly w kolorze miedzi sięgały ramienia postawnego Kohrmana, zatrzymanego w Chicago pod zarzutem ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości, co stanowiło złamanie prawa federalnego. Zapadła decyzja o ekstradycji do Waszyngtonu i chicagowska policja przekazała go dalej.

Connolly nie musiała podwójnie skuwać Kohrmana. To prawda, że uchylał się przed odpowiedzialnością kamą, ale był tylko prawnikiem oskarżonym o defraudację, a nie typem bandyty, który mógłby sprawić kłopot weterance z czternastoletnim stażem. Nie, przykuła

lewą dłoń do jego prawej ręki, ponieważ nie miała ochoty rozmawiać z kanalią. Łatwiej było ciągnąć go w stronę, w którą miał iść.

Gorąco zapewniał o swojej niewinności, kiedy policjanci z Chicago prowadzili go z samolotu w kierunku Connolly i umundurowanego funkcjonariusza z Wirginii, którego przydzielono FBI, by asystował podczas przejmowania zatrzymanego przez władze stanowe i przekazywania go do aresztu federalnego. A potem...

Potem funkcjonariusz stanowy uśmiechał się beztrąsko jak hul-taj z Południa. Wyglądał tak, jakby miał stanowić kontrapunkt dla zupełnej pustki emanującej z Connolly. Gdy czekali na samolot z Chicago, z wesołych błysków w jego oczach wyczytała, że odniósł podobne wrażenie. Przedstawił się jako George i wiedziała, że ich znajomość będzie trwała zbyt krótko, aby musiała zapamiętywać jego nazwisko.

- Niech pani pomyśli - powiedział Kohrman, kiedy zatrząskiwała mu na nadgarstku kajdanki. - Zastanawiała się pani, dlaczego miałbym być taki głupi, żeby ukraść te pieniądze?

Zaciskając obręcz kajdanek na swoim lewym przegubie, Connolly odparła:

- Jakby mnie w ogóle obchodziło dlaczego.

Nagle usłyszała za sobą huk wystrzału z pistoletu dużego kalibru. Reakcję przestraszonego tłumu. George spojrział w stronę źródła dźwięku. Gdy rozległy się krzyki, odwróciła się z glockiem kaliber .40 w ręce.

Zobaczyła uciekających w popłochu pasażerów.

Wyczuła, jak wyższy, umundurowany George wyciągnął broń.

Dostrzegła, jak gruby, ciemnowłosy Amerykanin runął na policjanta.

Huk wystrzału ogłuszył Middletona, Niczym wybuch supernowej błysk z lufy poraził jego oczy. Pocisk poszybował jednak daleko w bok, a on upadł na swojego niedoszłego zabójcę i szalejącą kobietę z pierwszej klasy, po czym razem runęli na podłogę. Gdy morderca wypuścił pistolet z dłoni, gromadę pasażerów, przekonanych, że to kolejny terrorystyczny koszmar XXI wieku, ogarnęła panika.

Middleton odzyskał wzrok. Ale dlaczego nic nie słyszę? Dlaczego nie ma żadnych dźwięków?

Rzucił się w stronę dziewięćmilimetrowej beretty, która bezgłośnie sunęła po podłodze zasypanej biżuterią.

Fałszywy policjant uderzył kobietę z pierwszej klasy w szyję. Zerwał się na nogi. Sięgnął pod pachę po drugi pistolet.

Middleton słyszał tylko łomot własnego serca. Złapał berettę i strzelił do mężczyzny w momencie, kiedy ten wyciągał zapasową broń.

Na przeciwległej ścianie eksplodował zielony neon Starbucksa, a fałszywy glina przyjął postawę strzelecką i wycelował. Pod jego czarnymi butami zachręściły perły rozrzucone po podłodze.

Policjant i Middleton strzelili jednocześnie.

Middletonowi drgnęła ręka i pocisk chybił.

Fałszywy policjant także chybił, bo pośliznął się na perlach, tracąc równowagę.

Znajdujący się na lewo od Middletona George ze stanowej zobaczył z daleka, że umundurowany funkcjonariusz jest w kłopotach. Zobaczył, jak gliniarz

pada. Cywile w panice biegali między George'em a miejscem, gdzie rozgrywała się strzelanina. George błyskawicznie wycelował i oddał dwa krótkie strzały.

Chybił!

Middleton dostrzegł, jak stojące nieopodal czarne plastikowe krzesło rozpryskuje się na kawałki.

Od razu domyślił się dlaczego. Odwrócił się gwałtownie na pięcie i utkwiał wzrok w mężczyźnie w niebieskim mundurze jak w nieprzyjacielu. Posłał cztery kule w kierunku drugiego policjanta.

Connolly usłyszała gwizd pocisków i huk broni.

Gdy aresztowany Kohrman wrzasnął, Connolly zobaczyła George'a ze stanowej. Leżał na wznak, z dziurą tuż przy kołnierzyku mundurowej koszuli, pod którą miał kamizelkę kuloodporną. Z szyi George'a płynął czerwony strumyczek. Jego oczy wpatrywały się w sufit.

Connolly rzuciła się w stronę ранego funkcjonariusza, lecz Kohrman zatrzymał ją, szarpiąc jej lewą ręką, do której go przykuła.

- Dobra, chciałem się obłowić! - wrzasnął Kohrman. - Zadowolona? Przyznaję się! Tylko nie strzelaj...

- Zamknij się! - krzyknęła Connolly, łamiąc mu nos ręką pistoletu.

Kohrman bezwładnie osunął się na ziemię. Ciągnąc za sobą balast w postaci jego ciała, wreszcie nachyliła się nad krwawiącym na podłodze George'em.

Rzuciła broń, wolną ręką przycisnęła do rany na jego szyi.

- Wyjdiesz z tego! - krzyknęła do ранego policjanta. Wiedziała jednak, że to kłamstwo.

Nic nie słyszą!

Middleton zobaczył, jak pada drugi człowiek w mundurze, który próbował go zastrzelić. Wciąż ogłuchły od huku, odwrócił się do fałszywego gliny, który wśród szczątków biżuterii wygramolił się na nogi i uciekł przez wyjście awaryjne.

Łapać go, zanim mnie dopadnie! Albo moją córką!

Zmagając się ze światem ciszy, Middleton zobaczył, jak ludzie kryją się za krzesłami w poczekalni. Widział ich twarze zastygłe w niemym krzyku.

Mąż pasażerki z pierwszej klasy opadł ciężko na czarne plastikowe krzesło, wykrzywając twarz w grymasie przypominającym śmiech klauna. Patrzył na podłogę, gdzie leżała jego zażywna małżonka, z trudem łapiąc powietrze.

Middleton podążył wzrokiem w tym samym kierunku.

Zobaczył na płytkach drobinki złotej farby.

Odłamki czerwonych, zielonych i białych kamieni.

Błyszcząca szkiełka starte na proch.

I wirujący na tęczowym kruszywie rzucony przez kogoś telefon komórkowy. Middleton porwał telefon i skoczył do wyjścia awaryjnego z obiektu, który w

intencji Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego miał powstrzymać ludzi przed atakiem na budynek i samoloty, a nie przed ucieczką.

Orzeźwiony chłodnym powietrzem, Middleton stanął u szczytu metalowych schodów, prowadzących na rozległą płytę lotniska, gdzie kołowały, lądowały i startowały samoloty - w przeraźliwej ciszy.

Ciemną płytę przecięła bezgłośnie karawana wózków bagażowych. Ani śladu fałszywego gliny. Nagle Middleton zorientował się, że stoi w rozświetlonych drzwiach niczym w blasku jupiterów, stanowiąc doskonały cel.

Zbiegł po schodach i ruszył w kierunku jasnej bryły głównego terminalu.

Gdy potykając się, pędził przez pas startowy, nad jego głową śmignął siadający jumbojet Middleton przebiegł pod drugim samolotem, który właśnie wzbijał się w nocne niebo, wywołana przez ich silniki zmiana ciśnienia przetkała mu porażone wystrzałem uszy.

Nagle, Bogu dzięki, usłyszał ryk silników.

Do Szkocji, pomyślał. Muszę się dostać do Szkocji.

Pas torby uciskał mu pierś jak boa dusiciel, utrudniając dopływ tlenu. Pot przykleił koszulę do skóry. W mięśniach nóg pulsował ból, jak gdyby ktoś walnął mu w kolano kijem bejsbolowym.

Wiedział, że lepiej nie próbować dostać się do samochodu. Ktokolwiek dybał na jego życie, mógł się zacząć w parkingu podziemnym.

Middleton wpadł do głównego terminalu, wsuwając pistolet za pasek z tyłu spodni. Nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi - ludzie często biegają po lotniskach. Na taksówki czekała długa kolejka.

Na lewo zauważył dwoje młodych ludzi wysiadających z lincolna. Wparował między nich i wskoczył do samochodu, zanim kierowca zdążył zaprotestować.

- Jazda!

Mężczyzna za kierownicą spojrzął w lusterko wsteczne.

- Dwieście pięćdziesiąt - powiedział Middleton, szukając po kieszeniach amerykańskiej waluty.

Zagłębił się w miękkim siedzeniu taksówki, która błyskawicznie ruszyła spod terminalu.

- Na Wzgórze Kapitolu.

Kierowca wysadził go przed budynkiem Sądu Najwyższego, który jaśniał jak świątynia z szarego kamienia naprzeciw białego Kapitolu. Middleton przeciął park, nie napotykając nikogo z wyjątkiem ledwie widocznej w mroku sylwetki policjanta z owczarkiem niemieckim na smyczy.

Szkocja była hotelem zbudowanym w czasach, gdy przyjazd do Waszyngtonu nie był jeszcze tak świetnym interesem. Middleton minął szklane drzwi i od razu podszedł do recepcji.

- Nie, proszę pana, nie zgłaszała się młoda kobieta o tym nazwi-sku. Ani małżeństwo. Nie, proszę pana, nie ma żadnych wiadomo-ści. Oczywiście,

zadzwońię do pana do baru, jeśli coś się zmieni Chwileczkę, jak pańska godność? Przepraszam, proszę pana?

W ciemnej sali Middleton powiedział do barmana:

- Glenfiddich z lodem.

Kiedy kostki rozpuściły się w drinku, Middleton doszedł do wniosku, że jego córka nie przyjdzie. Nie było jej tu, gdzie miała być.

Położył na barze obok szklanki komórkę, którą zabrał z terminalu. Telefon na kartę. Cudzy. Wyciągnął z aktówki swój aparat. Pragnął do kogoś zadzwonić, do kogokolwiek. Nie mógł jednak ryzykować, że jakiś potwór namierzy i podsłucha jego rozmowy. Poza tym, z kim mógł pogadać? Komu mógł teraz zaufać? Być może mordercy zdołali też przeniknąć do struktur policyjnych Wuja Sama.

Oddychaj. Oddychaj.

Jesteś muzykiem. Bądź jak Beethoven. Musisz usłyszeć całą symfonię, bez żadnej fałszywej nuty. Rób to, co umiesz najlepiej. Interpretuj. Sprawdzaj autentyczność.

Wszystko zaczęło się w Europie. Może nadal się rozwijało, pojawili się inni siejący postrach zabójcy. Zaczęło się od Kosowa, od zbrodniarza wojennego i tajemniczego mózgu kierującego całą sprawą. W imię której warto było zabijać. I warto umierać.

Fałszywy glina przyleciał z Polski samolotem, na którego pokładzie miał być Middleton. Być może zauważył jakiegoś policjanta schodzącego ze służby na lotnisku, ruszył za nim na parking, skręcił mu kark, zdjął mundur, odebrał broń i dokumenty, a zwłoki ukrył w bagażniku jego wozu. Przebrany za funkcjonariusza wkroczył do hali lotniska, czekając na samoloty z Paryża.

Ale kim są jego wspólnicy?

Skup się i szukaj logicznych odpowiedzi.

Coś wiem. Albo kogoś znam. Dlatego chcą mnie zabić. Mam coś, co chce mieć ktoś inny. Albo jestem niewygodny. Coś zrobiłem.

Ale prawdę mówiąc, nie jestem wcale taki ważny.

Nie byłem. Teraz jestem.

Nowa prawda była naznaczona krwią

Zamiast symfonii Middleton słyszał w głowie tylko pojedyncze, przypadkowe dźwięki. Przyszedł mu na myśl jazz. Legendarny pianista Night Train Jones zapytany kiedyś, jak muzyk może przejść do swobodnej improwizacji, której sam ani nie rozpoczął, ani nie skończy, odrzekł: „Trzeba grać obiema rękami”.

Middleton wsunął swoją komórkę do kieszeni koszuli.

Spojrzał na aparat znaleziony na polu walki.

Gdy porwał go z podłogi, telefon był włączony. Jeżeli można zlokalizować telefon tylko dlatego, że jest włączony, na pewno już tu pędzili. Middleton odnalazł listę ostatnich połączeń. Na wewnętrznej stronie okładki powieści Camusa zanotował numer, z którym ktoś rozmawiał z tej komórki przez trzy

minuty i dziewiętnaście sekund. Spod tego samego numeru przysłano jedną wiadomość tekstową:

122 S FREMONT A BALMORE

Baltimore, pomyślał. Czterdzieści minut jazdy samochodem od baru, przy którym teraz siedział. Pociągiem z Union Station, tuż za skrzyżowaniem obok hotelu. Kilka przecznic na północ od stacji był dworzec autobusowy, skąd srebrzyste pudełka mknęły międzysta-nową autostradą 95 do Baltimore, gdzie Middleton spędził mnóstwo czasu w Konserwatorium Peabody. Zapisał adres na okładce powieści.

Poszedł do toalety i w dusznej kabinie przeliczył pozostałą gotówkę: 515 dolarów i euro o wartości 122 dolarów. Miał karty kredytowe, ale gdyby użył którejś z nich, by zapłacić za bilet, posiłek albo pokój w motelu, natychmiast pojawiłby się na ekranach radarów. Sprawdził magazynek zdobyczej beretty: osiem pocisków.

Z tym, co mam, mogę zrobić bardzo dużo albo nic, pomyślał Harold Middleton.

Wróciwszy do baru, uświadomił sobie, że otacza go aura szaleństwa.

Wzdrygnął się na widok swojego odbicia w lustrze. Wyglądał okropnie.

Wykończony, ledwie żywy. Na domiar złego rzucił się w oczy.

Położył pieniądze na barze i ruszył do wyjścia.

Trzymał się z dala od jasno oświetlonych ulic, wciąż nie mając odwagi, by zadzwonić, iść na pociąg czy autobus albo poszukać noclegu. Minął puste biurowce.

Z mroku wyłonił się jakiś mężczyzna, wymachując rzeźniczym nożem.

Gdyby Middleton się nie zatrzymał, ostrze przebiłoby mu gardło.

- Dawaj forszę. Portfel. Szybko! - warknął uzbrojony w nóż człowiek.

Middleton sięgnął pod marynarkę i wyciągnął berettę.

- Jedź, skarbie! - wrzasnął rabuś do czekającego samochodu. Cisnął nóż na ulicę.

- Stój, skarbie! - krzyknął Middleton - bo rozwalę mu łeb, a potem zabiję ciebie!

Nie spuszczając bandyty z oka, Middleton podszedł do pordzewiałego samochodu, który stał z włączonym silnikiem. Drzwi po stronie pasażera były uchylone jak paszcza rekina.

W ogóle nie słyszałem, jak podjeżdża. W ogóle go nie zauważyłem. Obudź się!

- Chcemy adwokata! - oświadczył bandyta.

Middleton wskazał otwarte drzwi samochodu, lecz nadal trzymał rabusia na muszce.

- Wskakuj, a może wyjdiesz z tego żywy.

Niechlujnie ubrany mężczyzna, trzymając ręce w górze, zajął miejsce obok kierowcy. Middleton wśliznął się na tylne siedzenie i powiedział do kościstej młodej kobiety, spoglądającej przerażonym

wzrokiem zza kierownicy:

- Rób, co mówię, albo wpakuję ci kulkę w plecy.

- Skarbie, miałaś się zmywać jakby co! - wrzasnął jej współnik. To nie złość, pomyślał Middleton, słysząc tu inny ton. Raczej błagania. I żalu.

- Głupi jesteś! Przecież by cię załatwił. Słowo, Marcus, nigdy nie zostawię cię samego.

- Wiedziałem, że się nie nadajesz do tej roboty. - Nutka dumy. I żalu.

- Dokąd? - spytała kobieta widocznej w lusterku wstecznym ciemnej sylwetki.

- Do Baltimore — powiedział Middleton, - Jedź.

Rozdział 4

S.J. ROZAN

Nadjeżdżającego jeepa ścigała chmura kurzu, pędząc z szybkością geparda atakującego antylopę. Wydawało się, że za moment dogoni wóz i go pożre. Mrużąc oczy w słońcu i spoglądając ponad spaloną ziemią na samochód, Leonora Tesla uśmiechnęła się z ironią zdając sobie sprawę, że w duchu kibicuje obłokowi kurzu.

Od przyjazdu do Namibii często była świadkiem podobnej walki, pościgu drapieżnika za ofiarą. Sumienie mówiło jej, by nie opowiadać się po żadnej ze stron - wszystko to były stworzenia boże, które musiały jeść - ale sercem zawsze była przy ofierze. I zazwyczaj serce się jej krajało, bo zwykle zwyciężał drapieżnik. Teraz wzięła drugą stronę, ale - jak zwykle, Leonoro! - sprawa wyglądała beznadziejnie. Kurz był na straconej pozycji - opadnie pokonany, gdy jeep zatrzyma się przed jej chatą.

Przynajmniej tym razem nie musiała się martwić o ból serca: nie czekał jej krwawy spektakl z walką na śmierć i życie, tylko pewien irytujący obowiązek. - To jeden z fundatorów - powiedział szef jej programu przez trzeszczący, jedyny w wiosce telefon, dzwoniąc do niej z Windhuku. Mówił na wpół współczującym, na wpół rozkazującym tonem. -Będziesz musiała się z nim spotkać.

Leonora Tesla przyjechała do buszu, żeby nie spotykać nikogo, z wyjątkiem kobiet nosicielek wirusa HIV, z którymi pracowała. Po Hadze, po poszukiwaniach zbrodniarzy - i po szoku, który przeżyła, gdy Harold zwołał wszystkich i oświadczył, że grupa Ochotników musi zostać rozwiązana - czuła się źle nawet w mniejszych miastach afrykańskich. Dlatego wyjechała do buszu i podróżowała z wioski do wioski, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej. Jej misja polegała na zakładaniu spółdzielni rzemieślniczych, które dzięki mikrofinansowaniu pomagały kobietom w osiągnięciu samodzielności. Praca bardzo jej odpowiadała. Każdy dzień wypełniały absorbujące drobiazgi - konieczność znalezienia zawiasów w jednej wiosce, żeby w kolejnej

naprawić piec do wypalania garnków; udzielenie grupie kobiet pożyczki o równowartości czterech dolarów na zakup papieru, aby mogły prowadzić ewidencję sprzedaży koszy. Każdego dnia spotykała się z pięknem: widziała narzuty w kolorowe, geometryczne wzory, garnki Oombiga, których tradycja została niemal zapomniana. Piękno także odpowiadało Tesli. Piękno wizualne: sposób, w jaki kobiety tkwały, przywodził na myśl subtelność surowego afrykańskiego krajobrazu. I piękno muzyki: jedynym produktem techniki XXI wieku, przywiezionym przez Leonorę do buszu, był iPod, na którym nagrała - między innymi - preludia Bacha, symfonie Szostakowicza i sonaty Beethovena. Gdy nadjeżdżał jeep, niechętnie wyciągnęła słuchawki z uszu, wyłączając Chopina. Miała nadzieję, że to nie potrwa długo. Oprowadzi po wiosce tego fundatora z... Zapomniała spy-tać. Pokaże mu piec, krosna, warsztat. Wyklepie dane statystyczne na temat wydłużenia średniej życia i samowystarczalności, wygłosi krótką mowę o nadziei dla następnego pokolenia. Kobiety podarują mu narzutę albo garnek, które do niczego mu się nie przydadzą, a on okaże im protekcyjną przychylność i będzie niezmiernie dumny, że się do tego wszystkiego przyczynił. Potem być może odjedzie i zostawi ich w spokoju.

Och, Leonoro, przynajmniej spróbuj się uśmiechnąć.

Pozostali Ochotnicy powtarzali to regularnie, więc próbowała, właśnie dlatego, że ich praca dawała niewiele powodów do uśmiechu. Teraz także przywołała na usta uprzejmy uśmiech na widok jasnowłosego, kościstego mężczyzny, który wysiadł z jeepa. Odpowiedział uśmiechem i uderzył kapeluszem o udo, by otrzepać go z kurzu. Zdjął ciemne okulary: przynajmniej znał się na dobrych manierach.

- Leonora Tesla? Nazywam się Gunter Schmidt.

Mówił po angielsku z lekkim akcentem, którego nie potrafiła rozpoznać. Nie niemiecki, ale nie istniał przepis, zgodnie z którym człowiek o niemieckim nazwisku miałby się wychować w tym kraju.

Na tym właśnie polegała przepuszczalność europejskich granic. Miała to być ich zaleta.

Uścisnęli sobie ręce. Schmidt miał miękką dłoń, jak przystało osobie, która rozdziela pieniądze z za biurka.

- Miał pan długą podróż - powiedziała. - Proszę usiąść, dam panu coś do picia.

Wskazała stołek na twardej glinie pod okapem, ale wszedł za nią do chaty. Jeszcze się musi wiele nauczyć, pomyślała. W afrykańskim domu, mimo że kusił cieniem, nigdy nie było chłodniej niż na zewnątrz.

Schmidt, wciąż z uśmiechem na ustach, opadł na jedno z topornych krzeseł przy stole zbitym z desek. Podała mu butelkę oranżady BB. Oczywiście, w chacie bez elektryczności nie miała lodówki, ale nauczyła się afrykańskiej sztuczki, polegającej na zakopywaniu skrzynek z butelkami w klepisku, dlatego napój był stosunkowo chłodny.

- Na zewnątrz będzie nam przyjemniej - zaproponowała, postanawiając zachowywać się uprzejmie wobec intruza.

- Nie - odrzekł. - Wolałbym zostać tu, Leonoro.

Zjeżyła się na dźwięk dziwnego tonu, jakim wymówił jej imię, ale zauważyła, że rozgląda się po chacie z życzliwym wyrazem twarzy. Wzruszyła ramionami, otarła chustką czoło i usiadła obok niego.

- Długo tu mieszkasz? - zapytał Schmidt, pociągając łyk oranżady.

- Nie. Nigdzie nie mieszkam długo. Ze względu na pracę przenoszę się z miejsca na miejsce.

- To tłumaczy... tę prostotę.

- A jednak mój dobytek, chociaż skromny, jest większy od tego, który posiadają kobiety objęte naszymi programami. Kiedy odpocznesz, pokażę ci piec. Mamy przed sobą kawał drogi, jeżeli chcesz dzisiaj zobaczyć, na czym polega nasza praca. - Wstała, żeby sięgnąć po wiszące na haku przy drzwiach kluczyki do swojego jeepa.

- Nie, chyba zostaniemy tu, Leonoro.

Odwrociła się gwałtownie. Uśmiech i łagodny wyraz twarzy nie zniknęły, ale w jego ręce pojawił się wycelowany w jej stronę pistolet.

Spokojnie, Leonoro. Tylko spokojnie.

- Czego chcesz?

- Gdzie jest Harold Middleton?

Serce, które już zaczęło walić, nagle podskoczyło Tesli do gardła. Powiedziała jednak spokojnie:

- Harold? Skąd miałabym wiedzieć?

Schmidt nie odpowiedział. Broń poruszyła się odrobinę, jak gdyby szukając lepszego ustawienia.

- Nie ma go w Ameryce, w Waszyngtonie? Tam przecież mieszka.

- Gdyby był w Waszyngtonie, co bym tu robił? - spytał logicznie Schmidt.

- Nie miałam od niego żadnych wiadomości od prawie roku.

- Nie wiem, czy to prawda, choć jestem pewien, że w końcu się dowiem. Ale to nie ma znaczenia. Nawet jeśli się z tobą nie kontaktował, wiesz, dokąd mógł pojechać. Gdyby na przykład miał kłopoty.

Kłopoty?

- Nie, nie wiem.

- Kiedy pracowaliście razem...

- Kiedy pracowaliśmy razem, może potrafiłabym powiedzieć. Ale nie wiem nic o jego obecnym życiu. Uczy muzyki; nie wiem nawet gdzie.

Żadne z nich nie poruszyło się od chwili, gdy Tesla zobaczyła pistolet. Żadne z nich nie ruszało się teraz, w gęstniejącej ciszy. Wiatr zaszeleścił liśćmi akacji za chatą. Po plecach Tesli płynęła strużka potu.

- Kim jesteś? Czego chcesz od Harolda? Zaśmiał się.

- Pewnie musiałaś o to zapytać, chociaż wiesz, że ci nie powiem. Ale chodzi o waszą pracę, Leonoro.

- O Ochotników? Uśmiechnął się z goryczą.

- O waszą pracę. No więc naprawdę nie wiesz, gdzie jest Middleton? Nawet gdybym miał cię zastrzelić?

Huk wystrzału wstrząsnął blaszanym dachem i ścianami lepianki; kiedy posypał się grad glinianych odłamków, Tesla zachwiała się i chwyciła stołu z desek, by nie stracić równowagi. Spojrzała w łagodne oczy Schmidta. Po kilku ciężkich oddechach, siłą woli uspokajając serce, powiedziała:

- Nawet gdybyś miał mnie zastrzelić, nie wiem.

Schmidt skinął głową.

- W porządku. Nie wiesz, dokąd mógłby pojechać, gdyby miał kłopoty.

Wobec tego musimy chyba liczyć na to, że coś zrobi, jeżeli to ty będziesz miała kłopoty. - Wstał. - Chodź.

- Co?

- Sama mówiłaś: mamy przed sobą kawał drogi.

Trzymana na muszce, wyszła na nierówną, spieczoną ziemię. Z nieba lał się bezlitosny żar; Tesla czekała, nie odwracając się. I usłyszała: króciutką pauzę między jednym a drugim krokiem, lekki szelest plastiku o tkaninę. Kiedy Schmidt sięgnął do kieszeni po okulary przeciwsłoneczne, zaatakowała, podcinając mu nogi. Potknął się; szarpnęła do przodu jego kostkę i rzuciła się całym ciężarem ciała na jego drugą nogę. Runął na ziemię, wzbijając kłęb kurzu. Rozległ się następny strzał, lecz tym razem grzmot utonął w bezkresnym buszu, a Tesla była przygotowana na ten odgłos. Lufa obracała się we wszystkie strony, szukając jej, ale gdy padł drugi strzał, Tesla była już w chacie, a po trzecim cisnęła gliniany garnek z siłą i precyzją dzidy Yaa Asantewy. \

Schmidt i, co ważniejsze, jego broń znieruchomieli w wirującym kurzu.

Z trudem wyrównując oddech, Tesla kucnęła przy drzwiach, czekając. Gdy przez minutę nic się nie poruszyło, podkrađła się do stołu, sięgnęła po butelkę oranżady i rzuciła nią w głowę Schmidta. Szkło rozprysło się na drobne kawałki, lecz Schmidt nie drgnął.

Wolno wstała. Zbliżyła się do Schmidta leżącego w opadającym kurzu. Jego krew wsiąkała w suchą ziemię między skorupami pięknego niegdyś garnka. Widzisz, Leonów? Tym razem wzięłaś stronę kurzu. A drapieźnik zawsze jest górą.

Po powrocie do chaty skierowała kroki do plastikowego wiadra w zaimprovizowanej umywalce. Nabrała wody w dłonie i ochlapała twarz i głowę, jak gdyby tu, na skraju pustyni Namib, mogła do woli szafować wodą. Potem zaczęła się krzątać po pokoju, zbierając garść rzeczy, które chciała ze sobą wziąć. Gdy spakowała płócienną torbę, rozcięła nożem szew w cienkim materacu, taki sam, jaki robiła w każdym materacu w każdej chacie, w której mieszkała. Wyciągnęła kopertę pełną dolarów amerykańskich oraz małą,

sfatygowaną teczkę, którą miała od czasów pracy w Hadze. Wsunęła jedno i drugie do bocznej kieszeni torby razem z iPodem, zasunęła zamek i była gotowa.

Zapakowanie Schmidta do jeepa okazało się trudniejsze. Był wysoki i Tesla, mimo że nie należała do słabeuszy, miała kłopot z dźwignieniem go z ziemi. W końcu jednak, owinąwszy mu głowę ręcznikiem, żeby nie poplamiał krwią siedzenia, ulokowała go z tyłu, wyłuskała mu z kieszeni kluczyki i uruchomiła silnik. Jadąc po koleinach pozostawionych w pyłe przez jego samochód, zobaczyła przed sobą miejsce, o którym myślała - gdzie skraj drogi opadał stromo do wadi, wyschniętego koryta rzeki. Minęła je i zawróciła, ustawiając jeepa przodem w kierunku swojej chaty. Na zakręcie szarpnęła mocno kierownicę, otworzyła drzwiczki i wyskoczyła.

Do przeprowadzenia jej planu nadawałby się każdy fragment wadi, ale miała większe szczęście, niż mogłaby przypuszczać, bo jeep uderzył czołowo w akację. Kiedy dobiegła do samochodu, lekko utykając - przy skoku stłukła sobie kolano - przednią szybę pokrywała gęsta pajęczyna pęknięć. Doskonale. Dokończenie dzieła kosztowało ją jeszcze trochę potu i wysiłku. Chwilę później Schmidt siedział na miejscu kierowcy, wychylony połową ciała na zewnątrz. Choć wyraźnie było widać, że pęknięcie czaszki nie zostało spowodowane przez zderzenie z drzewem, prawdopodobnie przez jakiś czas nikt go tu nie znajdzie - z wyjątkiem hien, które czaiły się w korycie wyschniętego strumienia. Kiedy już się nim zajmą, nikt nie będzie miał wątpliwości, co było przyczyną śmierci Guntera Schmidta. Czy jak się on naprawdę nazywał. I skąd przyjechał. Wróciła pieszo do chaty w nadziei, że marsz złagodzi ból w koła-nie. Kiedy dotarła na miejsce, rozebrała się i umyła w resztkę wody. Przebrała się w czyste rzeczy, pakując brudne ubranie i zakrwawiony ręcznik do poszewki. Wrzucając tobołek wraz z torbą do swojego jeepa, Tesla na moment przystanęła. Choć mieszkała w zbyt wielu miejscach i zbyt często je opuszczała, by wykształcić w sobie nawyk pożegnań, poświęciła chwilę, aby popatrzeć na chatę, po czym odwróciła się i ogarnęła ostatnim spojrzeniem rozległą połąć brązowej ziemi. Kiedyś myślała, że to będzie jej dom, lecz teraz wątpiła, czy kiedykolwiek tu jeszcze wróci.

Podróż do Windhuku trwała nieco ponad trzy godziny. Na lotnisku wypłaciła tyle pieniędzy, ile się dało, korzystając ze wszystkich czterech kart kredytowych. Razem z tym, co wyciągnęła z materaca, na jakiś czas jej wystarczy. Jedną z kart zapłaciła za bilet do Waszyngtonu z przesiadką w Monachium. Potem wyszła z terminala i wsiadła do dalekobieżnego autobusu do Kapsztadu.

Nie wiedziała, czy ktoś monitoruje transakcje dokonywane jej kartami, ale musiała brać pod uwagę taką możliwość. W Kapsztadzie zamierzała kupić bilet za gotówkę.

Do Nowego Jorku.

Skąd, jak mówił Harold, kilkanaście razy dziennie odchodził pociąg do Waszyngtonu.

Przyciskając do siebie torbę i czując przez płótno twardą okładkę teczki, Leonora spoglądała przez okno na suchą ziemię i samotne drzewa.

Kilkanaście pociągów dziennie. Powinno wystarczyć.

Rozdział 5

ERICA SPINDLER

Charlotte Middleton-Perez otworzyła oczy i rozejrzała się zdezorientowana. Nie jestem w domu. Ani w sali restauracyjnej w Ritzu. Jasna, aseptyczna biel. Lśniące powierzchnie, sztywne prześcieradła. Ból. Bolało ją wszystko, zwłaszcza krzyż.

Ciszę przerwały skrzypienie i turkot wózka. Potem rozległy się stłumione głosy. Charlotte obróciła głowę. Przy łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach siedział jej mąż, Jack. Uosobienie smutku.

Z dojmującym poczuciem straty wszystko sobie przypomniwała: wstała, zobaczyła krew. Krzyknęła, a potem zabrakło jej tchu, gdy ból rozdarł jej brzuch.

Położyła w tym miejscu rękę i łzy zamgłiły jej oczy. Nosila w sobie nowe życie. Chłopczyka. Razem z Jackiem zastanawiali się już nad imieniem. Nosila. Czas przeszedł. Nie miała już w sobie życia. Nie będzie chłopca o niebieskich oczach Jacka i jej ciemnych włosach. Gorące, gorzkie łzy stoczyły się jej po policzkach. Jack uniósł głowę. Miał oczy zaczerwienione od płaczu. - Charley - powiedział.

To jedno słowo wyrażało ogrom uczuć: rozpacz i żalu, miłości i potrzeby pociechy, potrzeby zrozumienia - jak to się mogło stać?

Doczekali drugiego trymestru. Sądziła, że już są bezpieczni. Że już wyszli na prostą. Ich wiarę potwierdzały powszechnie panujące opinie.

Czy to jej wina? Za ciężko pracowała? Za mało odpoczywała?

Jak gdyby czytając jej w myślach, Perez wyciągnął rękę. Ujęła ją, a mąż opiekuńczym gestem otulił dłoń jej palce.

- To nie twoja wina, Charley. Lekarz powiedział, że... tak się czasem zdarza. Pokręciła głową.

- To nie wystarczy. Muszę wiedzieć dlaczego. Odchrząknął.

- Zrobiam jakieś badania. Nam obojgu. I naszemu... i zbadają przyczynę poronienia. Wspominał coś o USG i prześwietleniu macicy.

Zacisnęła mocno oczy. Jack zamknął w dłoni jej rękę.

- Nie wyszło. To przykre i bolesne, ale będziemy jeszcze mieli... - Nie. - Dzie...
- Proszę, nic nie mów - poprosiła łamiącym się głosem. - Już... już go kochałam.

- Rozumiem - odrzekł z wyraźnym współczuciem.

Zawsze zdawał się ją rozumieć. Nie wiedziała, czym sobie zasłużyła na jego miłość. Poznali się na Uniwersytecie Tulane w Nowym Orleanie. Kiedy się z nią umówił i zaczął zabiegać o jej względy, była w szoku. Nie należała do wyjątkowo pięknych kobiet. Była po prostu niebrzydka - miała miłą twarz, przeciętną figurę. A Jack był wybitnie przystojny. Inteligentny. Wykształcony. Pochodził z wpływowej rodziny z Luizjany. Fakt, że się w niej zakochał, był w równej mierze zagadką co cudem.

- Odezwał się do ciebie Harry? - zapytała. W dniu swoich trzynastych urodzin przestała zwracać się do ojca „tato”. Była Charley i był Harry, co nieustannie bulwersowało jej matkę.

- Jeszcze nie.

- Zostawiłeś mu wiadomość...

- W restauracji. Przed chwilą dzwoniłem do niego na komórkę. Odezwała się poczta głosowa.

Jeszcze nie wrócił, może samolot miał opóźnienie.

- Nie powiedziałaś mu... Znów ścisnął jej palce.

- Tylko tyle, że tu jesteśmy. Poprosiłem, żeby zadzwonił do mnie na komórkę. Podałem mu numer.

Zdusiła łzy, które nagle wezbrały w jej oczach.

- A matka? - wykrztusiła.

- Nie odbiera, ani domowego, ani komórki.

- Pani Middieton?

Odwrócili się. W drzwiach stali dwaj mężczyźni z poważnymi wyrazami twarzy. Obaj, mimo wczesnej godziny, mieli na sobie nienagannie wyprasowane ciemne garnitury. Charlotte nie była zaskoczona, kiedy przedstawili się jako funkcjonariusze federalni.

- Musimy zadać pani kilka pytań.

- Teraz? - spytał Perez, wstając. - Tu?

- Chodzi o pani ojca - odrzekł wyższy z mężczyzn, pokazując legitymację Departamentu Sprawiedliwości.

- O Harry'ego?

- Owszem, o Harolda Middletona. Kiedy ostatni raz z nim pani rozmawiała? Poczowała, jak jeżą się jej włoski na karku.

- Przed jego wyjazdem do Europy. Mniej więcej przed tygodniem.

- Nie wydawał się nieswój?

- Nie. Ale dlaczego...

- Nie wyrażał żadnych obaw w związku z podróżą? Nie był czymś zaniepokojony? Przejęty?

- Mój ojciec jest doświadczonym podróżnikiem, agencie!..

- Smith - podsunął. - Nie odniosła pani wrażenia, że ta podróż w jakiś sposób różni się od poprzednich?

- Absolutnie nie.

- Planowała pani spotkać się z nim wczoraj wieczorem? W restauracji hotelu Ritz?

- Tak... Ale skąd... - Nie dokończyła myśli. Federalni nie mogą się o niczym dowiedzieć. Tego nauczył ją Harry. - Umówiliśmy się na późną kolację. Nie dotarłam do hotelu.

Przy tych słowach głos uwiązał jej w gardle. Agenci nie wyglądali na poruszonych jej cierpieniem.

- Przykro nam z powodu państwa straty, pani Middleton, ale...

- Pani Perez - poprawił go ostrym tonem jej mąż. - Mówiłem już, że to naprawdę nie jest odpowiednia pora ani miejsce. Albo nam panowie powiecie, po co tu przyszliście, albo proszę wyjść.

Agent Smith spojrzał Perezowi w oczy.

- Perez to bardzo znane nazwisko w Luizjanie. Perez zmarszczył brwi.

- To znaczy?

- To znaczy, że nieraz je słyszeliśmy, nic więcej.

Jack August Perez. Jego rodzina, wywodząca się z hiszpańskich osadników z okolic Nowego Orleanu, cieszyła się wielkimi wpływami politycznymi i ekonomicznymi. W czasach gubernatora Hueya P. Longa rządili żelazną ręką, a dziś utrzymywali swoją pozycję dzięki sprytowi w interesach i znakomitym koneksjom.

Policzki Pereza oblał rumieniec gniewu.

- Do czego pan zmierza?

Nie daj się sprowokować, pomyślała Charlotte. Emocje prowadzą do błędów. Błędów, które mogą okazać się zgubne. Oto kolejna złota myśl Harry'ego.

Do diabła, co się dzieje?

Dotknęła zaciśniętej ręki męża.

- Wszystko w porządku, kochanie. To tylko kilka pytań.

- Dziękuję, pani Perez. Czy ojciec kontaktował się z panią w ciągu minionej doby?

- Nie. Przypuszczam, że samolot miał opóźnienie. W przypadku Harry'ego to nic nadzwyczajnego, jestem przyzwyczajona do takich rzeczy.

Poczuła na sobie zaskoczone spojrzenie męża. Zignorowała je.

- Skąd panowie wiedzieli, że tu jestem, agencie Smith? Zbył pytanie milczeniem.

- Obawiam się, że pani ojciec ma kłopoty.

Zauważyła, że gdy agent Smith mówił do niej, jego partner śledził jej reakcje. Zauważyła także, że od czasu do czasu pocierał wierzchem dłoni o spodnie, jak gdyby drapał ślad po ukąszeniu owada albo wycierał jakąś plamę.

Zupełnie nie w stylu federalnych. Agentów szkolono, by zachowywali się jak

roboty. Nerwowe tiki nie wchodziły w grę.

- Kłopoty? Nie rozumiem.

- Przesłuchano go w Warszawie w sprawie trzech morderstw popełnionych w Europie.

- Harry'ego? - wykrzyknął z niedowierzaniem Perez. - Na pewno chodzi o innego Harolda Middletona.

Agent rzucił Perezowi przelotne spojrzenie, po czym znów utkwiał wzrok w Charlotte.

- Pani ojciec zdążył na samolot Air France z Paryża kilka godzin później. Wylądował na Dulles, a potem zastrzelił funkcjonariusza policji.

Tym razem nie potrafiła się powstrzymać.

- To niemożliwe!

- Przykro mi.

- Mój ojciec nie mógł tego zrobić.

- Rozumiem, co pani czuje. To dla pani szok, ale mamy świadków...

- Mój ojciec nie mógłby nikogo zastrzelić. Przede wszystkim Harold Middleton przez całe życie walczył ze złem. Ścigał i stawiał przed sądem potwory odpowiedzialne za morderstwa i terror. Poza tym, skąd wziął broń? Przecież chwilę wcześniej wysiadł z samolotu, który przyleciał z zagranicy. Kim był ten policjant? Dlaczego mój ojciec chciałby go zabić?

Wytrzymała jego spojrzenie; w sali zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili agent odwrócił wzrok, pochylając głowę.

- Na te pytania może odpowiedzieć tylko pani ojciec. Musimy z nim porozmawiać.

Federalni przypominali sępy krążące nad padliną - kiedy wbili Sobie do głowy, że ktoś jest winny, byli gotowi poruszyć niebo i ziemię, aby to „udowodnić”.

Ostatnia rzecz, jaką mogła zrobić, to pomóc im znaleźć Harry'ego.

- Co mam zrobić? - zapytała ze skwapliwością, która nawet jej wydała się irytująca.

- Proszę dać nam znać, gdy tylko się do pani odezwie. - Agent Smith podał jej wizytówkę ozdobioną znajomym czerwono-niebiesko-biało-złotym godłem FBI.

Drugą podał Perezowi.

- To numer mojej komórki. Proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

- Dobrze. - Przesunęła palcem po wizytówce, czując bicie własnego serca. - A jeżeli go znajdziecie...

- Pierwsza się pani o tym dowie.

- To jakaś straszna pomyłka. Szukacie niewłaściwego człowieka.

- Przez wzgląd na panią też mam taką nadzieję. - Gdy agenci skierowali się w stronę drzwi, Smith odwrócił się i jeszcze raz napotkał jej spojrzenie. Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że ciarki przeszły jej po plecach. - Dziękuję za współpracę.

W chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi, Charlotte spuściła nogi z łóżka.

- Spadamy stąd. Natychmiast.

- Charley, co to za...

- Ta cała sprawa śmierdzi. I zamierzam się dowiedzieć dlaczego... - Kiedy wstała, ogarnęła ją fala zawrotów głowy.

Perez chwycił ją za rękę i podtrzymał.

- Harry ma kłopoty, nie ma wątpliwości. Ale nic na to teraz nie poradzisz, a na pewno nie w takim stanie. Poproszę pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do doktora Levine'a i zapytała, kiedy cię wypuszczą. Dopiero wtedy pomyślimy, co robić.

Strząsnęła jego rękę.

- Nic nie rozumiesz. Nie będę się tu wylegiwać, kiedy wiem, że Harry'emu grozi niebezpieczeństwo.

- Na litość boską Charley. Tobie grozi większe niebezpieczeństwo. Właśnie poroniłaś. Doktor Levine mówił, że bóle i krwawienia będą trwały jeszcze jakiś czas. Że będziesz osłabiona. Radził, żebyś nie przemęczała się przez parę dni. Nie pozwolę ci stąd wyjść bez jego zgody.

- Tylko spróbuj mnie zatrzymać. - Wzięła głęboki oddech i popatrzyła mężowi prosto w oczy. - Ci faceci wcale nie byli z FBI.

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do szafy z dykty. Jej figi i spodnie były poplamione krwią. Uznała, że bielizna jest do wyrzucenia, więc będzie się musiała zadowolić szpitalnymi opatrunkami. Jeżeli zwiąże kurtkę w pasie, jej ciemne spodnie powinny wystarczyć, dopóki nie będzie miała okazji się przebrać.

Zerknęła na męża, który ją obserwował.

- Ten agent Smith dał nam lipne wizytówki - wyjaśniła. - Przyjrzyj się. To tandeta. Z laserowej drukarki. Dotknij palcem. Na wizytówkach Biura jest wklęsły druk. A te można wydrukować z każdego komputera w domu. Włożyła poplamione spodnie, czując ucisk w gardle. Przełknęła ból. Będzie miała wieki na opłakiwanie ich straty. Teraz potrzebował jej Harry.

- Jedyne numer telefonu na wizytówce Smitha - ciągnęła - to numer jego komórki.

Perez zmarszczył brwi, usiłując ogarnąć myślą to, co sugerowała.

- A gdzie numer Biura?

- Otóż to.

Potał grzbiet nosa.

- Charley, nie sądzisz, że możesz być teraz nieco rozchwiana emocjonalnie? Przeżyłaś wielką stratę... To był szok. Wydaje mi się, że dobrze by było zatrzymać się i przez chwilę spokojnie się zastanowić. Wypiszę cię ze szpitala, wrócimy do domu. Sprawdźmy, czy jest tam Harry albo czy zostawił wiadomość. Musisz się przebrać, musisz coś zjeść. Wszystkim się zajmujemy.

- Ufasz mi?

- Oczywiście.

- W takim razie pomóż mi. Proszę.

W końcu zdołała go przekonać. Obawiając się, że fałszywi agenci mogą obserwować front szpitala, nie pozwoliła mu dokonać oficjalnego wypisu. W szpitalu, zgodnie z procedurą, kazano by jej siąść na wózek i opuścić budynek przez główne drzwi. Dlatego zeszli po schodach i wymknęli się wejściem służbowym.

Zaczekała, aż mąż przyprowdzi samochód. Kiedy oboje zapięli pasy, spojrzał na nią.

- Jaki mamy plan?

- Znaleźć Harry'ego. Uśmiechnął się.

- Świetny plan. Jak chcesz...

Przerwał mu ledwie słyszalny dźwięk cyfrowej wersji piosenki „Brown-Eyed Girl”. Dzwonek jej komórki.

- Masz telefon w torebce - powiedział Perez. - Zamknąłem ją w...

- Bagażniku.

Przestawił dźwignię zmiany biegów i wysiadł. Chwilę później wrócił z torebką, do której przypięty był telefon komórkowy. Lampka sygnalizująca nową wiadomość migiała jak szalona.

Zobaczyła nieznany numer - może dla bezpieczeństwa ojciec kupił telefon na kartę. Szybko przewinęła listę kilku pozostałych nieodebranych połączeń i jednego esemesa. Wszystkie od Harry'ego.

Najpierw oddzwoniła pod numer, z którego dzwonił ostatnio. Ktoś odebrał już po pierwszym dzwonku.

- Tato, to ja. Dzięki Bogu! Tak się martwiłam. - Charlotte! Gdzie jesteś?

- Jack i ja...

Ugryzła się w język, drętwiąc. To nie ojciec. Ojciec nie nazywał jej Charlotte, odkąd skończyła drugą klasę.

- Charlotte? Kochanie, jesteś... Rozłączyła się z jękiem rozpacz.

- Jedź, Jack Jedź! Spełnił polecenie.

- Co się stało?

- Ktoś udawał Harry'ego. Chciał wiedzieć, gdzie jestem.

- Sprawdź wiadomości.

Wcisnęła przycisk. Na dźwięk głosu ojca odetchnęła z ogromną ulgą.

Charley, jest małe opóźnienie. Mam nadzieję, że zdążę na późną kolację.

Kocham cię.

Odsłuchując drugą wiadomość, zmarszczyła brwi.

Charley, sytuacja się skomplikowała. Wyjaśnię ci wszystko na miejscu. Posłuchaj... Bądź ostrożna. Zostań z Jackiem. Nie ufaj nikomu nieznanemu. Mój samolot przylatuje na Dulles dziesięć po siódmej.

W trzeciej i ostatniej wiadomości wyraźnie słyszała panikę w jego głosie.

Gdzie jesteś? Wsiadam do samolotu w Paryżu. Kiedy odsłuchasz wiadomość, zaraz zadzwoń, żebym wiedział, że wszystko z tobą w porządku.

Potem przeczytała esemesa.

GREEN LANTERN, EWAKUACJA DO SZKOCJI

Ich tajemny szyfr. Wpatrywała się w te słowa, mając wrażenie, że nagle z wnętrza samochodu wypompowano całe powietrze.

- Coś nie tak?

- Zmiana planów. Jedziemy na Wzgórze Kapitolu. Do Szkocji... do hotelu St. Regis.

W drodze wyjaśniła mu znaczenie zakodowanej informacji. Kiedy skończyła, mąż zerknął na nią.

- To jakiś dowcip?

- Raczej nie. Harry nigdy by tego nie napisał, gdyby nie chodziło o coś poważnego.

- Może to nie on wysłał wiadomość? Zmroziła ją ta myśl, ale tylko na moment.

- Nie, nikt inny nie mógł znać naszego kodu. Nawet matka nie знаła całego. To na pewno od Harry'ego.

- Nie widzę w tym sensu. Uznałbym to za jakąś konspiracyjną grę towarzyską, ale twierdzisz, że to prawda. - Perez zatrzymał samochód przed hotelem. - Twój ojciec jest szpiegiem czy co?

Z rozmachem otworzyła drzwi.

- Zaczekaj. Zaraz wracam.

Po chwili przywitała się z recepcjonistą. Wyciągnęła z portfela zdjęcie Harry'ego. Człowiek za ladą przyjrzał się fotografii spod zmrużonych powiek i skinął głową.

- Tak, był tu. Szukał jakiejś kobiety. Przypuszczam, że pani. Poszedł zająć miejsce w barze.

Podziękowała mu i pobiegła do holu. Od razu jednak zorientowała się, że ojca nie ma.

Skręciła do baru. Barman był zajęty obsługiwaniem klientki, olśniewająco pięknej rudowłosej kobiety. Gdy czekała, aż skończy, jej uwagę przykuł ekran telewizora za barem. Nadawano wiadomości. Strzelanina na Dulles. Ofiarą był policjant. Ziarniste zdjęcie podejrzanego.

Harry. To niemożliwe.

- Czym mogę służyć?

Spojrzała na barmana. Trzymała w ręku fotografię ojca, zamierzając zapytać, czy barman go widział i czy może wie, dokąd poszedł. Zmieniła jednak zdanie, przecząco pokręciła głową i wsunęła zdjęcie do kieszeni. Nie mogła ryzykować, że rozpozna Harry'ego i podniesie alarm.

- Nie, dziękuję. Przypomniałam sobie właśnie... Przepraszam.

Wyszła szybkim krokiem, czując na sobie wzrok barmana. Mijając recepcję, spojrzała w stronę siedzącego za ladą mężczyzny. Rozmawiał przez telefon; na jej widok szybko odwrócił oczy.

Gdyby ci bandyci dostali to, czego szukali, nie złożyliby jej wizyty w szpitalu. To była dobra wiadomość.

Była też zła wiadomość. Harry'ego poszukiwano w związku z morderstwem policjanta. Ten fragment bajeczki agenta okazał się prawdziwy.

Policja na pewno już wiedziała, kim jest, gdzie pracuje i mieszka. I gdzie mieszka Charley. Zbierano nazwiska przyjaciół i współpracowników. Harry nie będzie mógł korzystać z kart kredytowych ani swojej komórki. Będzie miał zakaz wstępu do własnego domu i wsiadania do własnego samochodu. Ścigają go dwie grupy - fałszywa i prawdziwa policja.

Mąż z kwaśną miną czekał na nią przed wejściem do hotelu.

- Udało się?

- Był tu. Już go nie ma.

- Słuchałem wiadomości w radiu i...

- Wiem - przerwała mu. - Widziałam w telewizji. W barze. Podbiegli do swojego bmw i wskoczyli do środka.

- Może to byli prawdziwi agenci?

- Wykluczone - odparła. - Mama mieszka niedaleko. Może się z nią kontaktował.

- Przecież Sylvia i twój ojciec się nie cierpią

Nie określiłaby tego tak dosadnie, lecz z pewnością trudno byro-by ich nazwać przyjaciółmi. Nie mogła sobie wyobrazić gorzej dobranej pary. Poza tym matka nigdy nie wybaczyła Harry'emu, że Charley lubiła go bardziej niż ją. A także tego, że zmienił jej jedynaczkę w, jak się wyrażała, „naprawiacza świata i kandydatkę na szpiega”.

Gwoździem do trumny ich małżeństwa okazał się przelotny romans, jaki Harry miał z dziewczyną należącą do jego Ochotników - Leonorą Tesla.

- Mimo to spróbujmy. Przynajmniej będę mogła pożyczyć czyste ubranie.

Jej matka zapyta o dziecko. Będą jej musieli wszystko wytłumaczyć. Położyła rękę na pustym brzuchu. Nie chciała o tym mówić. Nie potrafiła.

Nie mogła sobie teraz pozwolić na rozklejanie się.

Po niecałych dwudziestu minutach dotarli do ekskluzywnej dzielnicy

Georgetown. Zaparkowali przed piętrowym domem w stylu kolonialnym, wysiedli i podbiegli alejką prowadzącą do drzwi.

Na podjeździe stał mercedes matki. Weranda była ciemna, choć w kilku oknach paliło się światło.

Charley wcisnęła przycisk dzwonka. W domu rozległo się przeraźliwe ujadanie Belli, szpica miniaturowego.

- Mamo! - zawołała Charley, dzwoniąc jeszcze raz. - To ja! Może wyszła gdzieś z przyjaciółką, która po nią przyjechała. Albo była na randce.

Nie. Coś było nie tak. Miała złe przeczucia.

Perez wstukał do telefonu numer teściowej. Dwa sygnały, cztery, sześć.

Z głośnym łomotem serca Charley sięgnęła do torebki po klucze. Miała jeden z zapasowych, na wszelki wypadek. Znalazła go, włożyła do zamka i uchyliła drzwi.

- Mamo! - zawołała. Z kuchni wybiegła Bella, pozostawiając na białej wykładzinie wyraźne ślady łapek.

Czerwone ślady.

Z ust Charley wyrwał się krzyk. Nakazując żonie: „Zostań tu”, Perez ruszył do kuchni. Charley poszła za nim.

Zatrzymali się w drzwiach. Matka leżała na terakocie. Zwrócona twarzą w górę. Z otwartymi oczami. Nieobecny. Sącząca się krew utworzyła po bokach jej tułowia plamy w kształcie skrzydeł. Bella biegała w kałuży krwi wokół swojej pani, znacząc na białych płytkach dziwaczny, kwiatowy wzór. Matka była ubrana do snu. Miała na sobie jedwabny, zielononiebieski szlafrok. Jego poła była odchylona, odsłaniając nogi i rąbek koronkowej bielizny. Jedna ręka spoczywała na piersi, jak gdyby matka chwyciła się za serce, druga leżała wzdłuż boku.

- Och, mamo. - Łkając, Charley zrobiła krok naprzód, po czym przystanęła, zakręciło się jej w głowie i musiała się oprzeć o kuchenny blat

Jej mąż powoli przesunął się w kierunku ciała teściowej. Stąpił ostrożnie, by nie wejść w kałuży krwi. Kucnął i zbadał jej puls.

Usiłując pojąć, co się stało, Charley odwróciła wzrok. Spoczął na jakimś przedmiocie wystającym spod szafki. Zmrużyła oczy i przyjrzała się uważniej. To było opakowanie po batonie. Wysunęła je czubkiem buta. Milka, europejska marka, którą trudno było dostać w Stanach. Przechyliła głowę. Batonik był z Polski.

Wpatrywała się w opakowanie, słysząc, jak krew huczy jej w skroniach.

Ulubiona czekolada jej ojca. Skrywana pasja. Ich wspólna.

- Charley, ona nie żyje.

- Musimy stąd wyjść. Natychmiast. - Chwyciła opakowanie po batonie i wepchnęła do kieszeni.

- Co ty robisz? Charley, to może być dowód rzeczowy. Trzeba zadzwonić na policję.

- Oskarżać o to Harry'ego.

- Nie przyszło ci do głowy, że może...

- Nie ma mowy, to nie tato. Wysłał mi esemesa, bo też jestem w niebezpieczeństwie. Mama też była. Nie wiem, dlaczego to się stało, ale mu ufam.

- Nawet gdyby chodziło o twoje życie? I o moje?

- Tak. - Zacisnęła usta, uzmysławiając sobie sens i powagę sytuacji. - Musimy go znaleźć.

- Jak? - Perez przeciągnął drżącą dłońią po włosach. — Nie jesteśmy poszukiwani przez policję, ale jestem pewien, że będą chcieli z nami porozmawiać.

Jeszcze raz spojrzała na matkę, broniąc się przed rozpaczą i pragnieniem, by schronić się w ramionach męża i wybuchnąć płaczem. Była córką Harolda Middletona. Wytropił człowieka, który to zrobił. I zmusi go, aby za to

zapłacił.

Z oddali dobiegł odgłos syren.

- Do domu nad jeziorem — powiedziała, kierując się do sypialni matki, żeby przebrać się w czyste rzeczy. — Harry na pewno w końcu będzie nas tam szukał.

Rozdział 6

JOHN RAMSEY MILLER

Na parkingu lotniska Dulles agentka FBI M.T. Connolly przyglądała się detektywom z wydziału zabójstw, przeprowadzającym oględziny zwłok policjanta. Głęboka bruzda po zadzierzgnięciu na szyi ofiary i przekrwienie gałek ocznych nie pozostawiały wątpliwości co do przyczyny śmierci, podobnie jak zdjęcia zrobione przez kamery monitorujące nie pozostawiały wątpliwości co do tożsamości człowieka, który zabił policjanta, skradł jego mundur i ukrył ciało w jeepie, gdzie je odnaleziono.

Detektywi zostali wezwani, ponieważ w terminalu lotniska doszło do postrzelenia funkcjonariusza policji stanowej. Wbrew wcześniejszym doniesieniom George jeszcze żył, lecz był w ciężkim stanie. Trzy pociski uległy odkształceniu, odbijając się od kamizelki kuloodpornej, a jeden trafił wyżej, przeszył kołnierz i rozerwał tętnicę. Spodziewano się, że policjant nie przeżyje. Gdyby uszedł z życiem, groziło mu poważne uszkodzenie mózgu z powodu utraty krwi.

Connolly w towarzystwie detektywów z wydziału zabójstw przeszła z parkingu do biura ochrony, by zobaczyć zapis wideo. Dobrze przyjrzała się fałszywemu policjantowi, który strzelił do pasażera zidentyfikowanego przez celników jako Harold Middleton. Middleton chwycił pistolet napastnika i strzelił w obronie własnej. Funkcjonariusz policji stanowej George popełnił zrozumiały błąd, przypuszczając, że policjant próbował zatrzymać przestępcę. Początkowo, w zamieszaniu, Connolly doszła do tego samego wniosku, lecz przykuta kajdankami do konwojowanego więźnia idioty, nie mogła pomóc w pościgu. Zakładała, że policjant zamierzał złapać Middletona, teraz jednak wiedziała, że uciekł przed nią i innymi funkcjonariuszami, którzy zbiegli się do hali, zaalarmowani strzelaniną. Wyraźnie było też widać, że zanim fałszywy policjant wyciągnął broń i wycelował, Middleton go rozpoznał.

Middleton złapał berettę, aby obronić się przed atakiem George'a, a potem uciekł przez wyjście ewakuacyjne. Fałszywy policjant, ubrany w skradziony i

odrobinę niedopasowany mundur, zniknął zaraz po nim.

Jej następnym krokiem było zebranie wszystkich informacji o Middletonie i mordercy policjanta, jakimi dysponowało FBI. Ustaliła z detektywami, że Middletona należy natychmiast zatrzymać, ale tylko jako istotnego świadka, któremu trzeba zapewnić ochronę. Chyba że zabójca w mundurze dopadnie go pierwszy. Jego rysopis rozesłano do miejscowych jednostek policji - zdjęcie miało dotrzeć później, gdy tylko zostanie wydrukowane z zapisu wideo - wraz z informacją że jest poszukiwany w związku z zabójstwem policjanta, co oznaczało, że przeżyje aresztowanie tylko wtedy, gdy znajdą go nagiego i leżącego twarzą do ziemi, w świetle kamer telewizyjnych.

Terminal i parking lotniska roiły się od zirytowanych policjantów, ekip techników kryminalistyki i świadków. Funkcjonariusze stanowej z psami rozpoczęli przeszukanie lotniska w nadziei odnalezienia Middletona i mordercy, lecz Connolly wątpiła, że sąjescze w okolicy. Podczas gdy gliniarze zachowywali się jak rozdrażnione mrówki ogniste, Connolly działała spokojnie - zgodnie ze swoją naturą

Na podłodze hali lotniska znalazła wizytówkę, którą detektywi włączyli do dowodów rzeczowych. Nie wiedzieli, skąd wzięła się wizytówka ani czy ma jakiś związek ze sprawą dopóki nie obejrzeni w zwolnionym tempie zapisu wideo z walki Middletona i fałszywego policjanta, w trakcie której rozerwała się kieszonka koszuli Middletona i wizytówka spadła na podłogę. Było na niej napisane: JÓZEF PADŁO, MŁODSZY INSPEKTOR POLICJI.

Treść wizytówki uderzyła jajak obuchem w głowę. Jeśli dotąd nie wierzyła w zbiegi okoliczności, teraz stała się ich gorącą wyznawczy-nią. Już po kilku minutach, na pewno kilka godzin przed detektywami, Connolly zadzwoniła pod numer z wizytówki, a ponieważ w Polsce było sześć godzin później, zostawiła wiadomość w biurze inspektora, aby jak najszybciej się z nią skontaktował. Następnie spróbowała

złapać go pod numerem, który nie figurował na wizytówce, ale który miała zapisany w komórce. Padło nie odbierał. Kiedy włączyła się poczta głosowa, Connolly zostawiła tę samą wiadomość. Tym razem podała nazwisko Harolda Middletona, uznając, że jeśli sam jej głos nie zmusi go, by natychmiast odpowiedział, na pewno zareaguje na nazwisko Middletona. Kiedy Padło zadzwonił dwadzieścia pięć minut później, Connolly wiedziała już od grupy wywiadowczej FBI, kim jest emerytowany pułkownik Harold Middleton, i postanowiła, że zajmie się tą sprawą, bez względu na to, czy wyjdzie z niej z tarczą czy na tarczy. Middleton namierzył prawdziwego rzeźnika, pułkownika UCK Agima Rugove, i postawił go przed sądem w Hadze. Rugova został zamordowany, więc podekscytowała ją myśl, że te dwa zdarzenia może coś łączyć. Prócz terroryzmu, nie było nic bardziej pociągającego i korzystniejszego dla kariery niż międzynarodowa sprawa. Poza tym wiedziała, że może liczyć na pełną współpracę ze strony Padły. Connolly poznała polskiego inspektora przed trzema laty w Quantico, gdzie

uczestniczył w zorganizowanym przez Biuro szkoleniu dla czołowych śledczych z Europy. Traf chciał, że jednym z wykładowców była Connolly. Zbliżyli się do siebie - nawet bardzo. Wspomnienie Padły, siedzącego po turecku na jej łóżku z kieliszkiem wina w jednej i papierosem w drugiej dłoni, opowiadającego szczegółowo o pewnej dawnej sprawie, której nie potrafił rozwiązać, wywołało ciepły uśmiech na jej wargach.

Józef Padło nie był szczególnie przystojny, lecz w chudym Polaku było coś, co przydawało mu atrakcyjności i odwracało uwagę od jego wytartego ubrania. Connolly wiedziała, że także nie jest szczególnie urodziwa, ale Padło widział w niej piękność. Był błyskotliwy, szczery, inteligentny, całym sercem oddany pracy, biegle mówił po angielsku, miał duże, smutne oczy, delikatne dłonie i był troskliwym kochankiem. Po raz pierwszy w życiu nie przeszkadzały jej chmury tytoniowego dymu. W ciągu ostatnich trzech lat spędzili razem kilka dni urlopu i dwa czy trzy razy w tygodniu rozmawiali przez telefon. Ponieważ oboje poświęcali cały swój czas pracy, nie mogli być razem na stałe. Connolly wiedziała, że zajmie się tą sprawą - która mogła się okazać powodem do chwały, być może nawet międzynarodowej - a gdyby detektywi weszli jej w paradę, będzie potrafiła odsunąć ich na bok. W końcu była świadkiem strzelaniny, odkryła związki Middletona z MTKJ i powstrzymała policję przed błędną interpretacją jego działań, prawdopodobnie ratując mu życie. Jej atutem była także współpraca z instytucjami zagranicznymi. Poza tym mogła liczyć na przychyłność szefa, który darzył ją sentymentem, widząc w niej ideał kobiety z Południa - oboje pochodzili z Missisipi, a co ważniejsze, miała na koncie imponującą liczbę zamkniętych głośnych spraw, liczbę, którą nie mógł się poszczycić nikt inny. Nie od rzeczy był także fakt, że zawsze dbała o to, by podkreślać zasługi swoich przełożonych.

Connolly spojrzała przez pomieszczenie biura ochrony na swojego nieznośnego więźnia, który był teraz przykuty do rury. Ratownicy opatrzyli mu nos i starli krew z twarzy. Connolly od godziny co dziesięć minut dzwoniła do biura szeryfów federalnych, żeby przekazać go w ich ręce. Nareszcie, pomyślała, słysząc dzwonek telefonu. Raczyli się odezwać.

- Tu Connolly - powiedziała. - Gdzie, do cholery, są wasi ludzie?
- A kiedy i gdzie ostatni raz ich pani widziała? - zapytał inspektor z Polski.
- Witaj, inspektorze Padło - odrzekła, ścisząc głos i wychodząc na korytarz.
- Witaj, agentko Brawurko - powiedział Padło. - Znalazłaś Middletona?
- Sprawa wygląda tak - zaczęła, po czym zrelacjonowała mu wszystko, co już wiedziała. Padło słuchał, nie przerywając.

Kiedy skończyła, rzekł:

- Harold Middleton był ostatnią osobą która widziała Henryka Jedyńaka, kolekcjonera rękopisów muzycznych. Jedyńak został zamordowany w Warszawie, razem z dwójką świadków. Poleciłem zatrzymać pułkownika

Middletona i przesłuchałem go. Rysopis napastnika wskazuje, że to mógł być Dragan Stefanović. Skojarzyłem Middletona z historią Rugovy i pokazałem mu zbiór zdjęć ludzi, o których wiadomo, że w dawnych czasach zadawali się z Rugovą, bezrobotnych najemników, a dzisiaj bandytów do wynajęcia. Było wśród nich zdjęcie Stefanovicia i faceta, którego znamy tylko jako południowego Słowianina. Middleton zeznał, że widział go na lotnisku - najwidoczniej czekał na ten sam samolot do Paryża co on. Słowianinowi udało się wydostać z Paryża, zanim władze francuskie zdążyły wysłać tam ludzi. Jak wiesz, Francuzi produkują więcej bzdurnych przepisów niż wina.

- Nie sądzisz, że Middleton mógł być jakoś zamieszany w śmierć Jedynaka?
- Nie. Harold Middleton to porządny człowiek, bardzo rodzinny, z mocnym kręgosłupem moralnym, poświęcał się walce ze strasznym złem. Teraz mamy śmierć Jedynaka, nieudany zamach na Middletona w publicznym miejscu i zniknięcie siostrzenicy Jedynaka.
- Siostrzenicy. Czy to ma związek z tym morderstwem?
- Dziewczyna jest utalentowaną skrzypaczką, więc podejrzewam, że wspólnym mianownikiem może być coś, co łączy ich troje - muzyka. Middletona i Jedynaka interesowały rzadkie rękopisy partytur, co może ich też łączyć z Rugovą.
- Rzadkie rękopisy partytur...
- Jak wiesz, Rugova przez część wojny w Bośni zabezpieczał skarby zrabowane podczas drugiej wojny światowej. Skradł czterdzieści parę skrzyń, które hitlerowcy ukryli w zamkniętej sali w cerkwi Świętej Zofii: były tam obrazy, rysunki, złote posążki, parę małych, ale cennych statuetek z brązu, biżuteria - i partytury. Uwaga wszystkich skupiła się wtedy na śmierci dwustu cywilów, i słusznie, ale Rugovie udało się wynieść te skrzynie. Z czasem naszała go chęć, żeby wyjawić informację, do kogo trafiły zrabowane dzieła sztuki - w zamian za łagodniejszą karę.
- Middleton o tym wiedział - powiedziała Connolly.
- Middleton miał rękopis Chopina, który jego zdaniem mógł być falsyfikatem, ale być może pochodził z tej zaginionej kolekcji, tego nie wie. A może wie. W trakcie przesłuchania wierzyłem mu i widziałem, jak nagle zaczął się bać o bezpieczeństwo swojej rodziny. Nie bez powodu, jak sądzę.
- Mam nadzieję, że zabójca policjanta go nie odnalazł - odezwała się Connolly.
- Możesz być pewna, że jeżeli to Stefanović, to nie pracuje sam - odrzekł Padło.
- Wyślę ci zdjęcia ludzi, którzy służyli pod komendą Rugovy. Jeżeli jeden z nich zabije Middletona, zrobi to, żeby utrzymać w tajemnicy miejsce ukrycia skarbu. W grę wchodzi miliony, może nawet miliardy euro.
- Przyślij zdjęcia pod mój adres e-mailowy w Biurze, a ja prześlę ci zdjęcie zabójcy policjanta.
- Oczywiście, Brawurko. Uśmiechnęła się.
- Słuchaj, Józef, może uda mi się załatwić pozwolenie i bilet, który będzie na

ciebie czekał na lotnisku. Znasz tych ludzi lepiej niż my i twoje wsparcie może się okazać nieocenione.

- O dziwo, powiedziałem już swojemu komendantowi, że udzielając wam pomocy, prawdopodobnie szybciej wyjaśnimy sprawę morderstwa Jedynaka i postawimy sprawcę przed naszym sądem. Mogłabyś wysłać kogoś po mnie na Dulles?

- Chybabym mogła, inspektorze Padło.

Słowianin nazywał się Vukasin, czyli Wilk. Nie był zadowolony z rozwoju wypadków. Czekając w samochodzie pod hotelem St. Regis na swoich dwóch ludzi, zeszywniał na widok eleganckiej kobiety, wysiadającej z taksówki po drugiej stronie ulicy. Podeszła do jego wozu, otworzyła drzwi i zajęła miejsce obok niego.

- Eleana, w samą porę - powiedział w ich ojczystym języku.

- Jak mogłabym przepuścić taką okazję, żeby popracować ze starymi dobrymi przyjaciółmi? Poza tym, proszę, mów mi Jessica.

- Jessica. Brzmi bardzo amerykańsko. Dobrze.

Kobieta, która wsiadła do samochodu Vukasina, była Serbką i nazywała się Eleana Soberska, ale dzięki podrobionym dokumentom stała się obywatelką Stanów Zjednoczonych. Zanim Soberska trafiła do oddziału Rugovy, gdzie otrzymała zadanie zbierania informacji wywiadowczych, pracowała jako psycholog dziecięcy. Prawdziwa Jessica Harris była pielęgniarką wolontariuszką w centralnym szpitalu w Belgradzie i nie miała w Stanach żadnych bliskich krewnych. Skończyła jako karma dla węgorki w Dunaju, dokąd z wyrazami wdzięczności posłała ją kobieta, która zapragnęła ukraść jej tożsamość.

Główne zadanie Soberskiej w UCK podczas czystek polegało na przesłuchiwanie żołnierzy nieprzyjaciela i cywilów wziętych do niewoli przez Rugowę. Vukasin, jeden z poruczników Rugovy, widział ją przy pracy i podziwiał jej metody prowadzenia przesłuchań oraz jej entuzjazm. Pozbawiona genu współczucia piękność odrzucała umizgi żołnierzy, a Vukasin doszedł do przekonania, że potrafi ona odczuwać przyjemność seksualną tylko wówczas, gdy śmiertelnie przerazi ludzi przywiązanych do stołów, krzeseł lub zawieszonych na krokwiach i skręcających się z bólu.

- Twój obiekt jest w hotelu? - zapytała.

Vukasin wyciągnął z kieszeni i podał jej zdjęcie dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku w restauracji.

- To jest obiekt - Harold Middleton. Stał na czele Ochotników, którzy wytropili Agima.

Jej twarz stężała.

- To jest Harold Middleton? Myślałam, że będzie się lepiej prezentować.

Gdzie jest?

- Jeszcze nie jesteśmy pewni.

- I wierzysz, że się tu zjawi. W barze. W publicznym miejscu.

Yukasin przytaknął. Jego ludzie przekonali byłą żonę Middletona, by wymieniła wszystkie miejsca, do których mógłby uciec. Jednym z nich był hotel St. Regis.

- Masz tam swoich ludzi? - spytała Harris.

- Są w drodze. - Vukasin uśmiechnął się. - Udają agentów FBI. Powinno zadziałać: Middleton jest poszukiwany za zastrzelenie policjanta na lotnisku.

- Policjanta?

Vukasin wyjaśnił, co się stało.

- Fiasko - odrzekła Harris. - Gdzie jest teraz Dragan?

- Nie żyje. Nie miałem innego wyjścia. Naraził cały plan.

- Dlaczego zależy nam na Middletonie? Vukasin odebrał jej fotografię.

- Ten drugi to Henryk Jedynak, kolekcjoner i znawca rzadkich zabytków muzycznych. Jedynaka też nie ma już wśród żywych. Dlaczego? - o to możesz spytać Middletona.

- Chętnie go spytam - odparła Harris. - Ale chyba chodzi o coś więcej niż śmierć kolekcjonera muzyki...

Vukasin był zmęczony, lecz Harris musiała znać prawdę o celu misji.

Nadeszła odpowiednia pora, aby ją wtajemniczyć.

- Middleton był w oddziale sił pokojowych w Świętej Zofii, należał do grupy, która miała skatalogować rękopisy muzyczne - te których nie zdążyliśmy zabrać z cerkwi. Trzy lata temu poproszono Jedynaka, żeby ustalił autentyczność kilku rękopisów zostawionych przez Middletona. Gdy miały zostać sprzedane prywatnemu kolekcjonerowi, okazało się, że Jedynak zamienił oryginały na falsyfikaty.

- Sprzedawcą był Rugova - dodał Vukasin.

- I spodziewał się, że wytarguje taką cenę, dzięki której będzie mógł kupić sobie wolność - powiedziała Harris.

- Kiedy przesłuchiwałem Jedynaka, przyznał się, ale nie udało mi się z niego wycisnąć, gdzie są oryginalne rękopisy.

Harris uśmiechnęła się cierpko. Vukasin znał tylko przemoc i obce były mu bardziej subtelne i wyrafinowane metody potrzebne w trakcie przesłuchiwania prawdziwych ideowców.

- Powiedział mi, że Middleton ma coś, o czym nie wie, ale wkrótce to odkryje.

- Zmarnowałeś cenne źródło.

- Nie musisz mi mówić, co zrobiłem.

Miała jednak rację. Jedynak zabrał swoją wiedzę do grobu, a teraz w dodatku zniknęła jego siostrzenica - ktoś w Rzymie sprzątnął ją jego ludziom sprzed nosa. Wciąż nie było wiadomo, co wiedziała.

- Moim zdaniem klucz może się kryć w rękopisie Chopina, który Jedynak dał Middletonowi - powiedział Vukasin.

- Prawdziwym czy fałszywym? - spytała Harris. Vukasin spojrzął na nią i uniósł brew. Nie było powodu sądzić, by Jedynek wiedział, że należy usunąć prawdziwy rękopis. Vukasin czekał trzy lata, żeby zacząć starania o jego zwrot. Harris zauważyła, jak się zjeżył. - To ty dotarłeś do Rugovy i jego żony, prawda? - spytała głosem ociekającym przymilnością. Vukasin skinął głową. Z przyjemnością opowiedział jej, jak dokonał rzeczy na pozór niemożliwej.

- Pułkownik Rugova był zrozpaczony - rzekł. - Przed moją wizytą przekupiono strażników. Przyszedłem, udając prawnika z Trybunału, który potrzebuje podpisu Rugovy na jakichś dokumentach. Moje wieczne pióro przeciekało i zatruty atrament na palcach pułkownika załatwił sprawę w ciągu siedmiu czy ośmiu godzin.

Vukasin uśmiechnął się.

- Wiesz, pułkownik ucieszył się na mój widok. Rozbawiło go moje przebranie i był bardzo zadowolony, kiedy mu powiedziałem, że mamy plan, jak wydostać go z aresztu i umieścić w bezpiecznym miejscu. Oczywiście, nie wiedział, że jego żona oddała jego dzienniki - mieliśmy wszystko, za pomocą czego zamierzał się wykupić. Wymienił nawet z nazwiska ludzi, którzy zapłacili mu za skarby -swoich dobroczyńców. Ostatecznie wielki pułkownik Rugova okazał się zwykłym tchórzem bez czci i wiary.

- Szkoda, że mnie tam nie było.

Vukasin zapalił cienkie cygaro, obserwując zatrzymujący się samochód. Wyszli z niego dwaj ludzie i weszli do hotelu.

- Zaraz się przekonamy, czy Middleton jest w środku — powiedział.

- A jeżeli nie...

- Jest jeszcze córka - odparł. - Charlotte. Która jest w ciąży, nawiasem mówiąc.

- Kiedy już będę miała w jednym pokoju Charlotte i Middletona...

- Uśmiechnęła się na tę myśl i energicznie zatarła delikatne dłonie.

- Kocha kogoś jeszcze?

- Kobietę, z którą kiedyś pracował. Teslę. Leonorę Teslę.

- Gdybyśmy mieli tę Teslę, mogłoby podzielać równie dobrze -jeżeli ciągle mu na niej zależy. Wolałabym jednak ciężarną córkę.

Rozdział 7

DAVID CORBETT

We wnętrzu samochodu panował stary, niemal przedpotopowy smród, podłogę zaścilały lepkie, zatłuszczone opakowania po jedzeniu, między oparciami wały się puszki po tanim, mocnym piwie, cuchnące pety wypełniały po brzegi popielniczki. Klimatyzacja krztusiła się i zacinała, wydzielając zalatujący stęchli-zną chłód, z którym mieszała się intensywna woń potu trzech ciał - nie tylko Middletona, ale także Marcusa i Traci, niedoszłych złodziei, którzy chcieli go obrabować. Poznał ich imiona, wysłuchując wzajemnych złorzeczeń i oskarżeń, którymi bez przerwy się zasypywali, gęsto przetykanych obrazkami z ich zmarnowanego życia – mówili o swoich niezrealizowanych potrzebach, o niezaspokojonych pragnieniach, o swoich żalonych, dziwacznych przyzwyczajeniach, obiecywali sobie poprawę, klęli, przerzucali się dowodami winy, używając wulgarnego slangu, który Middleton ledwie umiał rozszyfrować. Tymczasem zdezelowany samochód z klekotem sunął na północ w kierunku Baltimore, oświetlając jedynym działającym reflektorem mokry asfalt autostrady 1-495. Przeszła krótka letnia burza, zmieniając powietrze w gęstą i lepłą watę, którą dogorywająca klimatyzacja mogła tylko bezproduktywnie mleć. Sportowa marynarka Middletona przyłgnęła mu do pleców i ramion niczym druga skóra. Wolną ręką ocierał twarz z potu, w drugiej ściskając beretkę. Wreszcie, by powstrzymać falę mdłości, przerwał kłótnię toczącą się z przodu.

Włącz radio. - Tracił Marcusa w ramię pistoletem.

Młody człowiek lekko odwrócił głowę. Jego policzek był upstrzony białymi krostami.

- Ej, mamy tu z Traci do pogadania. Middleton wbił koniec lufy w szyję Marcusa.

- Powiedziałem, włącz radio. Nie mogę zebrać myśli.

- Nie świruj pan, panie Szarak - odezwała się Traci zza kierownicy, zerkając na niego przez ramię. - Porywasz nas, grozisz nam, robimy wszystko, co każeś. Spokojnie, nie wycinaj pan żadnych numerów. Nie z tym gnatem. Odkąd wsiadł do samochodu, tak się właśnie do niego zwracali: panie Szarak. Z początku sądził, że chodziło o jego wymiętą twarz, która z powodu napięcia i niewyspania wyglądała coraz gorzej. W tonie jej głosu uchwycił jednak nutę kpiny, o wyraźnie rasowym podłożu. Czy to nie Cab Calloway nazwał białych ludzi szarakami w swoim słowniku murzyńskiego slangu? Ale to było bardzo dawno temu, zanim ci dwoje się urodzili. Chryste, a nawet zanim urodził się sam Middleton...

- Nie wycinam numerów - odparł.

- Mówię tylko...

- Włącz to cholerne radio!

Ręka Marcusa błyskawicznie sięgnęła do deski rozdzielczej i wcisnęła włącznik. Middleton wzdrygnął się na dźwięk koszmarnego, skoczego jazgotu zadowolonych z siebie głosów, usiłujących przekrzyczeć linię basu, pulsującą w rytmie młota pneumatycznego na tle papki syntezatorowego podkładu. Wszystko to buchnęło z radia nastawionego na cały regulator.

- Zmień stację.

- Zaraz, gościu, coś pan taki nerwus?

- Zmień stację. Już!

Marcus naburmuszył się, ale posłusznie zaczął kręcić gałką. Szum przerywały nosowe okrzyki, zniekształcone głosy nawiedzonych kaznodziejów...

- Musisz się pan wyluzować, panie Szarak - poradziła Traci. - Opuścić, olać to.

Nagle przez trzaski przedarł się przenikliwy dźwięk klarnetu. I sopran w znajomym takcie niezapomnianego „Sprechstimme” Middleton gwałtownie pochylił się naprzód.

- Teraz! Zatrzymaj!

Marcus zrobił minę, jak gdyby kazano mu połknąć żabę.

- Nastaw. Wyreguluj, żeby nie było zakłóceń.

- Nie, nie. Wystarczy, żeś nas pan porwał. Nie może nas pan jeszcze torturować.

- Nastaw!

Nadawano „Księżycowego Pierrota” Schönberga, dwadzieścia jeden pieśni na pięciu muzyków i osiem instrumentów plus głos, z tekstem pół śpiewanym, pół recytowanym, pierwsze dodekafoniczne arcydzieło XX wieku. Niezrozumiały hałas dla większości ludzi, lecz nie dla Middletona, nie dla kogoś, kto rozumiał, kto potrafił w nim usłyszeć ostatnie tchnienie romantyzmu oraz echa nie tylko Maniera i Straussa, ale i Bacha.

- Może sami powinniście się wyluzować - rzekł Middleton, prostując się nieco na siedzeniu. - Wydaje się wam, że to wasze pokolenie wymyśliło rap i hip-

hop? Mówione słowo z akompaniamentem muzycznym ma już ponad czterysta lat. To się nazywa recytatyw. Wprawdzie u Schönberga jest zapis nutowy, ale kiedy mówimy, nigdy nie trzymamy się jednego tonu, nasze głosy zmieniają wysokość. Tak samo jak sopran. Tylko od śpiewaczki zależy, jak to zrobi. Tymczasem instrumenty wyczarowują krajobraz; księżycowy blask, szaleństwo, krew....
Zaintrygowana Traci lekko przechyliła głowę w kierunku głośnika.
Przyglądając się beretce z nową nieufnością, Marcus zapytał:

- Pan jest profesorem?

- Cii - syknęła Traci. Chuderława kobieta o czekoladowej skórze, błyszczących oczach i z potarganym afro słuchała w skupieniu. — Zachowuj się, jakbyś kumał.

Nachmurzony Marcus oparł się o drzwi, drapiąc pokrytą strupami rękę. Wreszcie umilkli. Middleton mógł pomyśleć. Ale pełna grozy muzyka i opowieść o księżycowych obsesjach i koszmarach klauna tylko potęgowały jego obawy. Gdzie jest Charley, czy nic jej nie grozi? Kto próbował go zabić na Dul les, o co chodziło temu człowiekowi? I co czeka na niego przy Fremont Avenue 122 w Baltimore?

Niebezpieczeństwo, które mogło grozić Charley, tylko wzmagало potrzebę rozwikłania zagadki. Jego umysł, otępiały od zmęczenia i strachu, nieprzytomnie krążył wokół tych pytań, a myśli rozbiegały się bezładnie na wszystkie strony. Tymczasem:

Z białą plamą poświaty księżycy z tyłu, na surduta czarnym suknie, w letni wieczór przechadza się Pierrot, poszukując szczęścia i przygody...

Wskazując głową radio, Marcus powiedział:

- Dla mnie to brzmi jak ta sama zacięta stara płyta.

- Bo nie znasz niemieckiego. - Middleton przetarł piekące oczy. - I nie słuchasz akompaniamentu.

- Nowoczesna muza - stwierdziła Traci, wysilając się na komplement, choć wyraźnie straciła zainteresowanie.

Marcus pociągnął nosem.

- Moim zdaniem, brzmi jak jakiś tajemny szyfr.

- Zabawne, że o tym mówisz. - Middleton spojrział przez brudne okno na niewyraźne kontury drzew. - Podczas drugiej wojny światowej krążyły plotki, że naziści wykorzystywali muzykę dodeka-foniczną do przesyłania wiadomości sympatykom faszyzmu wśród amerykańskich elit kulturalnych. Nie ma w niej standardowej melodii, nikt nie rozpozna fałszywej nuty...

- Tu są same fałszywe nuty!

- Otóż to. Tym łatwiej ukryć w nich wiadomość. Kto ją usłyszy w takiej kakofonii?

Nagle pomyślał o spoczywającym w jego teczce rękopisie Chopina, rym samym, którego, jak sądził, szukała polska policja, gdy zatrzymała go na krakowskim lotnisku. Jego przekonanie, że to nie autentyk, opierało się właśnie na kilku pasażach dziwnie dyszarmicznych kadencji, zupełnie nie w stylu pedantycznej melodyki Chopina. A jeżeli to jakiś kod? Jeżeli nie chodzi im o rękopis czy muzykę, ale o coś znacznie cenniejszego, co można odkryć dopiero po rozszyfrowaniu sfałszowanych partytur?

Natchniony tą myślą sięgnął po teczkę, by zajrzeć do rękopisu -j w tym momencie zorientował się, że teczki nie ma.

Błagam, tylko nie to, pomyślał. Boże wielki. Cofnął się pamięcią do hotelu St. Regis, przypominając sobie, jak w toalecie włożył komórkę do kieszeni, potem powlókł się do sali, w lustrze nad barem przyjrzał się swojej poszarzałej z wycieńczenia, łatwej do zapamiętania twarzy, po czym wrzucił telefon do aktówki i ją zatrzaskał. Czyżby wyszedł z hotelu bez niej?

Karygodne roztargnienie. Jeszcze jeden znak otępienia i chaosu w głowie, dowód, że popadł w obłąd, zupełnie jak szalony Pierrot.

- Zawracaj.

Traci posłała mu przez ramię wściekłe spojrzenie.

- Że co proszę?

- Zawracaj! Jedziemy z powrotem do hotelu. Dwójka nieszczęsnych złodziei zerknęła na niego.

- Gościu, zobacz, jakie masz oczy - poradził Marcus. - Zaczyna mnie pan przerażać, panie Szarak - zawtórowała

Traci.

Middleton uniósł berettę, przyłożył lufę do bocznego okna i nacisnął spust. Huk w małym samochodzie, zwieńczony brzękiem rozbijanego szkła, znów go ogłuszył. Traci otworzyła usta w niemym krzyku, w panice garbiąc się nad kierownicą i usiłując ją utrzymać. Marcus chwycił się za głowę, wpatrując się w pistolet szeroko otwartymi oczami. Siarkowy zapach prochu i nagły podmuch wilgotnego letniego powietrza sprawiły, że zgniły odór w samochodzie wreszcie zniknął.

Middleton wolną ręką chwycił Marcusa za kołnierz, dźgając go pistoletem. Podobnie jak wtedy na lotnisku, każdy dźwięk tonał w wypełniającej przestrzeń niewidzialnej magmie, wreszcie jednak, głęboko pod dudniącą czaszką Middleton usłyszał własny krzyk, jak gdyby dobiegający spod powierzchni wody:

- Powiedziałem, że masz zawrócić, bo inaczej przysięgam na Boga, że go zabije. Zabiję go, rozumiesz? Tu i teraz. Ciebie też zabiję.

Szamocząc się słabo w uścisku Middletona, Marcus zaczął dygotać. Traci wyciągnęła rękę, próbując go uspokoić, a gdy jej kojące słowa wreszcie zaczęły do niego docierać, popatrzyła z nienawiścią na Middletona i skreśliła na prawo w kierunku zbliżającego się zjazdu.

Dźwięki stopniowo wracały, nawet trzaski radia, z którego uporczywie sączył

się „Księżycowy Pierrot”. Middleton myślał: „Co się ze mną stało?”.

Barman Conrad ostrożnie przeglądał rękopis. Wyglądał na bardzo stary - wyblakły, kruchy papier, zapisany odręcznie, a nie zadrukowany jak w nutach, które wcześniej kupił Jennifer. Spodoba się jej, pomyślał, czując nagły przypływ gorąca. Chopin. Zarzuci mu ręce na szyję, przytuli policzek do jego twarzy.

Żył tylko dla swojej siostrzenicy. Świata poza nianie widział, kupował jej różne rzeczy — zabawki, kiedy była młodsza, potem skromne ubrania i nuty, gdy zaczęła się uczyć gry na fortepianie. Uzdolniona dziewczyna, najstarsza córka jego siostry, właśnie skończyła dziewięć lat. Zaczęła gwałtownie rosnać, tracąc dziecięcą pulchność, co wprawiało ją w pewne zakłopotanie, lecz wciąż miała tak samo lśniące, czarne włosy sięgające do połowy pleców, nieco bezradne niebieskie oczy, alabastrową skórę. Czarna jak ten irlandzki drań, jej ojciec, który Bóg wie gdzie się podziewał. Może w więzieniu. Albo w grobie. Może wrócił do Carrickfergus. Ktoś musiał się zająć małą, potrzebowała opieki mężczyzny. A wuj ją kochał. Bardzo ją kochał.

Kiedy przed dwoma laty zaczęła zdradzać zainteresowania muzyczne, powitał tę odmianę z radością. Nie musiał już siedzieć na kanapie i przyglądać się, jak baraszkuje na podłodze w skarpetkach i szkolnym bezrękawniku. Teraz mógł siedzieć tuż obok niej, odwracając strony, gdy grała Schumanna, którego jej kupił. „Sceny dziecięce. Album dla młodzieży”. Między nimi unosiła się mocna waniliowa woń jej szamponu, jej ręce niepewnie błędziły po klawiszach, wydobywając z nich przykre dysonanse, a on delikatnie przysuwał się bliżej, póki nie musnął jej rękawa, póki nie dotknął nogą jej uda. Tyle wystarczy, napominał się w duchu. Nic więcej, jeszcze nie teraz. To wszystko, czym możesz się zadowolić. Ale kiedyś. Może. Jeśli zechce.

Takie myśli, takie obrazy, okropne i cudowne, były jak szept dia-bła, powtarzającego mu do ucha: "Tego zawsze pragnąłeś". Żył także dla takich chwil.

Uspokoił się i ochłonał, po czym zwinął rękopis i włożył do kieszeni marynarki wiszącej na ścianie w pomieszczeniu na zapleczu. Gdy wrócił do baru, z hotelowego holu weszli dwaj mężczyźni ubrani w granatowe marynarki i szare spodnie. Jeden był wysoki i chodził energicznym, zamaszystym krokiem, drugi szeroki w ramionach i muskularny, z karkiem jak u byka i małymi, nieruchomymi oczkami. Wyższy posłał mu bezbarwny uśmiech i położył na barze wizytówkę z godłem FBI. Stojący za nim barczysty mężczyzna miał obojętną minę.

Poza nimi w barze nie było nikogo. Tego wieczoru panował przygnębiająco mały ruch.

wyższy z agentów nachylił się, by odczytać imię barmana z plakietki

przypiętej do koszuli, po czym rzekł:

- Dobry wieczór, Conradzie. Był tu dziś mężczyzna w średnim wieku, trochę niespokojny, wytracony z równowagi. Zastrzelił funkcjonariusza policji na lotnisku Dulles i uciekł z miejsca zdarzenia. Dostaliśmy sygnał, że ta strzelanina może mieć związek z zamachem terrorystycznym- Chwilę temu namierzono jego telefon komórkowy w tym barze. Musimy koniecznie ustalić jego miejsce pobytu. Przypominasz go sobie?

Conrad doskonale wiedział, o kogo pytają, ale nie był jeszcze przekonany; czy rozsądnie będzie się do tego przyznać.

- Ten rysopis może pasować do prawie wszystkich facetów, którzy tu byli w ciągu ostatnich paru godzin - odparł. - Bardzo chciałbym pomóc, ale...

Wyższy z mężczyzn nie słuchał. Zauważył teczkę za barem.

Należała do nieznanego, który zjawił się tu wcześniej. Wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł cało z wypadku samochodowego. Mówili, że morderca policjanta. Najwidoczniej także meloman. Conrad znalazł aktówkę, ustawiając stołki. Zajrzał do środka w nadziei, że znajdzie jakieś dokumenty, ale zamiast nich odkrył Chopina.

wyższy przywołał na usta ten sam bezmyślny uśmiech.

— Mógłbyś mi to podać? — wskazał teczkę, wyciągając rękę. -Chciałbym zajrzeć do środka.

Conrad zawahał się. Zaczynał się obawiać, że został zdemaskowany.

- Żeby wszystko było jasne, Conradzie. Sprawą interesuje się Narodowa Agencja Bezpieczeństwa. Mamy szerokie kompetencje. Tak więc... — pokiwał palcem. - Bądź łaskaw.

Dochodząc do wniosku, że nie ma wielkiego wyboru, Conrad wziął aktówkę i podał mu nad barem. Wyższy agent chwycił ją zachłannie i natychmiast otworzył, bezceremonialnie przetrząsając jej zawartość. Jego partner stał, trzymając się nieco z tyłu, z rękami skrzyżowanymi na masywnej klatce piersiowej.

- Nie ma - powiedział w końcu wyższy. Spojrzał przez ramię na partnera, po czym ponownie skierował wzrok na Conrada. Jego bezbarwny uśmiech był bezlitosny. - Czegoś tu brakuje. Ale to już wiesz, prawda, Conradzie?

Conrad poczuł, jak podłoga się pod nim zakotłosała, a trzewia zwinęły w ciasny kłębek. Wewnętrzny głos szepnął mu: „Odkryją twoją słodką tajemnicę”. Zanim zdążył się zastanowić nad konsekwencjami, usłyszał swój drżący głos:

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Wyobrazził sobie Jennifer, siedzącą ze smutnymi oczami i poważną miną na czarnej, błyszczącej ławie przed fortepianem i czekającą, aż miejsce obok zajmie jej wuj, pachnący miętówkami i płynem po goleniu.

- O nutach, Conradzie. Powinny być w teście. Nie ma ich. Przynies je. Zanim przestanę nad sobą panować.

Dopiero wtedy Conrad uświadomił sobie, co mu nie pasowało w głosie tego

człowieka. Akcent. Chyba kanadyjski. Czy FBI przyjmuje Kanadyjczyków?

- Nie chcę sprawiać trudności, ale naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

Wyższy zerknął na drzwi prowadzące na zaplecze; wchodząc do baru, widzieli, jak Conrad zamykał je za sobą. Agent skinął na swojego partnera, by tam zajrzał.

- Nie wolno tam wchodzić. - Conrad poczuł strużkę potu spływającą mu po plecach.

- A to dlaczego?

- To prywatne pomieszczenie hotelowe. Wyższy wyszczerzył zęby w uśmiechu. - I co z tego?

Barczysty agent był już za barem. Z drwiącą miną poklepał Conrada po policzku i otworzył drzwi na zaplecze.

- Pełna współpraca jest w twoim interesie - rzekł jego partner. - Czuję się nieco rozczarowany, że muszę ci tym przypominać.

- Wsiadaj pierwszy.

Middleton beretką wskazał Marcusowi chodnik. Otwierając drzwi z tyłu, strącił ostatnie kawałki stłuczonej szyby, osypując sobie rękaw ostrymi odłamkami. Zamknął drzwi i przez paszczę o szklanych zębach, która kiedyś była oknem, powiedział do Traci:

- Zaczekaj tu. Zostawiłem coś w hotelu. Zaraz pojedziemy. Młoda kobieta milczała, z wściekłością ściskając kierownicę. Middleton schował pistolet w kieszeni marynarki, chwycił Marcusa za łokieć i mocno ścisnął.

- Chodź. Szybko to załatwimy.

Gdy byli w połowie drogi do obrotowych drzwi hotelu, usłyszeli ryk silnika. Odwrócili się obaj, patrząc, jak Traci ucieka. Middleton poczuł, jak otwiera usta. Samochód w pełnym rozpędzie dopadł rogu ulicy, po czym z piskiem hamulców gwałtownie skręcił. I zniknął.

Zanim Middleton doszedł do siebie, młody człowiek wyrwał się, wymierzył mu w szczękę bezbłędny lewy prosty i uciekł ile sił w patykowatych nogach. Middleton zatoczył się, odzyskał równowagę i pocierając pokryty zarostem podbródek, bezradnie patrzył, jak chłopak znika w głębi mokrej ulicy.

Minęła godzina, odkąd stałem dokładnie w tym miejscu, pomyślał Middleton. Nic się nie zmieniło. Chyba że wszystko.

Wszedł do holu, ocierając twarz chustką mając nadzieję, że nie wygląda na tak wyczerpanego i obolałego, jak się czuł. Recepcjonista, który go poznał, uśmiechnął się bez wyrazu. Przy windzie czekała elegancko ubrana kobieta z cienką walizeczką prawdopodobnie cali girl.

Middleton skierował się do ciemnego baru, przestąpił próg i nagle znieruchomiał. Barman mocował się z mężczyzną o wiele potężniej zbudowanym niż on, a walce przyglądał się inny, wyższy mężczyzna.

Nieznanymi byli niemal identycznie ubrani: w granatowe marynarki i szare spodnie. Koszule i nijakie krawaty w ogóle nie pasowały do ich zachowania.

Wyższy patrzył na zapasników z zimną ciekawością i sadystycznym uśmiechem stęzałym na wargach. W ręce trzymał teczkę Middletona, oglądając równocześnie telefon komórkowy, który Middleton natychmiast rozpoznał jako swój. Tymczasem jego kompan, wyglądający na znacznie silniejszego, zakleszczył ramieniem głowę barmana i zaczął go brutalnie okładać pięścią. Barman w wyprostowanej ręce ścisnął partyturę Chopina. Gdy Middleton zobaczył tę scenę, mężczyzna z teczką odwrócił się w jego stronę. Nie masz czasu, uświadomił sobie, widząc, jak mężczyzna marszczy brew i go rozpoznaje. Middleton wyszarpnął berettę z kieszeni i rzucił się naprzód, a mężczyzna cisnął na bok komórkę, zanurzając rękę w marynarce. Middleton wycelował i posłał dwa pociski prosto w środek jego mięsistej twarzy, wierząc, że przedziurawią chrząstkę nosa i utkwiają głęboko w mózgu. Mężczyzna zachwiał się, głowa poleciała mu do tyłu, lecz nadal miał tę samą paskudną minę. Po chwili nogi się pod nim ugięły i runął na podłogę. Barczysty mężczyzna, zaskoczony strzałami, odepchnął barmana na bok i przykucnął, sięgając po broń. Middleton obrócił się, zrobił szybki krok naprzód, wycelował i oddał dwa strzały z bliska, znów mierząc w środek twarzy. Człowiek zakołysał się i z obliczem pokrytym pajęczyną krwi osunął się na jedno kolano, chwytając krawędź baru, po czym padł, wstrząsany konwulsjami.

Barman cofnął się przerażony. Middleton usłyszał zbliżające się od strony holu kroki i okrzyki zgrozy niewidocznych gapiów. Wyciągnął rękę.

- Oddaj mi to. - Wskazywał na rękopis. Gdy barman patrzył na niego bez słowa, Middleton skierował broń w jego stronę. - Nie mam czasu.

Po krótkim wahaniu barman rzucił zmiętą partyturę na bar, na jego twarzy malowała się mieszanina strachu i żalu. Middleton porwał teczkę z podłogi, wepchnął do niej komórkę i rękopis, a potem, wciąż z berettą w ręku, ruszył w stronę tłumu, który rozpierzchnął się po całym holu.

Elegancka kobieta, która stała przedtem przy windach, niepostrzeżenie zbliżyła się do niego, wsunęła rękę pod jego ramię i uchwyciła się wilgotnego rękawa. Poprowadziła go przez hol.

- Nie zatrzymuj się, Harry - szepnęła. - Jeżeli chcesz jeszcze zobaczyć Charlotte.

Rozdział 8

JOHN GILSTRAP

Felicja Kamińska zawsze uwielbiała lotniska. Jako dziecko, które nigdzie nie wyjeżdżało z rodziną, zazdrościła koleżankom, gdy wybierały się na wakacje do tak odległych miejsc, że trzeba było do nich lecieć. Pociągi miały wprawdzie swój urok, ale tylko na lotniskach można było spotkać ludzi, którzy wyruszali w daleką podróż, by zmienić swoje życie. Tak długo marzyła o tej chwili, a teraz wreszcie, po raz pierwszy w życiu miała wsiąść do samolotu - i polecieć do Stanów Zjednoczonych. I to pierwszą klasą. się

W międzynarodowym porcie lotniczym Fiumicino roіło się od ludzi. Podróźni tłoczyli się wspólnie do odprawy, a potem odnajdywali drogę do właściwego wyjścia. Uwagę Felicji Kamińskiej - nie, Joanny Phelps; może powinna to zapamiętać - przyciągnęła pewna rodzina: rodzice starali się zapędzić sześcioro dzieci do stanowiska kontroli bezpieczeństwa, ich nawoływania były jednak jak rzucanie grochem o ścianę. Felicja zdała sobie sprawę, że się uśmiecha.

Po chwili nakazała sobie koncentrację. Po wydarzeniach dzisiejszego poranka musiała zachować czujność. Było jasne, że grozi jej niebezpieczeństwo i gdyby kolejny napastnik chciał ją skrzywdzić, na pewno dopiąłby celu. Na szczęście, co dziesiątą osobą na lotnisku był karabinier z pistoletem maszynowym zawieszonym na ramieniu. Uznała, że to bardzo złe miejsce na próbę zamachu na jej życie.

Po południu wszystko przebiegało dokładnie tak, jak przewidział Faust. Umyty i przebrany, wyprowadził ją z hotelu, przed którym czekały dwa mercedesy z włączonymi silnikami Faust pomógł jej wsiąść do pierwszego, a sam zajął miejsce w drugim. Samochody ruszyły jednocześnie, lecz potem skierowały się w różne strony - jej mercedes skręcił w prawo, drugi w lewo i tyle go widziała.

- Domyślam się, że dotychczas niewiele pani podróżowała - powiedział

kierowca możliwą do przyjęcia polszczyzną. Nie umiała rozpoznać akcentu. -
Wie pani, jak wygląda odprawa?

Okropnie nie podobał się jej jego protekcyjny ton, ale musiała się przyznać
do niewiedzy. Kierowca - Peter, jeśli przedstawił się prawdziwym imieniem -
krok po kroku wytłumaczył jej całą

procedurę, od rejestracji biletu przez kontrolę pasażerów po wejściu na
pokład. Zdziwiła ją tylko konieczność zdjęcia butów przed przejściem przez
bramkę wykrywacza metali. Oczywiście wiedziała o wykrywaczach, lecz po
prostu nie przyszło jej na myśl, że trzeba będzie coś z siebie zdejmować.

- Będzie pan mi w tym towarzyszył? - zapytała, gdy Peter skończył.

- Nie, panno Phelps, obawiam się, że to będzie niemożliwe. Dziś na tomiskach
stosuje się bardzo surowe przepisy bezpieczeństwa. Zostanę w samochodzie, a
kiedy pani wysiądzie, zaraz odjadę. Będzie pani musiała radzić sobie sama.

- Gdzie jest Faust?

Peter napotkał jej spojrzenie we wstecznym lusterku. Przez długą chwilę
milczał.

- Pojawi się gdzie trzeba we właściwym czasie. Najważniejsze, żeby nie
zdradziła pani, że go zna, kiedy go pani znowu zobaczy. Proszę o tym
pamiętać. Sam wykona ruch.

— Pamiętam - odrzekła. I tak na razie nie zamierzam go znać. Po przyjeździe
na lotnisko, do odlotu były jeszcze trzy godziny,

Felicja szybko załatwiła formalności biletowe, ale nie spieszyła się z
podejściem do kontroli. Jak przystało pasażerce pierwszej klasy, miała w
portfelu trzysta dolarów, które dostała od Fausta, postanowiła więc zrobić
użytek z części gotówki w kawiarni. Znalazła stolik tuż przy hali terminalu,
skąd miała doskonały widok na stanowiska kontroli pasażerów. Widziała
morze ludzi, stojących głowa przy głowie, jak w zagrodzie.

Za tłumem dostrzegła stanowisko kontroli pasażerów pierwszej klasy, gdzie
kolejka była znacznie krótsza i lepiej zorganizowana. Na nim właśnie skupiła
uwagę. Spodziewała się, że właśnie tam wydarzy się coś niezwykłego.

Czekała tak długo, że musiała zamówić drugie espresso - godząc się z
perspektywą nieprzespanej nocy - ale po czterdziestu pięciu minutach
zobaczyła to, na co czekała. Przy stanowisku wreszcie pojawił się Faust. W
swoim eleganckim garniturze doskonale pasował do pozostałych bogatych
pasażerów.

Z odległości piętnastu metrów przyglądała się, jak człowiek, który ocalił jej
życie, zrzuci marynarkę i zdejmuje buty. Postawił aktówkę na taśmie, tak by
można ją było prześwietlić rentgenem, po czym wszedł w wąską bramkę
wykrywacza metali.

Czując, jak serce tłucze jej o żebra, Felicja zaczęła się niepokoić, czy wszystko
poszło, jak trzeba. Przecież powinna już nastąpić jakaś reakcja. Powinno...

Nagle rozjazgotał się alarm i nad stanowiskiem kontroli zaczęła pulsować
czerwona lampka. Wiedziała, że ten hałas i migające światło natychmiast

zwróciły uwagę ludzi, instynktownie skłaniając ich do ucieczki. Wszystkich, z wyjątkiem karabinierów, którzy zbiegli się z całej hali, gotowi stawić czoło zagrożeniu.

Przygryzając wewnętrzną stronę policzka, by zamaskować niech satysfakcji, Felicja wstała od stolika i zaczęła iść w kie-runku postoju taksówek przed lotniskiem. Wcześniej musiała znaleźć cambło, aby wymienić dolary na bardziej użyteczne euro. Wiedziała, że ma czas - karabinierzy prawdopodobnie zatrzymają Fausta na co najmniej dwie godziny - i miała nadzieję. Że wystarczy nawet krótka zwłoka, by zdążyła zrobić to, co chciała, a potem mogła zniknąć.

Tymczasem służby ochrony na lotnisku będą przetrząsać bagaż Fausta, szukając pistoletu, który wyraźnie ujawnił rentgen. Ostatecznie, zapewne dość szybko, odkryją przyczynę alarmu.

Zastanawiała się, czy któryś z nich w ogóle się uśmiechnie, gdy zorientują się, że zmobilizowali dziesiątki policjantów tylko dlatego, że jakiś biznesmen wsunął do kieszeni aktówki pistolet na wodę opakowany w folię aluminiową.

Felicja Kamińska wychodziła z lotniska bez swoich nowych rzeczy - z wyjątkiem tych, które miała na sobie. Jej nowa luksusowa walizka spoczywała gdzieś w trzewiach lotniska, już odprawiona i zmierzająca na pokład samolotu, który miał wywieźć bezpański bagaż do Nowego Jorku. Pieniądze zatrzymała, ale poza tym niosła tylko to, co prawowicie do niej należało - plecak i skrzypce.

Poleciała taksówkarzowi wysadzić się u wylotu Via dei Polacchi i dorzuciła do opłaty za przejazd suty napiwek. Jaki jest pożytek z nieoczekiwanej gotówki, jeśli nie można się nią podzielić z innymi? Taksówkarz dziękował jej wylewnie i trzy razy proponował, że zaczeka, aż Felicja załatwi, co ma do załatwienia, ale gdy stanowczo odmawiała, w końcu zrozumiał, co oznacza jej uparte „nie”, i odjechał.

Zaczekała, aż taksówka zniknie za rogiem, po czym ruszyła w górę stromej ulicy. Nigdy nie była w sklepie, którego szukała - w La Musica - lecz od przyjazdu do Rzymu kilka razy piła kawę z jego właścicielem, Abe Nowakowskim. Okazało się, że signor Abe i jej wuj znają się z dzieciństwa, bo w starym kraju mieszkali kilka domów od siebie. Wuj Henryk prosił przyjaciela, aby od czasu do czasu widywał się z jego siostrzenicą. Podczas ich ostatniego spotkania w kawiarni niedaleko Panteonu, zaledwie kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie po raz pierwszy zetknęła się z Faustem, Abe zachowywał się inaczej niż zwykle. Jak gdyby jego pogodną twarz przysłaniał jakiś cień.

W trakcie jednej z wizyt spytała go:

- Dobrze się pan czuje?

Uśmiechnął się, lecz niezbyt przekonująco.

- Starzeję się, to wszystko - odparł. Po chwili milczenia dodał: - Martwię się o ciebie, Felicjo.

A więc o to chodziło.

- Podoba mi się moje życie, signor Abe. Rozumiem, że się pan o mnie niepokoi, ale mówiłam już...

Przerwał jej lekceważącym machnięciem ręki.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, więc udawajmy, że już to powiedziałaś. Chcę, żebyś mi coś obiecała.

Przechyliła głowę, czekając. W rozmowach z pokoleniem jej wuja nie warto było składać żadnych obietnic, dopóki nie pozna się wszystkich warunków.

- Jeżeli cokolwiek ci się przydarzy, jeżeli będziesz miała jakieś kłopoty, chcę, żebyś zwróciła się do mnie.

Wspominając tamtą rozmowę, zastanawiała się, czy signor Abe mógł już coś wiedzieć. Nawet wówczas, słysząc te tajemnicze słowa, poczuła, jak przyspiesza jej puls.

Signor Abe trafnie odczytał jej minę i pospiesznie ją uspokoił: - Nie zamierzałem cię przestraszyć. Im jestem starszy, tym częściej martwię się rzeczami, którymi nie powinienem. Ale gdyby ci się kiedykolwiek wydawało, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo albo gdybyś po prostu poczuła się samotna i miała ochotę na odrobinę mojego fettuccine - obiecaj, że zajrzysz do mojego sklepu. Obawiam się, że nie okazuję ci tyle gościnności, ile powinienem. Nie chciałbym rozczarować mojego drogiego przyjaciela Henryka.

Tamta rozmowa odbyła się przed zaledwie dwoma tygodniami. Dziś, pnąc się zdecydowanym krokiem na wzgórze, zmusiła się, by myśleć tylko o muzyce. Wierzyła, że jeżeli zapełni komórki nerwowe triolami i gamami chromatycznymi, na strach być może nie będzie już miejsca. Nie będzie miejsca na nadciągającą rozpacz, gdy w końcu zmierzy się z faktem, że wuj nie żyje.

Przyspieszyła kroku. Tempo marszu przywiodło jej na myśl brzmienie amerykańskiej muzyki bluegrass - której nigdy nie traktowała poważnie, dopóki nie usłyszała płyty z nagraniami Yo-Yo Ma. Wiolonczelista wydobywał z instrumentu dźwięki, jakich nigdy dotąd nie słyszała. Brzmiały w nich na przemian tony radości i melancholii. Próbowała je odtworzyć na swoich skrzypcach, lecz nigdy nie udało się jej odkryć ich do końca. Jak gdyby instrument Polki wychowanej na klasyce był pozbawiony tej szczególnej nici muzycznego DNA.

Felicja ujrzała szyld La Musica z najbliższej przecznicy i natychmiast zaczęła żałować, że droga nie trwała dłużej. Kilka kroków więcej i być może odnalazłaby w sobie siłę, której potrzebowała, by przekazać straszną wiadomość temu miłemu człowiekowi. Tak się jednak nie stało. Dotarła na miejsce i nie potrafiła wymyślić żadnej wymówki, żeby nie wejść do sklepu. Przekraczając próg, miała wrażenie, jak gdyby cofnęła się o sto lat. Wąskie,

ciemne i głębokie wnętrze sklepu przypominało jaskinię; zamiast nietoperzy z sufitu zwisały dziesiątki skrzypiec, altówek i wiolonczel, a wszystkie lśniły, jakby przed chwilą je odkurzono. Wzdłuż lewej ściany stał rząd kontrabasów, a po prawej z drewnianych stojaków wystawały niezliczone stronice nut. W głębi sklepu...

Właściwie niczego nie mogła tam zobaczyć przez cień okrywający koniec sklepu. - Felicja?

Głos rozległ się za jej plecami - od strony kasy, której nie zauważyła, ukrytej za rogiem przy samym wejściu. Od razu rozpoznała głos z wyraźnie słyszalnym obcym akcentem, mimo to podskoczyła ze strachu i odwróciła się do signora Abe.

- Felicjo, co się dzieje? - Mówiąc to, zaczął się gramolić zza lady tak szybko, jak pozwalały mu artretyczne biodra. - Coś się stało?

Fala wzruszenia zjawiała się znikąd i zaatakowała z całą mocą.

- Wuj Henryk nie żyje - wykrztusiła Felicja, lecz jej następne słowa utonęły w szlochu.

Abe Nowakowski zamknął sklep w południe, czego nigdy dotąd nie robił, i pomógł swojej pięknej młodej przyjaciółce pokonać schody z tyłu, prowadzące do jego mieszkania na piętrze. Tam zaparzył herbatę i wysłuchał jej opowieści.

Felicja miała do siebie żal za to, że nie potrafiła zapanować nad emocjami, lecz w ciągu następnej godziny były chwile, gdy zaczynała wątpić, czy uda się jej przestać płakać. Oczywiście w końcu się uspokoiła, ale czuła, że signor Abe jest gotów siedzieć z nią tak długo, jak będzie potrzebowała.

- Te sprawy wymagają czasu - rzekł. Był niewysokim, korpulentnym człowiekiem o szorstkiej skórze i gęstych, siwych włosach, których grzebień nigdy nie potrafił ujarzmić. Gdy mówił cicho, jego zazwyczaj silny głos brzmiał ochryple. - Straciłem Marię sześć lat temu i choć czasem mi się wydaje, że rana w sercu już mi się zabiłiżniła, przychodzą dni, kiedy czuję taki sam ból jak w dniu jej śmierci. Zacząłem myśleć, że ten ból to dowód na to, że naprawdę kochałem ją tak mocno, jak jej mówiłem.

Herbata była okropna, stanowczo za słodka i za mocna.

- Signor Abe, wiedział pan, że to się może przytrafić mojemu wujowi? - zapytała.

Pytanie wyraźnie zaskoczyło staruszka.

- Kiedy niedawno spotkaliśmy się na kawie, poprosił mnie pan, żebym coś panu obiecała. Obiecałam, więc przyszedłam. Zastanawiałam się tylko...

Urwała w pół słowa, a signor Abe opuścił wzrok na kolana. Język i ciała udzielił odpowiedzi na jej pytanie; miała tylko nadzieję, że staru-szek uszanuje pamięć jej wuja i nie skłamię, by nie zranić jej uczuć.

- Owszem, miałem pewne przeczucie - powiedział. - Krótko przed naszym spotkaniem twój wuj zadzwonił do mnie. Wydawał się... poruszony. Mówił szybko, jak gdyby próbował przekazać mi wiadomość, zanim ktoś mu

przerwie. Albo zanim sam zmieni zdanie. - Nowakowski głęboko nabrał powietrza i wolno je wypuścił. Kiedy znów się odezwał, miał jeszcze bardziej chrypliwy głos. - Powiedział, że przyśle mi paczkę na przechowanie.

Twierdził, że nie może jej trzymać, bo to dla niego zbyt niebezpieczne, i że będzie o nią spokojny tylko wtedy, gdy wyśle ją do mnie.

- Paczka nadeszła? Zignorował pytanie.

- Oczywiście zgodziłem się, ale zadzwonił następnego dnia. Tym razem wyraźnie słyszałem, że jest przerażony. Powiedział, że przed nadaniem paczki niezbyt dobrze to przemyślał i bał się, żeby ktoś nie doszedł do wniosku, że wysyłają do ciebie. Tak mógłby pomyśleć każdy, kiedy wysyłał coś do Rzymu. Prosił, żebym częściej się z tobą widywał i próbował się dowiedzieć, czy nic ci nie groziło. Oczywiście chciał, żebym to zrobił, nie wzbudzając w tobie żadnego niepokoju.

- Co mogło mi grozić?

Staruszek wstał od stołu i podszedł do kuchenki.

- Do dzisiaj nie umiałbym ci na to odpowiedzieć. Teraz chyba już wiemy.

Chcesz jeszcze herbaty, Felicjo?

Wzdrygnęła się na samą myśl, ale chcąc zamaskować tę reakcję, powiedziała:

- Cały dzień piłam kawę. Nie chcę, żeby jeszcze bardziej trzęsły mi się ręce.

Nowakowski uśmiechnął się ze zrozumieniem i utykając, wrócił do stołu.

- Tak, mówiono mi, że parzę trochę za mocną. Pewnie nie da się uniknąć tego ryzyka, kiedy za rzadko przyjmuje się gości.

- Mówił pan o paczce - naciskała. - Dostał ją pan?

- Dostałem. - Powiedział to takim tonem, jak gdyby nic więcej nie trzeba było wyjaśniać.

- Co to było?

Signor Abe znów spuścił oczy. Felicja zorientowała się, że robi tak, ilekroć czuje się zmieszany.

- Henryk wyraźnie prosił, żebym jej nie otwierał. Mówił, że będzie podwójnie zapakowana i gdyby coś mu się stało, miałem zdjąć tylko zewnętrzne opakowanie i skontaktować się z człowiekiem, którego nazwisko znajdę na kartce przyklejonej w środku.

- Ale mimo to otworzył ją pan - powiedziała, domyślając się reszty.

- Z samotności rodzi się słabość i ciekawość - odparł ze smutkiem. - A ja niestety czuję się szczególnie samotny.

- No więc co w niej było? - Zmieszanie pocziwego staruszka było sympatyczne, ale na jego miejscu Felicja bez namysłu rozpakowałaby paczkę. Nie miał powodu się wstydzić.

Zastanowił się przez chwilę, po czym znów podniósł się z krzesła. Zniknął w sypialni i niecałą minutę później wrócił z grubą, wymiętą kopertą.

- Próbowałem ją zapakować z powrotem - wyznał - ale chyba coś mi nie wyszło.

Koperta była duża, nadawała się bardziej na plany budowlane niż na listy.

Signor Abe położył ją na stole, obchodząc się z paczką niezwykle delikatnie, niemal z czcią. Kiedy Felicja sięgnęła po kopertę, odpędził jej rękę.

- Proszę - rzucił szorstkim tonem. - Sam to zrobię. Położyła dłonie na kolanach.

Staruszek energicznie wytarł rękę serwetką, a potem ostrożnie wysunął zawartość koperty.

Felicja nachyliła się bliżej. Zobaczyła plik kartek. Zorientowała się, że są bardzo stare - pożółkłe, pokryte znakami, które mogło pozostawić tylko staroświeckie pióro. W miarę jak ukazywało się coraz więcej, Felicja zmrużyła oczy i pochyliła się jeszcze niżej.

- To partytura - powiedziała, poznając rzędy pięciolinii. Nowakowski posłał jej konspiracyjny uśmiech.

- Ale wyjątkowa - rzekł. Delikatnie położył ją na kopercie i odwrócił, żeby Felicja mogła wygodniej czytać jego skarb.

Boże. Czy oczy jej nie myliły? Nietrudno było poznać długie szeregi szesnastek i inne znaki muzyczne, lecz napisane ręcznie wyglądały tak egzotycznie, że jej wzrok zaraz powędrował na podpis u góry. W jej kręgach nie było słynniejszego podpisu.

- Mozart? - wykrztusiła.

- Oryginalny - rozpromienił się staruszek. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Musi być wart fortunę.

- Ze trzy fortuny - poprawił ją. - Moim zdaniem jest bezcenny. To wyraźnie koncert fortepianowy, ale przeszukałem katalog Kochla i nie ma go tam. Wydaje mi się, że to nieodnalezione dzieło.

Katalog Kochla był znanym na całym świecie indeksem niezliczonych kompozycji Mozarta. Jeśli signor Abe miał rację, rzeczywiście nie sposób oszacować wartości rękopisu.

- To fantastyczne - powiedziała. - Ale nie rozumiem, dlaczego wuj Henryk się bał. Przecież spełnił swoje najskrytsze marzenia. Naprawdę, za takie odkrycie gotów był oddać wszystko. Dlaczego trzymał to w tajemnicy? Dlaczego wysłał to panu?

- Bardzo dobre pytania - zgodził się Nowakowski. — Ale mam jeszcze lepsze. Staruszek wysunął spod rękopisu wewnętrzną kopertę. Felicja zobaczyła zapisane na niej nazwisko, lecz bez adresu. Signor Abe ciągnął:

- Kim jest ten Harold Middleton i jak mamy go odnaleźć?

Rozdział 9

JOSEPH FINDER

Gdy agentka M.T. Connolly usłyszała dzwonek swojej komórki, ogarnęło ją złe przeczucie.

Wracając do swojego biura, wsiadła do windy w nowiułkim budynku, w którym mieściła się regionalna agencja FBI w północnej Wirginii. Właściwie nie było to biuro, tylko boks, ale zawsze mogła pomarzyć.

Spoglądając na wyświetlacz, natychmiast rozpoznała numer kierunkowy i prefiks centrali: dzwonił ktoś z budynku Hoovera - głównej siedziby FBI w Waszyngtonie. Niedobrze. Zdążyła się nauczyć, że z budynku Hoovera nadchodzą tylko złe wieści. Wsiadła z windy na wyłożony lśniącym lastrykiem korytarz.

- Connolly - powiedziała. Odpowiedział jej piskliwy męski głos, wymawiający każde słowo

z przesadną starannością:

- Mówi Emmett Kalmbach.

Nie musiał się przedstawiać; wszędzie poznałaby tę pedantyczną dykcję. Kalmbach był zastępcą dyrektora FBI, nadzorującym setki agentów z terenowego biura w Waszyngtonie oraz ekspozytury w Manassas w Wirginii, gdzie pracowała Connolly. Spotkała Kalmbacha zaledwie kilka razy, ale wystarczyło, aby zdążyła się zorientować, co to za typ: najgorszy rodzaj lizusa i podgryzacza, uwielbiającego zakulisowe rozgrywki. Biurokratyczna żmija.

Nie było żadnego ważnego powodu, żeby Kalmbach dzwonił bezpośrednio do niej. I dlaczego nie dzwonił ze swojego biura na Czwartej, tylko z centrali FBI?

- Tak jest - odparła. Powiedziała to zblazowanym tonem, czując jednak ucisk w żołądku. Patrzyła, jak zasuwają się stalowe drzwi windy i łączą się wyryte

na nich połówki gigantycznego odcisku palca. Odcisk palca miał być dziełem sztuki zdaniem jakiegoś ciała rządowego i właśnie tak wyglądał: jak dzieło sztuki według ciała rządowego.

- Agentko Connolly, kto to jest Józef Padło? Ach tak.

- To inspektor polskiej policji, pracuje nad sprawą potrójnego morderstwa w Warszawie, które...

- Agentko... Marion, jeśli mogę...

- M.T., bardzo proszę.

Ale Kalmbach, nie zwracając na to uwagi, bez zająknięcia ciągnął:

- Nasz przedstawiciel w Warszawie właśnie przesłał mi e-mai-lem wniosek od polskiego Ministerstwa Sprawiedliwości z prośbą

o natychmiastowe zezwolenie na przyjazd do Stanów tego... Józefa Padły.

Twierdzi, że osobiście zagwarantowała mu pani naszą zgodę. Nasz przedstawiciel miał zrozumiałe powody do zdenerwowania.

Tak więc w tej sprawie dzwonił. Connolly nie skorzystała z urzędowych kanałów, więc jakiś nieopierzony urzędniczy na z FBI, który miał pecha trafić do biura przy amerykańskiej ambasadzie w Warszawie, stanął okoniem.

- Widocznie popełniono jakiś błąd w tłumaczeniu - powiedziała. - Niczego nie gwarantowałam inspektorowi Padle. Udzielił nam nieocenionej pomocy w sprawie zabójstwa funkcjonariusza, a być może dwóch funkcjonariuszy policji na Dulles. Ponieważ wydaje się, że ta sprawa ma związek z potrójnym morderstwem w Polsce, inspektor...

- Wydaje się, że ma związek - wtrącił Kalmbach. - Co to ma znaczyć?

Starając się ukryć zirytowanie, wyjaśniła jak najzwięźlejš.

- Padło zdołał zidentyfikować napastnika z Dulles jako Serba i zbrodniarza wojennego, który...

- Przepraszam, agentko Connolly, na jakiej podstawie go zidentyfikował?

- Na podstawie zapisu wideo z kamer monitorujących na Dulles.

- Ach, więc inspektor Padło widział wideo? Zawahała się.

- Nie. Ja widziałam. Ale Padło dokonał identyfikacji na podstawie mojego ustnego opisu.

- Ustnego opisu - powtórzył cicho Kalmbach. Każde słowo ocie-kało protekcjonalizmem.

- Prawdę mówiąc... - zaczęła, ale Kalmbach przerwał jej:

- Rozumie pani, jak długi i skomplikowany jest proces wydawania zezwolenia na wjazd do Stanów Zjednoczonych funkcjonariuszowi organów ścigania obcego państwa? Wymaga wielu tygodni procedur prawnych, pisemnych oświadczeń wydziału kryminalnego Departamentu Sprawiedliwości, biura spraw wewnętrznych. To żmudna i wyjątkowo delikatna sprawa, której absolutnie nie należy traktować z taką beztroską. Przede wszystkim konieczny jest niepodważalny dowód na podwójną przestępczość czynu.

Och, na litość boską, pomyślała. Ten facet żył wyłącznie papierami i wdychał kurz z dokumentów. Dziwne, że jeszcze nie umarł na pylicę.

- Panie dyrektorze, jeżeli Padło ma rację, to trzy zabójstwa w Warszawie są ściśle powiązane ze strzelaniną na lotnisku Dulles, mamy więc oczywisty przypadek podwójnej przestępności czynu.

- Na podstawie słownego opisu przekazanego w rozmowie telefonicznej, agentko Connolly? Naprawdę nie sądzę, abyśmy mieli do czynienia z podwójną przestępnością czynu. To bardzo wątpliwa przesłanka. Obawiam się, że nie będziemy mogli przyznać wizy inspektorowi Padle.

Jasne, pomyślała. Gdyby Józef chciał dostać się do kraju szybko, łatwo i dyskretnie, powinien po prostu wstąpić do Al-Kaidy i zapisać się na kurs pilotażu. Wpuścilibyśmy go bez zbędnych pytań.

Głośno powiedziała jednak:

- Czyli twierdzi pan, że gdybyśmy mieli jednoznaczną identyfikację napastnika - wskazującą na związek zabójstw w Warszawie z zabójstwami na Dulles - bez zastrzeżeń udzieliłby pan inspektorowi zezwolenia na wjazd do kraju?

- Ale jej nie mamy, prawda? - zauważył zgryźliwie Kalmbach.

- Nie, panie dyrektorze. Jeszcze nie.

- Dziękuję, agentko... Marion.

- M.T. - poprawiła.

Ale już odłożył słuchawkę.

Przedstawiała się jako M.T., odkąd skończyła trzynaście lat. Nigdy nie cierpiała swojego imienia, „Marion”. Nosił je także jej ojciec, lecz zawsze zaznaczał z dumą, że tak brzmiało prawdziwe imię Johna Wayne'a. W Gulfport w Missisipi, gdzie ojciec był zastępcą szeryfa w okręgu Harrison, aktora stawiano na równi z Jezusem Chrystusem. Dla niektórych był nawet kimś większym.

Jej zdaniem jednak, imię „Marion” było dobre dla bibliotekarki albo gospodyni domowej z sitcomu, a żadna z tych postaci nie pasowała jej do własnego wizerunku, Connolly była chłopczycą i szczyliła się tym.

Bezwzględnością nie ustępowała chłopakom, a raz nawet pobiła łobuza z siódmej klasy za to, że śmiał nazwać maminsynkiem jej ukochanego młodszego brata Wayne'a.

Dlatego upierała się, by nazywano ją tylko inicjałami, które brzmiały w jej uszach poważnie i konkretnie, i były zupełnym przeciwieństwem imienia dobrego dla pańienek. Może nawet wydawały się nieco enigmatyczne.

Z czasem nauczyła się makijażu, nabrała wyjątkowo ponętnych kształtów i codziennie o piątej rano ćwiczyła przez co najmniej godzinę. Jeśli chciała, potrafiła wyglądać zabójczo. Wiedziała też, że gdy wkładała obcisłą czerwoną dżersejową sukienkę bez pleców, kupioną w sklepie Banana Republic, zawsze przyciągała pełne zachwyty męskie spojrzenia.

W pracy natomiast starała się nie afiszować ze swoją kobiecością. FBI nadal

stanowiło raczej męski klub i była przekonana, że faceci potraktują ją o wiele poważniej, jeśli nie będzie pobudzać ich libido.

Tak jak mężczyzna, który właśnie siedział naprzeciw niej. Nazywał się Bruce Ardsley i był analitykiem zapisów wideo w Wydziale Analizy Kryminalistycznej Fotografii i Nagrań Audio-Wideo. Główne laboratorium FBI znajdowało się w Waszyngtonie, w budynku Hoovera, ale niedawno utworzono tu komórkę analizy w związku z natłokiem zadań Biura po atakach z 11 września.

Ardsley nosił grube szkła w oprawkach stylizowanych na okulary lotnicze, miał przetłuszczone włosy i długie bokobrody, które mogły uchodzić za szczyt mody w szalonych latach siedemdziesiątych. Był znany z tego, że przystawiał się do wszystkich agentek i pracownic administracji. Z Connolly dał sobie spokój już dawno temu i dziś ich stosunki układały się całkiem dobrze.

Jego pokój w suterenie nowego budynku agencji, nie większy od szary ściennej, był zagracony monitorami, zestawami do montażu cyfrowego i komputerami, upchanymi na stalowych półkach. Na ścianie wisiał wymięty plakat przedstawiający człowieka wbiegającego po stopniach stadionu. Nad jego niewyraźną sylwetką był napis WYTRWAŁOŚĆ. U stóp biegacza widniały słowa: „Nie wystarczy jeden OGROMNY krok. Trzeba wielu MAŁYCH kroczków”.

Connolly podała Ardsleyowi dwie płytki.

- Na tej z napisem "Dulles" jest nagranie z lotniska Dulles -powiedziała.

- Sprytne. Uśmiechnęła się.

- Na drugiej są zdjęcia z Warszawy.

Padło zgodnie z obietnicą przysłał jej fotografie kompanów Agima Rugovy.

Jednym z nich był Dragan Stefanović, człowiek, który zdaniem

Padły mógł być napastnikiem usiłującym zastrzelić na lotnisku Harolda

Middletona. Stefanović służył w oddziale dowodzonym przez Rugovę, co

oznaczało, że jest co najmniej zbrodniarzem wojennym. Po wojnie, jak mówił Padło, został najemnikiem i zaczął się ukrywać.

- Mam nadzieję, że w dużej rozdzielczości.

- Wątpię - odrzekła.

- W takim razie zrobię, co się da - powiedział Ardsley. - Na nasze szczęście na Dulles zamontowali nowy sieciowy system monitorujący. Parę lat temu władze lotniska wpompowały w to kupę pieniędzy. Kupili drogie kamery IP Nextiva S2600e z przetwornikiem Wide Dynamie Rangę i zaimplementowanym oprogramowaniem analitycznym.

- Przetłumacz - poprosiła Connolly. - To znaczy, że programy rozpoznawania twarzy są dalej do bani i zdjęcia są dalej nieostre, ale przynajmniej mamy lepsze samopoczucie, bo ładujemy mnóstwo kasy w walkę z terroryzmem.

- Na nasze szczęście... właściwie dlaczego? Wskazał na rząd monitorów na stalowych półkach.

- Kiedy Biuro zorientowało się, jaki tandetny jest ten system rozpoznawania twarzy, musiało wyłożyć więcej pieniędzy na zabawki dla takich gości jak ja. Pamiętasz Super Bowl?

Jęknęła. W 2001 roku FBI założyło ogromny system monitorujący na stadionie w Tampie, gdzie rozgrywano finałowy mecz Super Bowl, aby rejestrować twarze wszystkich widzów przechodzących przez bramkę i porównywać je z fotografiami znanych terrorystów. Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich dostała szału - było to przed 11 września, kiedy ludzie słuchali jeszcze Unii - ale i tak cały plan zakończył się spektakularną, porażką. FBI zgarnęło jedynie kilku koników.

- Chcesz mi powiedzieć, że technika nie poszła do przodu?

- Och, poszła - odparł Ardsley. - Troszeczkę. Zadzwoił jej telefon.

Przeprosiła i wyszła na korytarz.

- Connolly.

- Cześć, M.T., tu Tanya Jackson z technicznego,

- Szybko - stwierdziła. - Masz coś?

Dzwoniła do wydziału technicznego FBI, prosząc o zlokalizowanie telefonu komórkowego Middletona, aby się dowiedzieć, gdzie się w tym momencie znajduje. Wiedziała, że większość nowoczesnych komórek jest wyposażona w GPS, który pozwala ustalić ich położenie z dokładnością do stu metrów, pod warunkiem że aparat jest włączony i wysyła sygnał.

- No, niezupełnie - powiedziała Jackson. - Jest mały problem proceduralny.

- Proceduralny...?

- Słuchaj, M.T. - ciągnęła przeproszającym tonem Jackson. - Wiesz, że nie wolno już nam namierzać użytkowników komórek bez nakazu sądowego.

- Och, naprawdę? - zdziwiła się niewinnie Connolly. Oczywiście świetnie znała nowe przepisy. Teraz należało zdobyć nakaz sądowy, aby zmusić operatora sieci komórkowej do ujawnienia lokalizacji jednego z obsługiwanych przez niego telefonów. Natomiast żeby zdobyć nakaz sądowy, należało dowieść, że popełniono albo właśnie popełnia się przestępstwo.

Ale Jackson przedtem wyświadczała jej podobne przysługi. Lokalizowała komórki bez wymaganych papierków. Dlaczego tak nagle zaczęła się przejmować subtelnościami prawa?

- Tanya, co się dzieje? - spytała. Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Naciskają na ciebie, tak? - domyśliła się Connolly. Po kolejnej chwili ciszy Jackson powiedziała:

- Pięć minut po twoim telefonie zadzwonił do mnie ktoś z samej góry.

Przypomniał mi, że jeżeli zlokalizuję komórkę bez nakazu sądowego, złamię prawo. Mogłabym trafić do pudła.

- Przykro mi, że naraziłam cię na coś takiego - odrzekła Connolly.

- Chciałam tylko, żebyś zrozumiała.

- Tanya - ciągnęła Connolly - czy to przypadkiem nie był Emmett Kalmbach?

- Nie... nie mogę na to odpowiedzieć - powiedziała Jackson. Ale nie musiała.

- Masz fart - oświadczył Bruce Ardsley z promiennym uśmiechem.

- To Dragan Stefanović strzelał na lotnisku?

Skinął głową.

- Jaką masz pewność?

- Prawdopodobieństwo potwierdzenia tożsamości wynosi dziewięćdziesiąt siedem procent.

- Fantastycznie, Bruce.

Co ty na to, Kalmbach, pomyślała.

- W przypadku tego drugiego prawdopodobieństwo jest mniej -

- Drugiego?

- Może siedemdziesiąt osiem procent.

- O jakim drugim mówisz?

Ardsley obrócił się z krzesłem do komputera, postukał w klawiaturę i na płaskim monitorze przed Connolly pojawiła się duża fotografia. Było to zbliżenie ciemnowłosego, czterdziestokilkuletniego mężczyzny, ubranego w ciemny, drogi garnitur. Miał nijakie słowiańskie rysy twarzy.

- Gdzie zrobiono to zdjęcie?

- Złapała go kamera przed toaletą w terminalu D na Dulles.

- Kto to jest? - zapytała.

- Nigel Sedgwick. - Kto?

Ardsley wcisnął następny klawisz i na ekranie obok pierwszej fotografii wyświetliła się druga.

- Brytyjski biznesmen. Z Bromsgrove w Worcestershire. W Anglii. Tak w każdym razie wynika z jego paszportu. Przyjechał do Waszyngtonu, żeby zrobić zakupy dla swojej firmy produkującej jacuzzi.

- Wygląda na zdjęcie z kontroli paszportowej - zauważyła. Ardsley odwrócił się, uśmiechnął się i skromnie wzruszył ramionami.

- Masz rację.

- Skąd je masz?

- Włamałem się do Bezpieczeństwa Krajowego. No, ściśle mówiąc, nie włamałem się. Skorzystałem tylko z tylnego wejścia do bazy danych Biura Celnego i Ochrony Granic.

- Kim więc naprawdę jest ten facet?

Obok dwóch zdjęć na ekranie pojawiło się trzecie. Connolly natychmiast poznała jedną z fotografii z kartotek ludzi Agima Rugovy, które przysłał jej Padło.

- Vukasin - powiedziała.

- Wczoraj wieczorem dostał się do kraju samolotem British Airways z Paryża. Z brytyjskim paszportem. Connolly pokiwała głową.

- Pewnie w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego nie mają programów rozpoznawania twarzy, co? Inaczej by go zatrzymali.

- Och, mają, możesz mi wierzyć - odparł. - A do tego ten Vukasin jest na ich liście poszukiwanych.
- Może mają gorsze oprogramowanie od naszego.
- A może ktoś wiedział, kim jest, i mimo to wpuścił go do kraju.
- To nie ma sensu - powiedziała.
- Wiele rzeczy, które robi Bezpieczeństwo Krajowe, nie ma sensu - odrzekł Ardsley.
- Chcesz powiedzieć... Myślisz, że przepuścili go przez granicę, chociaż figurował w spisie bandytów?
- Owszem - przytaknął Ardsley. - Tak właśnie myślę. Ale jestem tylko technikiem od wideo, więc co ja mogę wiedzieć?
- Jezu - szepnęła.
- Mogę cię o coś zapytać? Odwróciła się od płaskiego ekranu. - Pytaj.
- Miałabyś kiedyś ochotę wyjść na drinka?
- Nigdy nie dajesz za wygraną, co? Wskazał potargany plakat na ścianie.
- Wytrwałość — rzekł z uśmiechem zażenowania.

Zbliżając się do swojego boksu w biurze, Connolly zobaczyła, że na jej krześle siedzi jakiś mężczyzna. Obok niego stał drugi.

Przy biurku siedział Emmett Kalmbach. Stojący koło niego mężczyzna był wysoki i żyłasty, w okularach w rogowej oprawie i z widocznymi zakolami. Connolly nie miała pojęcia, kto to jest

Nieznajomy zauważył ją. mruknął coś, a Kalmbach wolno się odwrócił.

- Agentko Connolly - powiedział Kalmbach, wstając. - Przedstawiam pani Richarda Chambersa z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Uścisnęła dłoń mężczyźnie w okularach w rogowej oprawie. Rękę miał zimną i wiotką.

- Dick Chambers - rzekł bez uśmiechu.

- M.T. Connolly.

- Dick jest dyrektorem regionalnym Bezpieczeństwa Krajowego - wyjaśnił Kalmbach.

- Miło mi. - Connolly starała się, by wyraz jej twarzy i ton głosu pozostały obojętne, jak gdyby nigdy o nim nie słyszała. Ale wiedziała, kim jest. Jego kariera przebiegała zgodnie ze stereotypową drogą dyplomaty: Yale, szkoła kandydatów na oficerów, potem Departament Stanu. Wysyłano go do najgorszych punktów zapalnych na świecie. Po 11 września trafił do DBK z niezłomnym postanowieniem, że żaden terrorysta nie pokaże się w regionie środkowoatlantyckim. Chambers nie cieszył się sympatią federalnych - pod szorstką fasadą kryła się nieustępliwa osobowość - ale potrafił wziąć na siebie ogień, do którego nikt inny nie chciał się zbliżyć. I bez lęku o własną skórę potrafił go gasić. Fakt, że zaangażował się w tę sprawę, wzbudził w niej

niepokój. Duży niepokój.

- Czy ktoś mi wytłumaczy, co się dzieje? - zapytała. - Możemy porozmawiać w sali konferencyjnej - odparł

Kalmbach.

-Agentko Connolly - zaczął człowiek z Bezpieczeństwa Krajowego. - Chyba mamy pewien problem z porozumieniem, który, mam nadzieję, uda nam się wspólnie rozwiązać. - Zajął miejsce u szczytu mahoniowego stołu, milcząco wskazując swoje miejsce w hierarchii.

- Jaki problem z porozumieniem? - spytała.

- Agentko Connolly - włączył się Kalmbach. - To, co zdarzyło się na lotnisku Dulles, podlega kompetencjom policji Wirginii. Sądziłem, iż wyraźnie dałem pani do zrozumienia, że Biura ta sprawa nie interesuje.

Oczywiście wcale tego nie mówił. Odgrywał tylko rolę przed człowiekiem z DBK. Wiedziała, że nie należy się kłócić z Emmettem Kalmbachem o to, co jej powiedział i czego nie powiedział.

- Wydaje mi się - odparła, pokazując płytę CD, którą zrobił dla niej Bruce Ardsley - że Biuro powinno się nią zainteresować. Nasz program rozpoznawania twarzy zidentyfikował dwóch serbskich zbrodniarzy wojennych, którzy nielegalnie dostali się do kraju, jeden z nich używał brytyjskiego paszportu wystawionego na nazwisko...

- Dlaczego próbuje pani odnaleźć Harolda Middletona? - przerwał Chambers, wyjmując jej płytę z ręki.

- Ponieważ jest istotnym świadkiem - powiedziała Connolly. -W międzynarodowej sprawie potrójnego zabójstwa w Warszawie i kolejnego, może już nawet dwóch...

- Czy nie wyraziłem się dostatecznie jasno? - warknął Kalmbach, czerwieniejąc, lecz człowiek z DBK położył dłoń na rękawie jego marynarki, uciszając go.

- Agentko Connolly - powiedział cicho Chambers. - Akta Harolda Middletona są opatrzone niebieskim paskiem.

Spojrzała na niego i skinęła głową. Niebieski pasek oznaczał, że wgląd do akt jest zabroniony ze względów bezpieczeństwa narodowego. Część informacji o służbie wojskowej Middletona została opatrzona klauzulą najwyższej tajności. Oczko wyżej od ściśle tajnych dokumentów.

- Dlaczego? - zapytała wreszcie.

Kalmbach spojrzał na nią spode łba i nie odpowiedział. Człowiek z Bezpieczeństwa Krajowego rzekł:

- Jak mam to sformułować w zrozumiały dla pani sposób? To wykracza poza zakres pani kompetencji, agentko Connolly.

- Czyli jestem wyłączona ze sprawy? - wyrzuciła z siebie.

- Nie, agentko Connolly - odparł Chambers. - Sprawy po prostu nie ma.

Rozdział 10

JIM FUSILLI

Leonora Tesla wysiadła z żółtej taksówki na ruchliwym północno--zachodnim rogu Szóstej Alei i Trzydziestej Piątej Ulicy i wbiegła do domu towarowego Macy's. Kiedy stamtąd wyszła, miała krótko obcięte, nastroszone włosy, czarną bluzkę z postawionym kołnierzem, czarne spodnie i czarne buty na płaskim obcasie - wyglądała prawie zupełnie inaczej niż dobę wcześniej, kiedy zabiła Guntera Schmidta. W skórzanej czarnej torbie, którą ścisnęła pod pachą miała zmianę bielizny i to, co zostało od chwili, gdy posłała ciało Schmidta wygłodniałym hienom w wadi: okulary przeciwsłoneczne, gotówkę, karty kredytowe i paszport, teczkę oraz najcenniejszą rzecz, jaką posiadała - pełnego muzyki iPoda, prezent od Harolda Middletona. Z automatu na Herald Square zadzwoniła do „Human Rights Observera”. Telefon odebrała jakaś stażystka, która poinformowała ją, że Val Brocco nie przyszedł do pracy. Podobno miał grype; z pozostawionej przez niego wiadomości wynikało, że zamierza spędzić w łóżku jeszcze jeden dzień. Tesla postanowiła się nie przedstawiać i nie prosić o podanie numeru jego komórki, pocieszając się myślą, że granicząca z obsesją przezorność Brocco na pewno mu się przyda. Lepiej, żeby uważał: aby odnaleźć Middletona, próbowali ją zabić, wysyłając człowieka do Namibii. W stolicy, gdzie mieszkali Middleton i Brocco, bez wątpienia był już co najmniej jeden agent. Potem z holu Madison Square Garden próbowała się dodzwonić do Jeana-Marca Lespasse'a w Parkwood w Karolinie Północnej. Usłyszała, że pan Lespasse opuścił już TDD - Technologie de Demain, założoną przez siebie firmę. Nie, dodała lakonicznie recepcjonistka, nie zostawił żadnych informacji. Jak można się było spodziewać, numer komórkowy Lespasse'a, który miała Tesla, był nieaktualny. Na Penn Station kupiła za gotówkę bilet na Acela Express do Union Station w Waszyngtonie, choć zamierzała wysiąść w Delaware. Patrząc na tablicę odjazdów, zobaczyła, że ma jeszcze czas, by pobiec do kiosku po telefon na

kartę i plik krajowych i zagranicznych gazet na dwugodzinną podróż do Wilmington.

Odbierając resztę, uniosła wzrok. Na ekranie telewizora nad półką pełną baterii i jednorazowych aparatów fotograficznych pokazywano niewyraźny zapis wideo strzelaniny na lotnisku Dulles. Napis na pasku głosił: „Zginęli dwaj policjanci”.

— Harold - wyrwało się z jej ust

Wpatrywała się w pozbawione fonii wiadomości. Pasek u dołu ekranu informował, że napastnik nie został dotychczas ujęty.

Z jakiegoś powodu uznała to za potwierdzenie, że Middleton nadal żyje.

Zastanawiała się tylko, czy to samo można powiedzieć o Lespassie i Brocco.

Dwanaście godzin wcześniej Harold Middleton opuścił hotel St. Regis w towarzystwie uczeptionej jego ramienia sadystki Eleany Soberskiej, czując wbitą między żebra zastawę P25. idąc razem na zachód wzdłuż K Street, wyglądali na parę, jaką nierzadko widywano w okolicy: ubrany w wymięty garnitur męczyzna w średnim wieku, ściskający w ręku teczkę, i luksusowa prostytutka o zimnym, nieprzeniknionym obliczu. Tyle że zamiast skierować się do cztero-gwiazdkowego hotelu na „randkę” w cenie pięciuset dolarów za godzinę, oddalali się od niego.

Middleton słuchał syren radiowozów - nie miał wątpliwości, że zalękniony barman wezwał stołeczną policję, która z kolei zawiadomiła FBI. Idąc chwiejnym krokiem, zastanawiał się, czy zostanie uratowany przez ludzi, których starał się uniknąć.

- Dokąd... - zaczął.

Lufa pistoletu przejechała mu po żebrach.

- Na Farragut Square - odparła Soberska. - Pod pomnik. Tam jest Charlotte.

Middleton potknął się, ale Soberska go podtrzymała.

- Teczka - powiedział.

- Tak, teczka - odrzekła Soberska. - Oczywiście teczka. Ale teczka to za mało.

Middleton rozejrzył się. K Street była wyludniona. Minęła pora kolacji i chodniki opustoszały. W Nowym Jorku, Chicago, San Francisco, Krakowie, Warszawie po ulicach krążyłyby dziesiątki ludzi, rozkoszując się wieczornym chłodem i szukając następnego lokalu, a gwar ich głosów i śmiech stanowiłyby preludium do dalszych atrakcji. W Waszyngtonie słyszeć było tylko ponure skrzypienie butów strażników przed Parkiem Lafayette i Białym Domem, znajdującym się dwie przecznice dalej.

- Co to znaczy „za mało”? - zapytał Middleton, gdy skręcili na północ w Szesnąstą.

- Dla mnie to tylko kawałek papieru.

- Moja córka...

- Oczywiście chętnie wymienilibyś swojego Chopina na córkę. Ale co jeszcze?

Przystanęli na rogu Connecticut Avenue, którą przejechało kilka taksówek zmierzających na wschód. Wstrzymując oddech, Middleton usłyszał wreszcie wycie syren, dobiegające z większej odległości, niż przypuszczał, ale coraz bliżej.

- Nie ma nic więcej - powiedział. Zmęczenie mąciło frii myśli. Budziom, których zastrzelił w barze, zależało przecież na rękopisie Chopina.

- Pułkownikowi Middleton - odparła z drwiącym śmiechem. - Przestańmy się wygłupiać.

- Ale naprawdę nie wiem, czego chcesz. Głębiej wbiła pistolet w jego bok.

- Wobec tego przyjmijmy, że ja wiem, czego ty chcesz - Charlotte i swojego wnuka.

Zapaliło się zielone światło i Soberska pociągnęła Middletona na ulicę.

- Zrobię wszystko — powiedział, gdy znaleźli się po drugiej stronie.

- Gdzie jest Faust?

Na końcu krótkiego rzędu samochodów zatrzymał się mercedes, blokując im drogę.

- Faust?

- Wiemy o twoich związkach z Faustem. - Wiemy? To znaczy kto...

Zanim Soberska zdążyła zareagować, kierowca mercedesa wystawił przez okno lewą rękę i strzelił.

Pocisk trafił ją w twarz od dołu, przebijając kość nosową i eksplodując u szczytu czaszki. Nad głową Middletona trysnęła czerwona mgiełka, a Soberska bezwładnie runęła na ziemię, wypuszczając z reki zastawę.

- Zostaw to, Harry.

Słyszając ryk syren, Middleton ujrzał swojego zięcia spoglądającego zza kierownicy samochodu swojej byłej żony.

- Zostaw, Harry, i wsiadaj. Szybko.

Kilka sekund później Jack Perez skręcił kierownicę i ominął rząd aut, przecinając skrzyżowanie. Przemknął na żółtym świetle obok Szpitala Uniwersytetu im. Waszyngtona, zamierzając dotrzeć do drogi numer 66, zanim policja zjawi się na miejscu kolejnej strzelaniny, tym razem przy Connecticut Avenue.

- Co z Charley? - spytał Middleton. Trzymał teczkę na kolanach.

- Bezpieczna - odrzekł Perez, z piskiem opon skręcając w lewo.

- A Sylvia?

- Nie, Harry. Dopadli Sylvie. - Gdzie jest...

- W domku nad jeziorem, Harry. Charley jest w domku nad jeziorem.

Middleton otarł policzek i popatrzył na zakrwawioną dłoń.

- Zanim tam dojedziemy, lepiej mi powiedz, co się dzieje.

- Próbują mnie zabić - wykrztusił Middleton.

- Próbują ale żyjesz - powiedział Perez. - Zginęła Sylvia, ci dwaj goście w barze, dwóch gliniarzy na Dulles...

- Trzy osoby w Warszawie - dodał bezwiednie Middleton.
 - A teraz ta dziwka.
 - To nie była...
 - W sumie dziewięć osób, a ty nie jesteś żadną z nich. Ukazał się przed nimi wjazd na autostradę, a ruch, i tak niewielki, prawie zupełnie ustał.
 - Jack, posłuchaj.
- Perez uniósł rękę, uciszając gestem teścia.
- Właśnie naprawiłem reputację swojej rodziny, a to trwało całe wieki. Zrobiłem to dla ciebie, Harry.
- Middleton milczał. Wiedział, że rodzina Perezów w latach sześćdziesiątych miała związki z przestępczą rodziną Genovese, z którą łączyła ją osoba Carla Marcella, ale wywiad wojskowy twierdził, że młody Jack nie był w nic zamieszany. Middleton nigdy nie wspominał Charley o swoim nieoficjalnym śledztwie.
- W zamian za to - ciągnął Perez - powiesz mi, w co wdepnąłeś.
 - Mam tu rękopis Chopina - powiedział Middleton, stukając w teczkę. - Uważa się, że pochodzi z łupu, który hitlerowcy ukryli w cerkwi w Kosowie.
 - Uważa się?
 - To falsyfikat. Nie wyszedł spod ręki Chopina. Został wymięty, pozaginany...
 - A jednak ktoś myśli, że jest wart życia dziewięciu osób? Middleton przypomniał sobie porzucane ciała w cerkwi Świętej Zofii i rozpaczliwy krzyk umierającej nastolatki. Zielona koszula, zielona koszula.. Proszą... - Znacznie więcej niż dziewięciu, Jack.
- Jechali już autostradą i Perez skierował mercedesa na pas szybkiego ruchu, rozpędzając do stu dwudziestu maszynę, za którą unosił się tuman kurzu.
- Dlatego mówię, Jack, że ty i Charley powinniście dalej myśleć, że pojechałem do Krakowa potwierdzić autentyczność...
 - Rękopisu, który inny ekspert też z miejsca uznałby za podrobiony. Nagle ty, który katalogowałeś partytury Bacha, Handla, Wagnera...
 - Mozarta - wtrącił Middleton.
 - Dajesz się nabrać na widoczny gołym okiem falsyfikat.
 - Jack, próbuję ci powiedzieć...
 - I właśnie, kiedy Charley lada chwila może urodzić, jedziesz sobie do Polski. To do ciebie niepodobne, Harry.
- Middleton przyglądał się przydrożnym klonom i topolom.
- Zamierzasz się pozbyć tego pythona?
- Perez trzymał kierownicę, cały czas ściskając w ręce rewolwer kalibru .357.
- Do diabła, nie. Przynajmniej dopóki nie będziesz ze mną szczery. Middleton westchnął.
 - Lepiej, żebyś nie wiedział, Jack.
 - Dlaczego? - spytał Perez, zerkając w lusterko wsteczne. Myślisz, że będzie

jeszcze gorzej?

Choć wrodzony cynizm i ubogie życie ulicznego grajka wyrobiły w niej hart, dziewiętnastoletnia Felicja Kamińska była zbyt młoda, by zrozumieć, że poczucie sprawiedliwości i ostrożny optymizm wywołane nieoczekiwanym sukcesem są jedynie iluzją, równie złudną co obietnica czy pocałunek. Nadal pobudzona kofeiną i wizją Fausta odprowadzanego przez ochronę lotniska, ze sklepu La Musica, należącego do signora Abe, skierowała się do kawiarenki internetowej niedaleko Koloseum. To było kolejne sprytne posunięcie z jej strony;

uciekła z Via delle Botteghe Oscure i nie pojechała pod Panteon ani na północ w stronę fontany di Trevi, w okolice, które penetrował Faust; nie wróciła także do domu w San Giovanni. Zaczynała czuć że jej potajemne życie nabiera sensu, że zrobi wszystko, by upamiętnić wuję Henryka.

Po niecałej minucie spędzonej przy komputerze Felicja dowiedziała się, że Harold Middleton wykłada arcydzieła muzyki na Uniwersytecie w Waszyngtonie.

Czyli sześćdziesiąt pięć - a dokładniej sześćdziesiąt cztery kilo-metry i siedemset pięćdziesiąt metrów — od adresu w Baltimore, pod którym, jak mówił Faust, miała znaleźć nowy dom.

Kwadrans przed siódmą z Fiumicino odlatywał samolot do Waszyngtonu przez Frankfurt, który lądował na miejscu za piętnaście pierwsza. Mogła wymienić bilet pierwszej klasy na klasę turystyczną i zostałoby jej dość euro - nie, dolarów - aby pojechać taksówką do college'u. Gdyby nawet profesora Middletona nie było na uczelni, była przekonana, że mogłaby się z nim tam umówić - wiadomość: „Jestem siostrzenicą Henryka Jedynaka" powinna wzbudzić jego zainteresowanie.

Przenocowała w tanim hoteliku na Lido, była zdecydowana co do planu, choć czuła się nago bez swoich skrzypiec.

Pamiętając, by używać paszportu Joanny Phelps, który dał jej Faust, wymieniła bilet przy stanowisku obsługi klientów Alitalii w terminalu B, posyłając konspiracyjny uśmiech młodej kobiecie za ladą, gdy tłumaczyła, że nie miała ochoty lecieć z vecchio spor-cacciane - obleśnym staruchem który kupił jej bilet. Nie do wiary, ale kobieta skierowała ją po odbiór bagażu, który nie odleciał wczorajszym samolotem.

Sztuczka poskutkowała także w punkcie odbioru bagażu i Felicja wróciła na górę do stanowiska Lufthansy, gdzie za prawie tysiąc czterysta euro kupiła nowy bilet. Pozostałe pieniądze wymieniła na dolary po niemal lichwiarskim kursie.

Trzy godziny później potężny odrzutowiec szybował nad Dolomitami, zmierzając do Niemiec, gdzie miał między lądowanie. i zdarzył fig cud nad cudami, ponieważ po wylocie z Frankfurtu dwa miejsca obok niej, w rzędzie numer 41, pozostały puste. Felicja zsunęła buty, wyjęła koc z górnego schowka i rozciągnęła się w fotelu, tuż przed zaśnięciem się w duchu, by

Middleton potrafił jej wszystko wyjaśnić i by się okazało, że wuj zginął w obronie kultury i sztuki, która przybrała formę nieznannej kompozycji Mozarta.

Spała głęboko, śniąc o muzyce, o .skrzypcach ze strunami z żywego srebra, o powrocie do Stanów - przelotnie mignął jej ojciec, który od lat nie pojawiał się w jej snach, oraz szerokie budynki na State Street w Chicago - gdy nagle poczuła, że coś szarpie ją za palec u nogi. Ocknęła się nie bardzo pamiętając, gdzie jest Otworzywszy oczy, z trudem rozprostowała ciało.

- Tego szukasz?

Faust trzymał dużą kopertę, którą widziała w sklepie signora Abe. Nie miała wątpliwości, że jest w niej rękopis Mozarta.

Uniosła się na łokciach i ku własnemu zaskoczeniu zapytała po włosku:

- Che cosa avete fatto con l'anziano?

Przysiadł na fotelu obok przejścia i położył palec na podbródku.

- Stary Nowakowski ma się doskonale - odparł po angielsku. - I może nadal będzie się miał doskonale.

Patrzyła na niego. Miał na sobie garnitur w niebieskie prążki, białą koszulę i niebieski krawat, który pasował do koloru nieba nad Atlantykiem, i z niezmaconym spokojem przyglądał długie czarne włosy.

- Miałas wielkie szczęście, że cię wczoraj nie zabili - rzekł.

- To nie było szczęście. - Zaczynała przytomnieć.

- Przypuszczam, że ukrywałaś się przede mną, czyli tak, jakbyś ukrywała się przed nimi.

- Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

Faust spojrział w głąb samolotu. Stewardesy były w kabinie z tyłu, przygotowując napoje.

- Zastanów się, Joanno - powiedział. - Twój signor Abe żyje, ty też. Mam Mozarta, którego chciał chronić twój wuj. Wiedząc to, jak możesz uważać mnie za swojego wroga?

- Nic pan nie mówi - odrzekła, siadając i krzyżując nogi. - Niente. Nic.

- Skoro mam Mozarta, pójdę z tobą na spotkanie z Haroldem Middletonem - odparł. - Z człowiekiem, który ostatni widział twój wuj żywego, oczywiście oprócz mordercy.

- Wie pan, kto zabił wuja?

Faust wstał i wyciągnął rękę, dając jej znak, by poszła jego śladem.

- Oczywiście - powiedział po polsku. - Ten zdrajca Vukasin. Najgorszy z najgorszych. Przykro mi, że twój wuj musiał umierać w jego obecności.

- Gdzie on jest?

- Vukasin? Najprawdopodobniej w promieniu około kilometra od pułkownika Middletona.

Faust odwrócił się na dźwięk wózka z napojami, który ze stukiem wtoczył się do przejścia między fotelami.

- Chodź, Joanno - powiedział, biorąc ją za rękę. - W pierwszej klasie podają szampana. I cambozolę z chlebem z pestkami dyni przed lunchem. Jestem pewien, że panzanella i cantucci, które jadłaś wczoraj wieczorem, już dawno przestały działać.

Felicja Kamińska - nie, Joanna Phelps - wstała i włożyła stopy do sfatygowanych butów.

Czerwony strumień po krwotoku tętniczym z rozciętego gardła. Brocco zdążył już zaschnąć na jego opłakanie nędznym stole w kuch-ni, a stężenie pośmiertne zaczęło ustępować. Dziwne, ale miał przy-wiązaną za plecami tylko lewą rękę; prawa zwisała bezwładnie tuż nad plamą z krwi i moczu na podłodze. Tesla zobaczyła na stole zarys j reporterskiego notatnika. Oznaczało to, że morderca zmusił Brocco, by napisał coś przed śmiercią. To z kolei musiało oznaczać, że przed śmiercią był torturowany.

Morderca nagrał też głos Brocco - bo jak martwy człowiek miał zadzwonić do pracy z informacją, że jest chory? Sprytny sposób, żeby zyskać na czasie.

Ale co Brocco miał mu napisać? Schmidt zadał Tesli jedno pytanie: gdzie jest Harold Middleton? Brocco mógł udzielić czterech odpowiedzi: podać prawdziwe miejsce pobytu Middletona albo fałszywe; przyznać się, że nie wie - tak jak Tesla - albo nie powiedzieć nic. Wszystkie odpowiedzi z wyjątkiem pierwszej nieuchronnie prowadziły do coraz większych cierpień i jeżeli Brocco nie wiedział, gdzie jest jego dawny szef, musiał snuć różne domysły.

Tesla spojrzała na swojego byłego współpracownika i choć miał odrzuconą do tyłu głowę i pustkę w szeroko otwartych oczach, wspomniała z czułością jego powagę, jego niezręczne zachowanie wobec kobiet, jego uwielbienie dla osiemnastowiecznej muzyki, jego niezachwianą wiarę w wolną prasę.

Zajrzała mu do ust i zobaczyła, że odcięto mu język. A więc stąd zakrzepła krew na ustach i podbródku i dlatego został zmuszony do pisania.

Tesla podeszła do zlewu, wzięła przetartą ścierkę do naczyń i zbliżyła się do żółtego telefonu na ścianie ze śladami farby drukarskiej. Wykręciła numer 911, podała adres Brocco i upuściła słuchawkę razem ze ścierką, która rozwinęła się i wylądowała na zdartym linoleum.

Odwracając się do drzwi, zobaczyła pięć zamków. Jego porwana torba motocyklowa w kolorze khaki, zawieszona na klamce, była pusta.

Chorobliwie ostrożny Brocco wpuścił mordercę do domu. Morderca ukradł jego laptopa.

Brocco znał mordercę, który potrzebował czegoś więcej niż zapisane w laptopie adresy e-mailowe.

Tesla zbiegła po trzech stopniach i znalazła się w blasku popołudniowego słońca. Myślała, wstrząśnięta, o brutalnym morderstwie Brocco, zastanawiając się, gdzie może być Harold, i na moment zapomniała o

czujności, która nie opuszczała jej od chwili, gdy wysiadła z pociągu w Wilmington, skąd pojechała taksówką na lotnisko BW1, przemknęła przez terminal jak spóźniona pasażerka, a potem wróciła na Union Station i kupiła bilet, płacąc kartą kredytową wydaną kobiecie pracującej jako statystka w Il Teatro Constanzi w Rzymie. Teraz, spiesząc się do autobusu, który posapując, odjeżdżał już z przystanku przy Georgia Avenue, nagle z zaskakującą wyrazistością przypomniała sobie pewne popołudnie spędzone z Haroldem w domku nad jeziorem Anna, które nieoczekiwanie dla niej okazało się bardzo przyjemne. Gdyby miała zwyczaj się rumienić, zrobiłaby to teraz.

Jeziro Anna, powtórzyła sobie, nieświadoma, że nie zauważyła mężczyzny w beżowym citroenie zaparkowanym dokładnie naprzeciwko odrapanego domu, w którym mieszkał Brocco. Mężczyzna miał czarną wełnianą czapkę na ogolonej głowie; czapka zasłaniała wytatuowanego na czarno i zielono pikowego waleta.

Gdy Tesla wskoczyła do autobusu, mężczyzna przekręcił kluczyk w stacyjce, złożył sprzęzynowiec, którym czyścił sobie paznokcie, i odjechał.

Trzydzieści trzy minuty później czekał przed parkingiem przy Union Station, aż z wypożyczalni Budget wyjechał granatowy samochód, za którego kierownicą siedziała kobieta w czerni, w okularach przeciwsłonecznych.

Nic więcej nie mogli zrobić. Nie mieli wyboru. Mercedes zatrzymał się z boku domu, wzbijając w górę chmurę żwiru. Gdy Middleton dźwignął znużone ciało, Perez powiedział:

- Harry, nie ma światła. - Śpi?

- Harry...

Nie, oczywiście, że nie. Charley wysłała męża do Szkocji, żeby uratował jej ojca. Gdyby nie była w ciąży, przyjechałaby sama. Perez wyciągnął rewolwer. Szukając po omacku drogi, weszli do domu. Perez ruszył po schodach do sypialni, a Middleton postawił teczkę i przez kuchnię przeszedł do salonu. Przez panoramiczne okno dostrzegł sylwetkę córki na werandzie. Siedziała nieruchomo na wiklinowym fotelu.

- Charley - szepnął. Po chwili powtórzył jej imię, tym razem głośniej.

Gdy nie zareagowała, Middleton zawołał zięcia i wybiegł na werandę. Charley miała na kolanach jego browninga a-bolta. Pod wiklinowym fotelem utworzyła się mała kałuża krwi, która spływała jej pomiędzy nóg. Middleton wzdrygnął się.

- Jezu - wykrztusił Perez, zatrzymując się gwałtownie. - Charley, Charley, obudź się.

W tym momencie Middleton zrozumiał, że jego córka straciła dziecko. Poczł coś w rodzaju ulgi: na widok krwi przez chwilę pomyślał, że dopadli jej tak

samo jak Henryka Jedynaka, Sylvii i pozostałych ci sami, którzy próbowali zabić go na lotnisku.

Kłęcząc przy żonie, Perez powiedział:

- Potrzebuje...

- Tak, potrzebuje .

I tak Charlotte Perez dochodziła do siebie w Szpitalu im. Marthy Jefferson. W pojedynczym pokoju, pod kroplówką, z mężem, który na wpół przytomny siedział w fotelu obok łóżka z magnum .35 w bocznej kieszeni marynarki. Przez okna wpadały złotawe promienie słońca. Lekki wiatr kołysał koronami drzew.

Harold Middleton miał wrażenie, że każdy może ich tu znaleźć. Jack Perez myślał tak samo.

Rozdział 11

PETER SPIEGELMAN

Felicja Kamińska opadła na ogromną kanapę ustawioną przy oknie, które zajmowało całą ścianę apartamentu na ostatnim piętrze hotelu Harbor Court. Niemal cała utonęła w grubych, obszytych jedwabiem poduszkach. Daleko w dole mrugały do niej żółte i białe światła portu w Baltimore, gdzie wielkie łodzie kołysały się na czarnej wodzie jak wydmuszki. Czyżby w mrugających światełkach krył się jakiś sygnał, jakaś wiadomość przeznaczona tylko dla niej? Jeśli tak, to była zbyt zmęczona, aby ją rozszyfrować.

Prawdę mówiąc, była u kresu sił. Strach i podróż samolotem wyczerpały ją do cna, w dodatku otępiła ją zmiana strefy czasowej i szampan, który lał się strumieniami w kabinie pierwszej klasy. Faust prawie go w nią wmuszał, kieliszek po kieliszku, sam nie ustępując jej kroku i cały czas uśmiechając się niczym kot z Cheshire. Po pierwszej butelce zjawiała się następna - mnóstwo bąbelków - lecz uśmiechnięty Faust wydawał się zupełnie odporny na ich działanie.

Felicja zamknęła oczy, ale wciąż widziała jego białe zęby i ciemne, nieruchome oczy, wciąż słyszała ten głęboki, melodyjny głos mówiący po włosku, potem po francusku, polsku, niemiecku, a teraz po angielsku, gdy zwracał się do pracownika obsługi hotelowej. Jego słowom towarzyszył cień smutnego uśmiechu. Nie patrząc, wiedziała, że człowiek z obsługi - nie żaden boy, ale siedzący za biurkiem nienagannie uprzejmy mężczyzna w nieskazitelnym niebieskim garniturze - w odpowiedzi uśmiecha się i kiwa głową. Fausta wszędzie witały uśmiechy, skinienia głów i dyskretne ukłony: w samolocie; w luksusowej poczekalni na lotnisku we Frankfurcie, gdy czekali na samolot do Stanów; u człowieka, który wyszedł po nich na Dulles, wziął ich bagaże i lśniącym, czarnym bmw zawiózł aż do Baltimore. Jak gdyby wszyscy go znali, jakby dla wszystkich był dobrym przyjacielem, drogim

panem Faustem - który uśmiecha się, pije szampana i mówi wieloma językami, ale w żadnym z nich nie odpowiada na pytania.

Felicja westchnęła i zagłębiła się w poduszki. Kręciło się jej w głowie i mrugały na nią portowe światła, nawet przez zamknięte powieki. Kiedyś zapaliła opium, czarną oleistą kroplę z tym chłopakiem z Tunezji - jak on miał na imię? - który grał na gitarze niedaleko Castel Sant'Angelo, i wtedy tak samo odplynęła. Unosiła się wysoko, a zmartwienia oddaliły się jak odległe światła.

Rozległo się głośnie pukanie i Felicja gwałtownie się ocknęła. Przetarła oczy i usiadła, widząc Fausta otwierającego drzwi apartamentu. Wszedł jakiś przysadzisty i muskularny mężczyzna w dżinsach i czarnej skórzanej kurtce. Miał krótkie siwe włosy. Przywitał się z Faustem po włosku, po czym zerknął na jego gościa i zaczął mówić w innym języku. Szybko i twardo - słowiański, pomyślała, ale nie miała pojęcia jaki. Faust wysłuchał go, pokiwał głową i spojrzął na zegarek. Powiedział coś do mężczyzny - wydając polecenie albo pozwalając mu odejść - a nieznajomy skinął głową i zniknął.

Faust popatrzył na nią.

- Znowu ruszamy w drogę - powiedział. Głos z trudem przecisnął się jej przez gardło.

- Co? Teraz? O tej godzinie? Znow się uśmiechnął.

- Nie ma pokoju dla bezbożnych, Felicjo, ale niedługo wrócimy. Jeżeli chcesz się najpierw umyć, zaczekam.

Potarła twarz, wcierając w nią życie.

- Nie - oznajmiła. - Nie mam ochoty, żeby znowu ktoś gdzieś mnie ciągnął, koniec, jestem zmęczona. Sono riflinito. Non sto andando.

Nawet jej się wydawało, że mówi jak małe dziecko, ale w ogóle się tym nie przejmowała. Patrzyła na Fausta, swobodnie opartego o futrynę, w garniturze bez najdrobniejszego zagniecenia, z idealnie ułożoną fryzurą jak gdyby przed chwilą zszedł ze stron żurnala.

Pokręcił głową.

- Nie zostaniesz tu sama, Felicjo.

Wezbrał w niej gniew.

- Nie? A dlaczego nie?

- To niebezpieczne.

- Potrafię sama na siebie uważać.

- Tak, przekonałem się w Rzymie.

- Pieprz się! - krzyknęła. - Nie potrzebuję żadnej choleralnej niańki.

- Teraz zgrywamy się na małego uparciucha, tak?

- Potrafię być uparta - odparła Felicja, zgrzytając zębami. - Nie wychowałam się w takich miejscach, gdzie człowiek ma służbę na każde skinienie.

Faust uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Myślisz, że ja się wychowałem?

- Powiedzmy, że czujesz się tu jak u siebie w domu. Zachichotał.

- Nie znasz prawdziwego uroku życia na ulicy, jeżeli nie poznałaś go w Buenos Aires i nie trafiłaś między Monteneros a chłopaków z batalionu 601. Zresztą to byli czarujący goście, o wiele bardziej ideowi niż byle teppista w Rzymie.

Felicja masowała sobie skronie, próbując przywrócić prawidłowe funkcjonowanie mózgu. Buenos Aires? Monteneros? O co chodzi, do cholery? Czytała kiedyś o brudnej wojnie, ale nic już nie pamiętała.

- No więc kiedyś było ci ciężko, ale podniosłeś się z rysztocka, oto historia prawdziwego sukcesu.

- Coś w tym rodzaju.

- To świetnie. I sam do tego wszystkiego doszedłeś? Nieważne, że jesteś złodziejem, szpiegiem czy terrorystą, kimś, kto zastrasza staruszków i porywa dziewczyny z rzymskich ulic.

- Mówiłem ci, Felicjo, że twój przyjaciel Abe ma się doskonale, a ja nie jestem szpiegiem. W ogóle nie gustuję w polityce. Gdybym miał określić swój zawód, powiedziałbym, że jestem pośrednikiem. Kontaktuję kupców ze sprzedawcami i pobieram za to opłatę. Całkiem skromną opłatę.

- Kupców i sprzedawców czego? Faust wzruszył ramionami.

- Tego i owego. Różności.

- Na przykład skradzionych rękopisów partytur?

- Rękopis jest w szafie, Felicjo, zamknięty na klucz. Moje upodobania muzyczne są bliższe Sinatry niż Mozarta.

- Jeżeli nie muzyka, to co, narkotyki, broń? Wszystko jedno, na pewno rodzina jest z ciebie bardzo dumna.

Zapadła cisza i Felicja poczuła, jak atmosfera w pokoju zaczyna nagle gęstnieć. Uśmiechnięty pan Faust już się nie uśmiechał, a jego ciemne oczy zdawały się przewiercać ją na wylot. Jej złość i arogancja ulotniły się, ustępując miejsca dławiącemu lękowi. Tym razem pukanie do drzwi powitała z ulgą.

Był to ten sam przysadzisty mężczyzna, który nerwowo spojrzał na Fausta.

Faust coś do niego powiedział - nie wiedziała co - i wyszedł z pokoju.

Przysadzisty człowiek odwrócił się do niej.

- Chodź - powiedział łamaną angielszczyzną. Nie miała ochoty się z nim kłócić.

Faust nie kłamał. Podróż wielkim bmw przez nocne ulice oświetlone żółtym blaskiem latarni trwała krótko. Felicja szukała punktów orientacyjnych: Light Street, East Lombard, ogromny stadion po lewej, skąpany w świetle i pokryty niesamowitą zielenią, potem

platanina wąskich uliczek, stare budynki z cegły. Po dziesięciu minutach zatrzymali się przed jednym z nich.

Czteropiętrowy, szeroki budynek przypominał magazyn starej fabryki. I

rzeczywiście kiedyś nim był, o czym informowała lśniąca mosiężna tablica przy nowoczesnych drzwiach ze szkła: „Fabryka płótna żaglowego - 1888”. Nad tablicą wisiała druga, z adresem: South Fremont Avenue 121.

Mój dom, pomyślała, czując nowy przyływ gniewu i wchodząc za Faustem do środka.

O przemysłowej historii budynku mówiły naga cegła i ozdobne kute żelazo; poza tym reszta holu - lśniący mosiądz, trawione szkło i marmury - świadczyła o jego nowym wcieleniu - luksusowego apartamentowca. Faust podszedł do windy, Felicja podążyła za nim, a potem wysiedli za nim na czwartym piętrze. Skręcili za róg, przeszli przez jasnoszary korytarz i stanęli na jego końcu przed czarnymi drzwiami; Faust zapukał dwa razy. Następnie wyciągnął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka. I nagle zatrzymał się na progu.

Felicja nie widziała żylastego mężczyzny z brodą, który stał z wycelowanym w pierś Fausta glockiem 30, dopóki nie zderzyła się z plecami Fausta.

Zaskoczona chwyciła go za biceps.

- Jezu - szepnęła.

Brodaty mężczyzna uśmiechnął się do Fausta, który odpowiedział uśmiechem.

- Que tal, Nacho - powiedział Faust.

- Nada, Jefe - odparł brodac, po czym wsunął glocka do kabury za plecami. - Na zachodzie bez zmian. Sam zobacz.

Faust delikatnie zdjął dłoń Felicji ze swojego ramienia i ruszył za Nachem w stronę okna. Felicja głęboko odetchnęła i rozejrzała się po mieszkaniu. Było to duże pomieszczenia fabryczne zaadaptowane na mieszkanie - o ceglanych ścianach, wysokim suficie, z odkrytymi belkami i przewodami, wyłożone błyszczącym drewnem i umeblowane nadzwyczaj skromnie: stolik do gry w karty, parę składanych krzesel, lampa podłogowa rzucająca przyćmione światło i ciężkie białe zasłony na oknach. Znajdowało się w nim za to mnóstwo technicznego sprzętu: trzy laptopy, kilka aparatów z teleobiektywami oraz dwie masywne lornetki zamontowane na statywach, skierowane w stronę wąskiej szpary w zasłonach. Nacho manipulował przy jednej z nich.

- Tu jest noktowizor, Jefe - powiedział, gdy Faust nachylił się nad okularami.

- Kiedy była ostatnia dostawa? - zapytał Faust, patrząc przez lornetkę.

- Dzisiaj po południu. Może o piątej.

- Wiesz, co to było?

Nacho spojrział na Felicję i przeszedł na hiszpański. Próbowwała śledzić rozmowę, ale prowadzili ją za szybko i mówili z dziwnym akcentem, zresztą i tak te słowa brzmiały dla niej zbyt naukowo, może były to jakieś terminy chemiczne. Powoli podeszła do lornetek. Faust i Nacho widzieli ją lecz nie zdradzali oznak niepokoju. Zajrzała do okularu.

Świat na zewnątrz był zabarwiony na zielono. Zobaczyła z bliska niski i długi

budynek z cegły, z mnóstwem okien zasłoniętych żaluzjami. Wyglądał na opuszczony. Pośrodku obrazu znajdowała się rampa przeładunkowa, a jedynym ruchomym elementem była plastikowa torba unosząca się na ciepłym wieczornym wietrze.

Nacho zaciągnął zasłony i obraz zalała ciemność. Spojrzał na Felicję i ruchem głowy wskazał jej krzesło w rogu. Usiadła, wciąż wytężając słuch, by złowić fragmenty rozmowy. Mówili teraz o mniej technicznych rzeczach, Faust pytał o kogoś, czy on wie... O czym wie? Hor ario. Może orario, czyli plan, harmonogram? I o kim mówią?

Wydawało się, że Nacho także nie jest pewien. Wzruszył ramionami i podszedł do podwójnych drzwi dużej szary. Położył dłonie na gałkach.

- Może będziesz miał więcej szczęścia niż ja, Jefe - powiedział po angielsku, po czym otworzył drzwi. Felicja krzyknęła.

Człowiek w szafie patrzył na nią, choć był skrupowany drutem i zakneblowany taśmą. Krwawił z rany na ogolonej czaszce, na której miał wytatuowanego pikowego waleta. Nacho przycisnął do warg palec wskazujący, uciszając ją.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, ale gdy wreszcie odzyskała jasność myśli, ujrzała Fausta klęczącego obok mężczyzny z tatuażem. Delikatnie opierał rękę na jego ramieniu, po cichu mówiąc mu coś do ucha. Mężczyzna nie miał już na twarzy taśmy i Felicja zobaczyła, że ma rozchylone wargi i płacze. Po chwili odezwał się po angielsku, wyrzucając z siebie w przerażeniu:

- Nie, nie, nie tygodnie! To kwestia dni. Może nawet mniej! Faust ponownie zalepił mu usta taśmą i niemal serdecznym gestem poklepał go po plecach. Następnie cofnął się i zamknął szafę. Nacho spojrzał na Fausta z uśmiechem.

- Masz to swoje podejście, Jefe - powiedział. Faust uśmiechnął się nieznacznie.

- Zadzwoń, gdyby coś się zaczęło dziać - rzekł. Zwracając się do Felicji, dodał:

- Wracamy do hotelu.

Wstała i apatycznie ruszyła za nim. Gdy mieli wyjść na korytarz, dotknęła ręki Fausta i spytała szeptem:

- Co się z nim stanie, z tym człowiekiem w szafie?

- Nacho się nim zajmie - powiedział Faust. - Chodź, trzeba pomyśleć o kolacji.

Gdy Jack Perez obudził się z rewolwerem w ręku, szpitalna sala tonęła w niemal całkowitym mroku. Jedynym źródłem światła były jarzące się pomarańczowym blaskiem przyciski alarmowe na ścianie, zielone cyfry na monitorze ciśnienia krwi i różowawa poświata latarni sącząca się przez zasłonięte okna. Panowała też prawie zupełna cisza - do jego uszu docierał jedynie miarowy oddech żony, cichy szum powietrza w otworach wentylacyjnych i elektryczny brzęczyk jakiegoś alarmu. Mniej więcej tak jak o

drugiej w nocy.

Ale coś wyrwało Pereza z płytkiego snu. Wyjście teścia? Czyjś głos na korytarzu?

Perez przetarł oczy, podniósł się z fotela i bezszelestnie podszedł do drzwi.

Oparł się o framugę, kładąc jedną rękę na klamce, a w drugiej trzymając rewolwer tuż przy nodze. Głęboko nabrał powietrza i uchylił drzwi.

W głębi korytarza stał Middleton, zwrócony do niego plecami, i rozmawiał z dwojgiem ludzi. Mężczyzna był blady i chudy, a jego twarz pokrywał trzydniowy zarost. Miał cienie pod oczami i rozglądał się niespokojnie.

Kobieta była wysoka, opalona i szeroka w ramionach. Miała krótkie ciemne włosy. Mimo że Perez nie wydał żadnego dźwięku, Middleton wyczuł jego obecność.

- Poznaj moich dobrych przyjaciół, Jack - powiedział, nie odwracając się.

Perez wsunął pythona do kieszeni i zamknął za sobą drzwi.

- To Jean-Marc Lespasse i Leonora Tesla, moi dawni współpracownicy. Nora, J.M., to mój zięć, Jack Perez.

Lespasse skinął głową, a Tesla podała mu rękę.

- Harry opowiedział nam, co się stało, panie Perez. Bardzo mi przykro z powodu tego, co państwo przeżyli. Czy żonie nic nie będzie?

- Straciła dużo krwi, ale lekarze twierdzą, że wydobrzeje. Czy nic jej nie będzie, to inna sprawa. Nie wiem, czy po tym wszystkim któreś z nas odzyska dobre samopoczucie.

Tesla ze współczuciem pokiwała głową, a Middleton powiedział:

- Nora i J.M. też mieli ciężkie dwa dni. Ktoś o mały włos nie zabił Nory w Namibii, a J.M. ledwie uniknął porwania w Chapel Hill.

- Jezu, Harry, czy to wszystko...?

- Tak sądzimy - odparł Middleton. - Człowiek, który zaatakował Norę, szukał mnie.

- Nie czekałem, żeby się dowiedzieć, o co chodziło tym pajacom z parkingu - dorzucił ochryłym szeptem Lespasse - ale słyszałem, że mówią po serbsku i wszędzie noszą te gówniane zastawy.

- I to wszystko z powodu... czego? Tego pieprzonego rękopisu?

- zapytał Perez.

Tesla i Lespasse poruszyli się niespokojnie. Middleton milczał.

- Na litość boską, Harry... - rzekł Perez, kręcąc głową. Spojrzał na Tesłę. - Jak nas tu znaleźliście?

- Oboje widzieliśmy w telewizji informację o „kłopotach” Harry'ego na Dulles i wiedzieliśmy, że... walczy. Oboje doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie pojawi się w domku nad jeziorem.

- Wpadłem tam na Norę - wyjaśnił Lespasse. - I o mały nie odstrzelił mi głowy.

- Zobaczyliśmy krew i pomyśleliśmy, że doszło do najgorszego

- ciągnął Lespasse. - Zaczęliśmy szukać w szpitalach, najpierw tych

najbliższych, i w końcu was znaleźliśmy.

Perez odwrócił się do teścia.

- To nic trudnego. A ci goście, którzy cię ścigają, raczej nie dają za wygraną. Jak długo mamy czekać, zanim się tu zjawia?

Zanim Middleton zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, prze-rwała mu pielęgniarzka pełniąca nocny dyżur.

- Panie Perez, proszę się uciszyć z teściem, a pańscy przyjaciele będą musieli przyjść w normalnych godzinach odwiedzin.

Middleton skwapliwie skorzystał z okazji.

- Oczywiście, bardzo przepraszamy, siostrze. Odprowadzę tylko gości, żeby Jack mógł posiedzieć przy Charley.

Ujął pod ramię Tesłę i zaprowadził ją oraz Jeana-Marca do windy, zostawiając Jacka w ciemnym korytarzu, bezsilnie zgrzytającego zębami.

Na dworze było ciepło i duszno. Szpitalny parking świecił pustkami. Jean-Marc Lespasse zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wypuścił słup dymu w ciemne niebo.

Harry Middleton przypomniał sobie, kiedy po raz ostatni widział się z Lespasse'em i Valem Brocco. To był skwarny dzień na lotnisku im. Jomo Kenyatty, gdzie panował wieczny chaos. Przypomniał sobie też pożegnanie z Norą Tesla. Nastąpiło po tamtym spotkaniu z dwójką mężczyzn i w znacznie ładniejszym miejscu - w utrzymanym w algierskim stylu hotelu na Lazurowym Wybrzeżu - ale była to równie trudna chwila.

Przeszkodził splot okoliczności...

Zerknęła na niego przelotnie, lecz zaraz umknęła wzrokiem. Słowa wydawały się łatwiejsze.

- Twoja rodzina o niczym nie wie? - spytała Middletona Leonora Tesla.

- Nie, nic im nie mówiłem. Nie sądziłem, że kiedyś będę musiał. Sądziłem, że uda mi się ich uchronić przed... tym wszystkim.

Instynktownie chwyciła go za rękę, lecz szybko cofnęła dłoń.

- To nie twoja wina, Harry, ale twój zięć ma rację. Znaleźliśmy cię bez trudu i jeżeli ktoś cię szuka, także znajdzie cię bez trudu. Tu nie jest bezpiecznie.

- Przez chwilę będzie nadal bezpiecznie. Zdamę jeszcze spokojnie wszystko przemyśleć. Ta Soberska pytała o Fausta. Myślała, że wspólnie z nim coś kombinuje.

- Sam powiedziałeś i ja ci mówiłam, Harry, że Eleana Soberska to socjopatka, która notorycznie kłamie - powiedziała Tesla. - Musisz przyjąć, że wszystko, co mówiła, miało cię wprowadzić w błąd. Faust był naszym złym duchem, białym wielorybem, i dobrze o tym wiedziała. Co lepszego mogła ci podsunąć na przynętę?

- Nie musiała mi podsuwać żadnej przynęty, Noro. Wcisnęła mi pistolet

między żebra.

Wydmuchując dym, Lespasse powiedział:

- Przypuszczała, że będzie cię przesłuchiwać, Harry. Przygotowywała grunt, próbowała cię wytrącić z równowagi. Chciała...

Lespasse nie dokończył, bowiem w tym momencie zaterkotał telefon Middletona, który wyciągnął komórkę z kieszeni, odebrał i usłyszał tylko szum. Po chwili odezwał się daleki głos starszego człowieka, zmagającego się z angielszczyzną.

- Pułkownik Middleton? Nazywam się Abraham Nowakowski. Dzwonię z Rzymu i mam wiadomość od Felicji Kamińskiej, siostrzenicy Henryka Jedynaka. Pilną wiadomość.

Harold Middleton przez kilka minut słuchał uważnie. Potem powiedział:

- Ciao, Signor Abe, mille grazie. - Zamknął telefon i głęboko odetchnął. Tesla i Lespasse patrzyli na niego wyczekująco.

- O wilku mowa - rzekł Middleton. - Faust Jest w kraju, niedaleko, w Baltimore. Ma coś, co Henryk Jedynak chciał mi dać. Ma też siostrzenicę Jedynaka.

- W Baltimore? Co on, do cholery, robi w Baltimore? - zapytał Lespasse.

- Nie wiem. Siostrzenicy Jedynaka udało się zadzwonić do przyjaciela rodziny, tego, który właśnie dzwonił. Z tego, co mówił, wynika, że Faust prowadzi tam jakąś operację, ale po minucie dziewczynę rozłączyło.

- Powiedziała, gdzie dokładnie w Baltimore jest Faust? - spytała Tesla.

- Nie, ale zdążyła mu przekazać, gdzie będą z Faustem jutro, to znaczy dziś wieczorem. Lokal nazywa się Kali's Court, na Thames Street. Zdaje się, że wybierają się tam na kolację. Tylko we dwoje. Myślę, że powinniśmy do nich dołączyć.

Tesla i Lespasse spojrzeli na Middletona. Tesla z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Dołączyć? Nie mówisz serio, Harry. Jest nas tylko troje.

- Do takiej akcji potrzebujemy wsparcia, pułkownika - dorzucił Lespasse. - Chyba że chcesz to załatwić szybko, pif-paf i już.

Middleton pokręcił głową.

- Interesujący plan, ale niezbyt sprytny. Nie, trzeba z nim porozmawiać i szczegółowo o wszystko wypytać. Rzeczywiście musimy mieć wsparcie. - Harry ponownie otworzył kłapkę telefonu i przewinął listę kontaktów.

Zatrzymał się na pozycji oznaczonej inicjałami E.K. i wybrał numer.

Czekał zaledwie jeden sygnał. Głos w słuchawce powiedział:

- Najwyższy czas, Harry. Ale pewnie byłeś ostatnio bardzo zajęty.

- Potrzebuję zespołu, Emmett - powiedział Middleton. - W Baltimore.

- Jasne, Harry. Może pogadamy o tym, czego ja potrzebuję?

- O tym też, kiedy załatwimy sprawę w Baltimore.

- Równie dobrze możemy pogadać o tym teraz. Ostatnio ludzi którzy cię spotykają, prześladowuje straszny pech. Trupy na Dulles.

w centrum na Szesnastej i dwóch dupków z lipnymi dokumentami FBI w barze niedaleko. W porządku, wszystko w obronie własnej. Mimo to musisz odpowiedzieć na parę pytań. Poza tym nie możemy powstrzymać chłopaków z miejscowej policji, kiedy będą chcieli cię zgarnąć. Jezu, powinieś od razu nam powiedzieć, co się dzieje.

- Wiesz co, Emmett, ktoś zapomniał mi przysłać program. Nie wiedziałem, co się dzieje. I ciągle nie wiem.

- Tak czy owak musimy pogadać.

- Nie ma czasu, Emmett. Zaraz mi padnie bateria.

- Nie martw się, Harry, pogadamy przy kawie. Powiedzmy za pięć minut w szpitalnym bufecie. - Middleton spojrział w lewo, w prawo i do góry.

Kalmbach parsknął nieprzyjemnym śmiechem. — Z lewej - powiedział. - Po drugiej stronie ulicy.

Gdy Middleton popatrzył w ciemność, dwa razy mrugnęły

do niego reflektory służbowego wozu FBI. Emmett Kalmbach wciąż się śmiał.

- Dla mnie ze śmietanką i dwiema kostkami cukru, Harry.

W apartamencie hotelu Harbor Court zadzwonił wyciszony telefon komórkowy, który odebrał człowiek znany jako Faust. Po drugiej stronie odezwał się daleki głos starszego człowieka. Faust słuchał w skupieniu, a na jego ustach igrał zadowolony uśmiech.

- Dobra robota, signor Abe - powiedział.

Rozłączył się i zajrzał przez salon do mniejszej sypialni apartamentu. Na poduszkę w wielkim łóżku padała plama światła, w której zobaczył bladą twarz Felicji Kamińskiej i kosmyk jej rozrzuconych jasnych włosów.

- Urocza - powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Rozdział 12

RALPH PEZZULLO

Dzielnica Felis Point miała w sobie coś, co wprawiało Harolda Middletona w fatalny nastrój. Może chodziło o bójkę w barze The Horse You Carne In On, przez którą wyrzucono go z West Point. Może miało to związek z blizną pozostawioną na jego lewej skroni przez barowy stołek - tą, która zaczynała go boleć, ilekroć temperatura spadała poniżej pięciu stopni.

Ta zatęchła dziura zmieniła moje życie, pomyślał, zanurzają się we mgle, która jak zły los nie opuszczała Thames Street

Poronienie Charley; tragiczna śmierć jego byłej żony Sylvii:

chaos i zniszczenie, postępujące za nim krok w krok od spotkania

w Krakowie. Teraz, nadchodząc niczym święty Jerzy, ruszający p do walki ze smokiem na zachwycającym bogactwem barw obrazie Rafaela Santi, był zdecydowany pomścić wszystkie krzywdy, nawet jeśli Faust, wybierając restaurację Kali's Court, chciał sobie z niego okrutnie zakpić. Uśmiechnął się do siebie. Czy Kali nie była hinduską boginią zagłady?

Przebijając wzrokiem mgłę, Middleton powtórzył w duchu, że musi się skoncentrować. Sprzymierzyły się przeciw niemu ciemne t podłe siły.

Sytuacja była prosta. Przyszedł pokonać zło, które przybrało przerażająco złożoną postać.

W tkwiącej w jego uchu słuchawce zaskrzeczał głos Nory Tesli:

- Obiekt jest w środku. Sam.

Dziwne, pomyślał, maszerując po tym samym bruku, na który przed laty wyrzucono go jak śmiecia.

- Nie ma z nim Felicji Kamińskiej?

- Powiedziałam „sam”.

Powiedziałaś. Middleton wyprostował ramiona, poprawił kołnierz marynarki i wszedł do restauracji. Zatrzymały go zimne, niebieskie oczy hostessy z przylepionym do twarzy uśmiechem.

- Ma pan rezerwację?

- Jestem z kimś umówiony. To trzydziestokilkuletni mężczyzna. Z długimi ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu, wysoki Właśnie przyszedł...

- Tak, znam go. - Speszona, próbowała równocześnie uśmiechnąć się i podejrzliwie zmarszczyć brwi. - Mówił, że zje kolację sam.

- Nie dziś, skarbie.

Stukając głośno butami Dover Saddlery do jazdy konnej o orzechową podłogę, Middleton pewnym krokiem minął stół, przy którym siedzieli Tesla i Lespasse w towarzystwie agenta FBI i jeszcze jednego człowieka, noszącego zagadkowy tytuł, choć można się było domyślić charakteru jego zajęcia, jeśli ktoś wiedział, że jego telefon jest podłączony do centrali niedaleko Crystal City w Wirginii, gdzie znajdowała się siedziba Pentagonu. rNa zewnątrz w furgonetce czekali inni znakomici goście: Emmett Calmbach oraz przedstawiciel Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego Richard Chambers.

Obecność osób na tak wysokim stanowisku podczas zwykłej obserwacji należała do rzadkości. Faust był jednak tak wielką niewiadomą, a ostatnie strzelaniny wzbudziły tak duży niepokój, że do sprawy chciały się włączyć bezpośrednio obie największe agencje odpowiedzialne za tropienie zewnętrznych zagrożeń dla Stanów Zjednoczonych. Middleton znał Kalmbacha. Może i był tchórzem, lecz pułkownik się tym nie przejmował; łatwiej mu było zdobyć od federalnych z Dziewiątej to, czego chciał. Nie sądził natomiast, by Dick Chambers, dyrektor regionalny, jakoś szczególnie interesował się Faustem. Polityka na Bałkanach go nie ciekawiła. Podczas wojen odwiedził ten region tylko raz. Widocznie uznał, że poradzą sobie z tym jego podwładni, i ruszył na Bliski Wschód - gdzie widział większe zagrożenie dla Ameryki i oczywiście miał rację.

Przyczyna obecności Chambersa mogła być jednak prostsza: DBK, instytucja, która wprowadziła w kraju kolorowy kod poziomów zagrożenia i otrzymała zadanie ochrony granic, schrzaniła sprawę i skupiając się na ludziach, których nazwiska zaczynały się od „Al-”, nie zauważyła, że do kraju przekradł się na fałszywych papierach Vukasin, znany zbrodniarz wojenny, wraz z nieznaną liczbą swoich siepaczy.

Dla Middletona niekoniecznie była to zła wiadomość. Oznaczała, że Chambers, pragnąc chronić swój wizerunek, był gotów udzielić im znaczącego wsparcia. Middleton był pewien, że wszystkie figury sana właściwym miejscu i szach-mat wisi w powietrzu.

Zauważywszy gęste czarne brwi wystające znad egzemplarza „Racing Form”, Middleton przystanął i pochylił głowę.

- Dobry wieczór, Fauście - powiedział donośnym głosem, stawiając na stole teczkę. Serce mu waliło, miał wilgotne dłonie. Siedział przed nim człowiek, którego tropił przez parę lat. Wydawał się słabszy, znacznie drobniejszy, niż Middleton się spodziewał, choć znał rysopis zbrodniarza wojennego lepiej niż własny.

- Patty's Special podobał mi się raczej w ósmej gonitwie, kiedy obstawiano dziesięć do jednego. - Faust odłożył gazetę i starannie ją wygładził. - Pułkownik Harold Middleton.
Smagły mężczyzna z krzywym uśmiechem na moment uniósł wzrok po czym pstryknął palcami na nerwowego kelnera z blond czupryną.
- Przynies kieliszek dla mojego przyjaciela. - Zwracając się do Middletona, rzekł: - Mam nadzieję, że nie wzgardzisz beaujolais. Amerykanin uśmiechnął się, słysząc, jak ofiara próbuje go zmylić. - Wystarczy, że mam ciebie, Fauście - powiedział, odsuwając kerzesło i siadając. - Wszystko, czego sobie życzysz, Faust złożył gazetę, utkwiał w nim głębokie czarne oczy i rzekł:
- „Pewnie - spróbowałem zatem - te dwa słowa są cytatem z wieszczą, znużonego światem, wciąż skąpanym w krwi łzach, i mistrza, który swoją lutnię stroił smutnie, cały w łzach, na dwa tony: Kres i krach?”*
- Boleję nad ludźmi, którzy igrają z cudzym życiem. - Ja również.
- To koniec.
- Miejmy nadzieję, że nie, pułkowniku. - Wziął do ust kęs potra-

* Kruk Edgara Allana Poe w przekładzie Stanisława Barańczaka

wy, którą wyraźnie się delektował. - Jest coś, za co wam nigdy nie podziękowałem. Moje imię. - Imię?
- To był wasz pomysł. Przypuszczam, że znaleźliście jakieś dokumenty w arcydziele Goethego i nadaliście mi imię jego bohatera.
- Sądzisz, że Faust był bohaterem?
- No więc postaci. - Uniósł kieliszek. - Wypijmy za zaprzeczenie duszy diabłu. Middleton nie tknął wina.
Mierzyli się wzrokiem. Middleton pragnął jedynie sięgnąć ponad stołem i ukroczyć mu łeb.
- Wielki Edgar Allan Poe zmarł w Church Hospital, niedaleko stąd. Niewielu go opłakiwało. Ciało biednego szalonego geniusza złożono w bezimiennym grobie. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Niech Bóg ocali moją duszę”.
- Czyżbyś się z nim identyfikował? Faust pokręcił głową.
- Wydaje mi się, że bardziej przypomina ciebie. Skazany na chodzenie po ziemi jako napiętnowany człowiek. Prześladowany na drodze życia przez demony. Siłą woli przekuwający udrękę w sztukę.
Middleton opróżnił kieliszek i uderzył pięścią w stół.
- Jesteś zbrodniarzem! Potworem! Ciągle snią mi się dzieci wymordowane w Kosowie i Raćaku.
Faust zaśmiał się w kułak, podsycając tylko gniew Middletona. Po chwili uniósł rękę.
- Spokojnie, przyjacielu. Dlaczego wy, Amerykanie, zawsze zakładacie, że wszystko jest czarno-białe?

- W tym przypadku jest.
 - A jeśli coś jest przewiązane różową wstążeczką, to jest prezentem urodzinowym?
 - Być może sam nie pociągnąłeś za spust, ale stałeś za człowiekiem, który to zrobił.
 - Rugova był łajdakiem. Niech spoczywa...
 - Mam nadzieję, że gnije w piekle.
 - Był bardzo użyteczny.
- Middleton wycelował palec w podbródek rywala.
- Jesteś winien. Czuć to od ciebie.
 - Podobasz mi się, pułkowniku. Potrzebuję cię. Dlatego właśnie musisz przestać obrażać swoją inteligencję.
- Zanim Middleton zdążył odpowiedzieć, Faust pstryknął na kelne-ra, który truchtem podbiegł do stolika.
- Mój gość zamawia na początek ośmiornicę w glazurze; dla mnie sałatka z gruszkami i karmelizowanymi orzechami. Dla nas obau poproszę bronzini. Bez soli.
- Faust uniósł kieliszek.
- Za początek naszej współpracy. Za sukces!
 - Co ty wygadujesz?
 - Liczą na nas dziesiątki, może nawet setki tysięcy ludzi, którzy nawet nie zdają sobie z tego sprawy.
 - Melomani? - spytał ponuro.
 - Dużo o tobie wiem, pułkowniku. Dokładnie cię prześwieciłem. Jesteś człowiekiem, który wytrwale dąży do celu, jeśli cel służy szlachetnej sprawie. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale sądzę, że dotychczas wybierałeś niewłaściwe cele.
- Na stole zjawiły się ośmiornica i sałatka, które po chwili obficie posypano świeżo zmielonym czarnym pieprzem.
- Założą się o cenę tego posiłku, że zanim skończy się dzisiejszy wieczór, będziemy pracować razem - rzekł Faust. Middleton skinieniem głowy przyjął zakład.

W rogu pachnącej cytryną i marynatą kuchni w restauracji Kali's Court, w małym pokoiku księgowego siedziała agentka M.T. Connolly, w napięciu słuchając przez słuchawkę rozmowy dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku niecałe pięćdziesiąt metrów od niej.

Kalmbach. Miał do swojej dyspozycji setki agentów, a jednak w przyпіływie niepotrzebnego bohaterstwa sam pojechał do szpitala im. Marthy Jefferson, nieświadomy, że śledzi go Connolly. Kilka godzin później Kalmbach wraz z Dickiem Chambersem zaprowadzili ją do Middletona. I Fausta, który od anegdoty o ojcu rozpoczął właśnie kolejną część swojej rozprawy.

Connolly słuchała uważnie. Podsluch był tuż obok Fausta, pod talerzykiem na pieczywo.

- Do tańca proszono zwykłym skinieniem głowy - mówił Faust. - Poważne zaloty...

Podskoczyła m dźwięk dzwonka swojego telefonu. Sięgnęła do paska i błyskawicznie chwyciła aparat

- Connolly.

- Cześć, Brawurko.

Wstała i oddaliła się od wścibskich spojrzeń kucharzy.

- Padło - powiedziała prawie szeptem. - Gdzie jesteś?

- Sono a Roma - odparł po włosku, z pół amerykańskim, pół polskim akcentem. - Ktoś chce się z tobą przywitać.

- Józef, zaczekaj...

- Ach, uprzedzam tylko, że mówi po angielsku dość... Właściwie wcale nie mówi.

Connolly westchnęła, podczas gdy drugim uchem wciąż łowiła fragmenty rozmowy Fausta z Middletonem.

- Buona sera, Signora Connolly - powiedział zdenerwowanym głosem jakiś starszy człowiek. - Il mio nome è Abe Nowakowski. Posso aiutarlo con il vostro commercio.

- Przepraszam... Commercio! Nie rozu...

- Interes - wyjaśnił Padło, biorąc do ręki ciężką czarną słuchawkę w sklepie staruszka. - Chodzi mu, jak przypuszczam, o znalezienie Middletona.

- Mam Middletona - usłyszał Padło. - I Fausta.

Gdy Padło powtórzył nazwiska, staruszek wzdrygnął się.

- Są razem? - spytał inspektor.

- Razem i negocjują.

Nowakowski, który nie potrafił ochłonać ze strachu od chwili, gdy zobaczył partyturę Mozarta, zapytał:

- Dove è il Felida?

Padło zauważył, że staruszek drży.

- Młoda dziewczyna - wyjaśnił agentce Connolly. - Felicja Kamińska.

Siostrzenica Jedynaka. - Przypominając sobie zdjęcie, zaczął opisywać jej wygląd.

- Nie ma jej - poinformowała go Connolly.

- Harbor Court - powiedział do inspektora staruszek. Padło powtórzył nazwę hotelu.

Nie teraz, pomyślała Connolly, zamykając klapkę telefonu. W sali restauracyjnej Faust kontynuował swój monolog.

- Kiedy mój ojciec ożenił się z moją matką, był już dość starym człowiekiem - mówił Faust - Poznali się w Buenos Aires, w jednej z knajp, nazywanych milangas, gdzie tańczono tango. Zdarta płyta Caiiosa Gardela, uwodzicielskie

spojrzenia podszyte stłumionym pożądaniem. Do tańca proszono zwykłym skinieniem głowy. Poważne zaloty zaczynały się od krzyżowania stóp i podnoszenia nóg pod kryształowymi żyrandolami- Zanim zamienili pierwsze słowo, ojcu zdawało się, jak gdyby już się kochali.

- Co twój ojciec ma z tym wspólnego?

- W młodości pracował w Polsce jako chemik. Mówił, że matka przypominała mu jego pierwszą żonę, Cygankę Zumelkę. Zginęła w Europie podczas wojny.

- Jak miliony innych. Gdybyśmy nie powstrzymali tego szaleńca, dzisiaj wszyscy mówilibyśmy po niemiecku.

- Nazywał moją matkę Jolanta, kwiat fiołka. Był sentymentalny. Kiedy poznał swoją pierwszą żonę, sprzedawała fiołki na placu Zamkowym w Warszawie.

- Nie rozumiem, co to wszystko...

- Czy w trakcie swoich podróży i śledztw prowadzonych dla rządu słyszałeś kiedyś o Projekcie 93?

- Nie sądzę.

- Wiesz, na czym polegała praca Gerharda Schradera?

Middleton przecząco pokręcił głową.

- To był niemiecki chemik, prowadzący eksperymenty z różnymi środkami chemicznymi. Wynalazł tabun, substancję, która pierwotnie miała służyć do trucia owadów, a potem stała się bronią chemiczną. Hitlerowcy wyprodukowali dwanaście tysięcy ton tego śmiertelnie śmiernego gazu w tajnych zakładach w Polsce, nazwanych Hockwerk.

Faust sięgnął do teczki stojącej na podłodze i wyciągnął kserokopię dokumentu z trybunału norymberskiego.

- W Hockwerk pracował mój ojciec. Czwarte nazwisko na liście.

- Kazimierz Rymut?

- Zwróć uwagę na gwiazdkę i przypis u dołu. Może trudno go odczytać, więc ci zacytuję: „Ta osoba została uniewinniona z uwagi na ujawnienie przez nią informacji na temat eksperymentów prowadzonych na ludziach”.

- Nie jestem pewien, co to znaczy.

- Mój ojciec dowiedział się, że niektóre substancje, nad którymi pracował - przypuszczał, że miały być wykorzystane do tępienia szczurów i innych gryzoni - są używane do zabijania ludzi. Czternastego października 1944 roku doktor Josef Mengele wywiózł około pięciu tysięcy Cyganów z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen niedaleko Oranienburga i przetransportował do lasów w pobliżu Rudnej w Polsce, gdzie zostali spryskani sarinem. W ciągu kilku godzin wszyscy - mężczyźni, kobiety i dzieci - zginęli.

- Czy to nie ten sam gaz, który został użyty podczas zamachu w tokijskim metrze?

- Tak, przez członków sekty Najwyższa Prawda. Dłoń Fausta powędrowała do teczki.

- Mam oficjalny raport, ale oszczędzę ci szczegółów. Wystarczy powiedzieć, że skutki były potworne. Gdy pogłoski o tym zdarzeniu dotarły do mojego

ojca, na pewno z początku nie chciał w to uwierzyć. Jak wielu ludzi starał się odizolować od okropności wojny. Słuchał Vivaldiego, naprawiał zegary z kukułką, piekł ciastka, wzruszał się na widok dzieci. Był zupełnie inny niż my, pułkowniku. Kiedy jednak stanął twarzą w twarz z koszmarem, zaczął działać.

- Wygląda na to, że twój ojciec był bohaterem - rzekł Middleton.

- Rzeczywiście stał się bohaterem i przykładem dla mnie. Nie wchodząc w szczegóły, powiem tylko, że znalazł sposób, żeby przekazać aliantom informacje o planach produkcji broni chemicznej w Hockwerk, znanych jako Projekt 93, i dzięki niemu fabryka została zbombardowana, zanim zdążyła dokonać większych zniszczeń.

- Dzięki Bogu.

Zjawił się kelner z bronzini. Spod kruchej brązowej skorupki wydobywał się delikatny aromat kwiatu pomarańczy.

- Tak, dzięki Bogu - rzekł Faust. Skosztował ryby i uznał, że jest wspaniała. - Szaleńcy zostali powstrzymani. Ale źli ludzie mają sposoby, żeby odkryć na nowo najstraszniejsze rzeczy.

Middleton skinął głową.

- Wierzę, że zło odgrywa czynną rolę na świecie.

Faust nachylił się nad stołem i zniżając głos do szeptu, powiedział:

-I razem je powstrzymamy.

- Jak? - Middleton poczuł, że ma mętlik w głowie. Z jednej strony pragnął mu uwierzyć; z drugiej Faust budził w nim głęboką nieufność. - Nadal nie rozumiem, jaki to wszystko ma związek z nami, z dzisiejszą rozmową.

- Taki, pułkowniku, że w niektórych rękopisach, które znalazłeś w cerkwi św. Zofii i w Muzeum Czartoryskich, nie chodziło o muzykę. Tego właśnie nie zdążył ci powiedzieć twój przyjaciel Henryk Jedynek. I dlatego zginaj.

- Dlaczego?

- Bo w nutach są zaszyfrowane formuły wielu V-gazów, bardzo trwałych środków chemicznych działających na układ nerwowy, nad którymi pracowano w Hockwerk, wielokrotnie silniejszych od sarinu czy tabunu. Najniebezpieczniejszym z nich jest VX. Naukowcy uważają go za najbardziej toksyczną substancję syntetyczną znaną człowiekowi.

- Jeżeli to prawda...

- Najprawdziwsza prawda! Na dowód mogę przedstawić dokumenty - powiedział Faust. - Przypuszczam, że sam zechcesz dokładnie to sprawdzić.

- Oczywiście.

- Zegar tyka, pułkowniku. Zostało niewiele czasu.

- Dlaczego?

- Chyba nie muszę mówić, która formuła jest zaszyfrowana w rękopisie Chopina?

- VX.

- Zgadza się.

Umysł Middletona pracował gorączkowo, analizując wszystkie wydarzenia od chwili, gdy pierwszy raz ujrzał rękopisy w Prisztinie.

Faust ułamał kawałeczek chleba.

- Musimy powstrzymać Vukasina!

- Za tym stoi Wilk? - Pomyślał o Sylvii; o Charley, której nadal groziło niebezpieczeństwo.

- Oczywiście. Ma straszne plany. Niewyobrażalnie okrutne.

- Przecież Rugova... Na czym polegała jego rola?

- Czasem nie możemy pozwolić sobie na luksus doboru sojuszników. Kiedy się dowiedziałem o istnieniu rękopisów, wynająłem do pomocy Rugovę. Nie mogłem na nim zbyt wiele polegać ani liczyć na jego życzliwość. Z przykrością muszę powiedzieć, że znalazłem się w rozpaczliwej sytuacji. Teraz jestem w jeszcze gorszej.

Vukasin wiedział, że jest sam - sam przeciw pięciu radiowozom, dziewięciu umundurowanym gliniarzom i być może dwa razy większej liczbie tajniaków, którzy zjawili się w szpitalu imienia Marthy Jefferson. Ktoś wykazał się sprytem: zawiadomił miejscową policję, że Middleton, podejrzany o zabójstwo dwóch funkcjonariuszy na Dulles, był widziany w szpitalu i mógł tu niebawem wrócić. Dzięki temu Charlotte Middleton-Perez była najlepiej chronioną osobą na terenie ograniczonym obwodnicą waszyngtońską. Nie mogła być następną ofiarą Vukasina. Niedobrze, pomyślał. Będzie musiał znaleźć inny sposób, żeby zwabić Middletona.

Będzie musiał to zrobić osobiście. Andrzej, jego ostatni godny zaufania agent w Stanach, nie dał znaku życia po tym, jak z domku nad jeziorem Anna pojechał za ochotniczką Tesla nie wiadomo dokąd; Vukasin domyślał się, że mordercą z ogoloną głową i idiotycznym tatuażem w postaci waleta pikowego nakarmiono już świnię gdzieś na wsi. Soberska też zawiodła - dała sobie odstrzelić głowę na środku ulicy, parę kroków od Białego Domu. Ciekawe, jak mogło brzmieć ostatnie zdanie tej sadystki.

Cóż, pomyślał Vukasin, wycofując się do lasu za szpitalem. Za całą pracę należą się wszystkie zaszczyty. Dziesiątki tysięcy amerykańskich ofiar będą wyłącznie moją zasługą. Został tylko jeden obowiązek.

Hotel Harbor Court, niedaleko nowej Strefy Zero, leżał niecałe dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ. Przy ostrożnej jeździe mógł tam dotrzeć za cztery godziny.

Uśmiechnął się na myśl o tym, co się stanie, gdy zjawi się na miejscu

Rozdział 13

LISA SCOTTLINE

Charley Middleton-Perez dryfowała na granicy jawy i snu, dręczona niepokojem, który szarpał jej świadomość jak dziecko czepiające się matczynej spódnicy. Mgliście zdawała sobie sprawę, że jest w sali szpitalnej, że obok śpi jej mąż Jack, a lekarze podali jej leki, żeby mogła odpocząć. Z korytarza dobiegał stłumiony turkot wózka pchanego po wyfroterowanej podłodze i przyciszone głosy ludzi. Nie miała sił i ochoty podsłuchiwać. Spoczywała w chemicznym kokonie, farmakologicznie odizolowana od swoich lęków.

Niestety, chemia przestawała działać. Poza tym tych lęków nie potrafił całkowicie zagłuszyć żaden lek. Tyle się stało, i to nie-

k< i

mal równocześnie. Oczyma duszy zobaczyła odtwarzane od tyłu koszmarnie sceny ostatnich wydarzeń. Ktoś próbował ją zabić. Zamordowano jej matkę. Ujrzała ją leżącą na podłodze, z twarzą wykrzywioną grymasem bólu i głową w czerniejącej kałuży krwi, która wsiąkała w słoje dębowej podłogi jak makabryczny kwasoryt.

Niespokojnie poruszyła się na łóżku. W myślach mignął jej przelotnie ojciec, uciekający co sił w nogach przed prześladowcami. I jej mąż Jack, który zaryzykował wszystko, aby ocalić ich oboje.

Ale jednego życia nie mógł już ocalić.

Usłyszała cichy jęk, uświadamiając sobie, że wyrwał się z jej ust. Budziła się, choć nie była pewna, czy tego chce. Bliżej jawy niż snu, czuła pustkę, w dosłownym znaczeniu tego słowa. Była już pusta.

Nie miała dziecka. Dziecka, które przez pięć miesięcy nosiła we własnym ciele.

Cieszyła się każdą minutą ciąży. Tak długo starali się o dziecko, że nie mogła uwierzyć, gdy w końcu zaszła w ciążę. Nauczyła się na pamięć książek o dzieciach i od pierwszego dnia miała świadomość, że każdą łyżeczkę jedzenia

i każdy łyk napoju, jaki miała w ustach, brała dla dwojga. Jadła naturalny jogurt, zrezygnowała z ulubionej czekolady, uciekała przed zadymionymi wnętrzami i nie chciała przyjmować środków przeciw nudnościom, nawet podczas najgorszych napadów porannych mdłości. Każdą myśl poświęcała dbaniu o dziecko, którego oboje tak bardzo pragnęli.

Jack junior.

Tak postanowiła dać mu na imię, wiedząc, że Jackowi bardzo spodoba się ten pomysł. Teraz już nie opowie mu o swoim planie. Nie chciał nawet wiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka, więc utrzymywała to przed nim w tajemnicy, choć rozsadzała ją niecierpliwość.

„Zrób mi niespodziankę” - powiedział z uśmiechem tamtego wieczoru, kiedy się dowiedziała. Słyszając nietypową dla niego spontaniczną prośbę, poczuła taki przypływ miłości, że zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła najmocniej, jak umiała, oczywiście jak na kobietę w ciąży, czyli z odległości około metra. Znowu poruszyła się na łóżku i rozchyliła powieki. Dostrzegła światło wpadające przez okno zza prostych beżowych zasłon. Blask słońca powiedział jej, że jest rano, lecz nie miała pojęcia, jaki to dzień. Zanim znowu zamknęła oczy, zauważyła sylwetkę Jacka drzemającego z opuszczonymi ramionami w fotelu. Jego głowa o zmierzwiionych rudoblond włosach opadła na bok; kiedy się obudzi, będzie miał zdrętwiałą szyję.

Serce ścisnęło się jej z miłości do niego i z bólu po stracie ich syna. Jego syna. Syn mógłby kontynuować misję ojca, by przywrócić rodzinie dobre imię, które splamił jego dziadek, prowadząc podejrzanym interesy. Jack stał się jednym z najbardziej szanowanych prawników w Nowym Orleanie, jeśli nie w całej Luizjanie, a kierował nim ukryty motyw, by uciszyć ukradkowe chichoty i złośliwe szeptki o związkach rodziny z kreolską mafią, a nawet o gorszych rzeczach. Zasiadał w kilku komitetach przydzielających środki pomocowe ofiarom huraganu Katrina i praca na ich rzecz przyniosła mu ogólnokrajowy rozgłos. Dla niego syn oznaczał nową, świetlaną przyszłość.

„Spróbuję wszystkiego, Charley” - powiedział pewnej nocy, gdy skończyli się kochać i leżała z głową opartą o jego pierś. W łóżku był dla niej bardzo czuły, bardziej niż zwykle, ostrożnie obchodząc się z jej rosnącym brzuchem. Każde z nich panicznie się bało, by nie zrobić dziecku krzywdy.

Nie będzie jednak dziecka, nie będzie syna, nie będzie odkupienia.

Zamrugnęła oczami, po czym zacisnęła powieki, czując wzbierające łzy. Nie płakała, zatrzymując się na krawędzi rozpacz, bojąc się pograżyć w jej otchłani. Lekki niewidzialny bariera odgradzały ją od własnych emocji. To musiała być jakaś spóźniona reakcja. Tamtego wieczoru, gdy poroniła, wiadomość o tym, że jej i Harry'emu grozi niebezpieczeństwo, wzbudziła w niej takie przerażenie, że nie miała nawet czasu na opłakiwanie straty dziecka. Znowu zatrzepotała powiekami. Odgłosy w tle dobiegały do niej coraz wyraźniej. Zaczynała się budzić; nie było na to rady. Zorientowała się, że to nie są strzępki czyjejs rozmowy w korytarzu, ale głos męża. Jack mówił:

- Nie martw się, śpi i obudzi się za jakąś godzinę. Przyjrzała mu się uważniej i zauważyła, że nie drzemał, tylko rozmawiał przez komórkę, którą przytrzymał ramieniem.

- Dobra, powodzenia - rzekł do telefonu. - Będę cię informować na bieżąco.

- Jack? - powiedziała schrypniętym głosem.

- Cześć, śpiochu. - Zamknął telefon, wstał i podszedł do łóżka z serdecznym uśmiechem. - Jak się czujesz?

- Dobrze. - Nie miała ochoty mówić mu prawdy. Przynajmniej na razie.

- Ojciec o ciebie pytał. - Usiadł na łóżku i odgarnął jej włosy z czoła. - Dobre wieści. Jest bezpieczny. Połączył siły z kimś, komu chyba ufa. Muszę wierzyć, że wie, co robi.

- Na pewno wie. - Odetchnęła z ulgą. Ojciec był profesjonalistą i wiedział, komu zaufać, a od kogo lepiej trzymać się z daleka.

Perez pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Tak więc możemy się już martwić wyłącznie o ciebie.

Nagle rozległ się wybuch śmiechu i oboje zwrócili głowy w stronę otwartych drzwi, przez które wpadła korpulentna pielęgniarka we wzorzystym kitlu i wyciągnęła rękę do Pereza.

- Dawaj to, bracie! - zażądała. Mówiła głośniej, niż nakazywałaby uprzejmość, ale ze śmiechem.

- Nie ma mowy. - Jack także się roześmiał.

- Przecież się umówiliśmy - odparowała pielęgniarka i bezceremonialnie wyrwała mu z ręki telefon. - Pani mąż stanowczo za ciężko pracuje - powiedziała. - Mówiłam mu, że w szpitalu nie wolno korzystać z komórki. Teraz ją konfiskuję.

Perez wstał, udając oburzenie.

- Kim pani niby jest, siostrą Ratchett?

- Pani biedny mąż nic nie jadł od wczorajszego lunchu - poinformowała ją pielęgniarka. - Nie opuszcza pani ani na chwilę.

- Ach. - Poczowała wyrzuty sumienia. Pielęgniarka nie mogła wiedzieć, że Jack pilnuje jej na wypadek, gdyby szukał ich morderca.

- Wszystkie nasze dziewczyny się w nim durzą, ale ja jestem zupełnie nieczuła na jego urok.

- Niemożliwe - odparł Perez z kpiącym uśmiechem. Wiedząc, że jest rano i z ojcem wszystko w porządku, poczuła

się bezpieczniej. Poza tym szpital powoli się budził i w korytarzu

r

panował coraz większy hałas.

- Jack - powiedziała. - Może poszedłbyś zjeść jakieś śniadanie? Odpocznij.

- Nie, nie jestem głodny. - Machnął ręką, ale pielęgniarka chwyciła go za ramię.

- Już, jazda mi stąd. Zresztą muszę zrobić żonie parę badań, więc i tak bym pana wyrzuciła.

- Dasz sobie radę, Charley? - zapytał Perez.
- Tak. Proszę cię, idź coś zjeść.
Perez skinął głową, po czym z rozbawieniem spojrział na pielęgniarkę.
- Proszę o zwrot telefonu, siostró Ratchett.
- Oddam, kiedy pan wróci.
- Ale muszę zadzwonić.
- Jazda, pora zrobić sobie przerwę.
- Tak jest. - Perez teatralnym gestem zasalutował i wymaszerował z sali.
- No, jak się pani czuje? - zapytała pielęgniarka. Miała sympatyczną pełną twarz, piegi na nosie i żywe niebieskie oczy. Grube rudawe włosy nosiła związane w niemodnie długi koński ogon.
- Chyba dobrze. - Nie chciała rozmawiać o swoich odczuciach z osobą, której w ogóle nie znała. Pielęgniarka przyciągnęła stolik na kółkach, wzięła z niego elektroniczny termometr i zdjęła plastikowy kapturek.
- Proszę szeroko otworzyć usta.
Posłusznie rozdziawiła się jak pisklę, a pielęgniarka włożyła jej termometr do ust.
- Dobrze pani spała, ma pani zdrowe rumieńce. Zmierzymy temperaturę i ciśnienie.
Termometr wydał krótki sygnał. Pielęgniarka wyciągnęła go, zerknęła na wyświetlacz i odłożyła na stolik.
- W normie.
- Świetnie. To chciała siostra sprawdzić?
- Nie, powiedziałam to, żebyśmy na chwilę zostały same. - Pielęgniarka zdjęła z wieszaka mankiet ciśnieniomierza i zaczęła zakładać go na ramię pacjentki. - Chciałam zobaczyć, jak się pani naprawdę czuje. Wiem, że to ciężkie przeżycie. Sama kiedyś straciłam.
Straciłam. To pewnie żargon.
- Wyjdzie pani z tego, na pewno. Tylko nie trzeba się spieszyć. - Pielęgniarka ścisnęła czarną gumową gruszkę i mankiet zaczął się zaciskać.
- Panie wybaczą! - zawołał ktoś od drzwi. Do sali wpadł lekarz w towarzystwie dwóch stażystów. Wyglądali jak klucz szybujących białych fartuchów.
- Wcześniej pan dzisiaj, doktorze - powiedziała pielęgniarka. Jej uśmiech przygasł i szybko spuściła powietrze z mankieta.
- Nasza główna metoda to zaskoczenie - odparł lekarz, a młodzi stażyści wybuchnęli śmiechem.
- Błagam, tylko nie Monty Python. - Pielęgniarka przewróciła oczami, złożyła mankiet ciśnieniomierza i odłożyła na miejsce. - Nie mogę już tego słuchać.
- Ha! A teraz coś z zupełnie innej beczki. - Lekarz z filuternym uśmiechem podszedł do łóżka, a stażyści znów się zaśmiali.
- Proszę udawać wesołość, pani Perez - poradziła pielęgniarka, poklepując ją lekko w ramię. - To mężczyźni, więc łatwo to łykną. - Podała jej

telefon komórkowy. - Ach, byłabym zapomniała. Komórka pani męża.

- Dziękuję - powiedziała, nie poznając aparatu. Widocznie Jack sprawił sobie nowy.

- Do zobaczenia, nie zazdroszczę pani. - Pielęgniarka pospiesznie opuściła salę.

- Jestem doktor Lehmann, a to moi stażyści, ale nie musi pani znać ich nazwisk. Powiedzmy, że to Palin i Gilliam, jeśli ja jestem Johnem Cleese'em. Parsknęła sztucznym śmiechem i okazało się, że pielęgniarka miała rację. Łyknął. Serdecznie uśmiechnięty, pachnący wodą kolońską doktor Lehmann miał kwadratową szczękę i długi nos. Po chwili spoważniał.

- No, moja droga, przeszła pani piekło. - Tak.

- Dostaliśmy wyniki badań, o których musimy z panią porozmawiać. — Doktor Lehmann zrobił niemal surową minę i pionowa zmarszczka przecięła czoło zwieńczone czupryną siwych włosów, sztywnych jak drucziany zmywak.

- Badanie krwi ujawniło nienaturalny poziom hormonów wskazujący na obecność pewnych leków. Czy przyjmowała pani jakieś lekarstwa, o których powinniśmy wiedzieć?

Utkwiła w nim zaskoczony wzrok.

- Nie, żadnych. - Nic?

- Absolutnie nic. Nie brałam nawet najłagodniejszej aspiryny.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Cóż. - Doktor Lehmann spojrzał na nią srogo znad stalowych oprawek okularów. - Nie będę owijał w bawełnę. Mówiąc wprost, poziom hormonów wskazuje na obecność RU-486.

Nie zrozumiała.

- Mifeprex. Należy przyjmować ten specyfik tylko pod kontrolą lekarza. Niestety, powszechnie stosują go na własną rękę kobiety, które chcą u siebie wywołać poronienie w bardzo zaawansowanej ciąży. Lek jest popularnie nazywany pigułką aborcyjną.

Wciąż nie wiedziała, do czego Lehmann zmierza.

- Dobrze, ale co to ma wspólnego ze mną?

- Być może chciała pani przerwać ciążę.

- Ja? Nie. Skądże. - Poczuli się, jak gdyby ktoś wymierzył jej cios. - Nigdy. Doktor Lehmann przyglądał się jej z wyraźnym powątpiewaniem.

- Wiele osób, które aplikują sobie tę pigułkę w drugim i trzecim trymestrze, nie zdaje sobie sprawy, że to bardzo niebezpieczne i może doprowadzić do znacznej utraty krwi, tak jak stało się w pani przypadku. Mogła się pani wykrwawić na śmierć.

- Sądzi pan, że próbowałam dokonać aborcji?

- Owszem, tak sądzę. Może mi pani powiedzieć prawdę lub nie. To zależy od pani. - Doktor Lehmann zamilkł, jak gdyby spodziewając się wyznania.

- Czy dlatego poroniłam? - Tak.

- Skąd ta pewność?

- Takie wyniki badań mogą mieć tylko jedną przyczynę. Co więcej, wskazują na to, że przyjęła pani dwie tabletki. Nie byłaby pani pierwszą kobietą, która wpadła na taki pomysł. Ale to bardzo, bardzo niebezpieczne.

- Nie, tak nie było! Nie brałam tych tabletek, nie brałam żadnych. Nie zrobiłabym tego. Pragnęłam tego dziecka.

- Mówię tylko, co wykazało badanie krwi.

- Wobec tego to nie są moje wyniki. Zaszła pomyłka. - Patrzyła w jego zmarszczoną twarz, po czym spojrzała na równie poważnych stażystów. - To musi być pomyłka.

- Pani Perez, to wyłącznie pani sprawa. Chcę podkreślić, że niemądrze byłoby to kiedykolwiek powtórzyć. - Twarz doktora Lehmana nieco złagodniała. - Nie osądzam pani. Martwię się tylko o pani bezpieczeństwo. Próbowała ochłonąć.

- W jaki sposób ta pigułka wywołuje aborcję?

- Istota jej działania polega na tym, że po połknięciu tabletki dochodzi do silnych skurczów i usunięcia płodu. Kiedy dzieje się to bez nadzoru lekarza, jak w pani przypadku, niezbędny jest zabieg wyłyżeczkowania macicy. - Doktor Lehmann spojrzał na zegarek. - Musimy iść, czeka nas długi poranny obchód. Zajrzemy do pani później. Przyglądała się, jak w milczeniu opuszczają salę. Po ich wyjściu myśli zaczęły przelatywać jej przez głowę z szybkością błyskawicy. Nie wzięła żadnej pigułki aborcyjnej, a tym bardziej dwóch. Ale rzeczywiście, tamtego wieczoru miała skurcze, tak silne, że zwijała się z bólu. Skurcze zaczęły się po kolacji. Wróciła myślą do tamtego straszego wieczoru. Zjedli z Jackiem kolację, którą jak zwykle w piątek przygotował sam, by sprawić żonie przyjemność na koniec tygodnia. Przyrządził kurczaka w rozmarynie i ziemniaki puree, jej ulubione danie. Gdy próbowała mu pomagać, wygonił ją z kuchni, a potem podał do stołu i nie zważając na protesty, nałożył jej podwójną porcję puree. Na to wspomnienie serce jej zamarło.

Nie.

Pokręciła głową. To nie miało sensu. To nie mogło mieć sensu. Musieli się pomylić w badaniu krwi. Inna możliwość była nie do pomyślenia. Wykluczone. Musiało dojść do jakiejś pomyłki.

Głowiła się nad tym, obracając w dłoniach komórkę. Ostry blask jarzeniówek odbił się od gładkiej metalowej obudowy. Pod wpływem impulsu otworzyła telefon. Na kolorowym ekraniku wyświetliło się menu i znów pod wpływem impulsu wcisnęła przycisk listy połączeń. Zobaczyła podświetlone ostatnie odebrane połączenie. To powinien być ojciec, lecz nazwa rozmówcy nie brzmiała TATO ani nawet HARRY.

Tylko MOZART. He?

Dlaczego Jack miałby nazywać ojca Mozartem? Zaintrygowana przełączyła menu na książkę telefoniczną i przejrzała spis numerów. Nazwy były ułożone

alfabetycznie: BACH, BEETHOVEN, BRAHMS, CHOPIN, CZAJKOWSKI, HÄNDEL, LISZT, MAHLER, MENDELSSOHN, SCARLATTI, SCHUBERT, SCHUMANN, SIBELIUS, SZOSTAKOWICZ, VIVALDI.

Co?

Sami kompozytorzy. Przecież Jack w ogóle nie znał się na muzyce; to ojciec był ekspertem w tej dziedzinie. O co tu chodzi? Wydawało się, jak gdyby nazwiska były jakimś kodem, i to w telefonie, o którego istnieniu nie miała pojęcia.

Co się dzieje? Kto to jest Mozart? Czy Jack naprawdę miał wiadomości od Harry'ego? Kłamał? Dlaczego miałby ją okłamywać? Gry z Harrym rzeczywiście wszystko jest w porządku? Niczego nie rozumiała. Poronienie. Pigułki aborcyjne. Tajna komórka z zakodowanymi nazwami. Serce tłukło się w jej piersi. Czowała, że wyszło jej w ustach. Potrzebowała odpowiedzi. Wróciła do listy ostatnich połączeń i wcisnęła przycisk właściwości MOZARTA. Nie było prawdziwego nazwiska, adresu e-mailowe-go ani żadnych innych informacji oprócz numeru telefonu złożonego ze zbyt wielu cyfr. Co to znaczy? Zorientowała się, że pierwsze cyfry to numer kierunkowy kraju. Nie wiedziała, co to za kraj, ale domyśliła się, że to zagraniczny numer. Sprawdziła dwa kolejne profile, HANDLA i LISZTA. Obydwa zawierały zagraniczne numery i żadnych innych informacji, takich jak nazwisko, e-mail czy telefon domowy. Po co Jackowi był telefon pełen wyłącznie zagranicznych numerów? Nigdy nie wyjeżdżał z kraju: z nich dwojga to ona była podróżniczką.

A dziecko?

Wcisnęła przycisk i zadzwoniła, do MOZARTA, kimkolwiek był. Usłyszała trzy sygnały.

- Vukasin - odezwał się męski głos mówiący z obcym akcentem, którego nie potrafiła rozpoznać.

Rozłączyła się z łomotem serca. Kto to jest Vukasin? Co tu się dzieje? Miała za mało czasu, by rozwikłać tę zagadkę. Coś tu było bardzo nie w porządku, a Jack mógł lada chwila wrócić. Nie wiedziała, co robić. Spytać go wprost?

Nagle zdała sobie sprawę, że ten Vukasin może oddzwonić i zostanie zdemaskowana.

Pozostało jej tylko jedno wyjście.

Z całej siły rzuciła telefon na podłogę. Plastikowa pokrywka z tyłu wyłamała się, a cienka pomarańczowa bateria wypadła, lądując przy ścianie, na wprost fotela.

W tym momencie w drzwiach pojawił się uśmiechnięty Perez.

- Kochanie, wróciłem!

Przybrała minę potulnej żony i zmieszana odwróciła się do drzwi.

- Nie gniewaj się - powiedziała, starając się zachowywać naturalnie. -

Pielęgniarka oddała mi twój telefon, ale upuściłam go na podłogę.

- Cholera, Charley. - Po jego przystojnej twarzy przemknął cień złości. - Był

nowy.

- Zauważyłam. Przepraszam. - Opadła na łóżko, obserwując męża z nową podejrzliwością. - Wykupiłeś na niego ubezpieczenie?

- Nie. - Podeszedł do fotela, pochylił się i zaczął zbierać fragmenty komórki. - Wygląda na to, że wszyscy konni i wszyscy dworzanie...

- Złożyć do kupy nie będą go w stanie? - dokończyła z udawaną skruchą.

- Tak, ale nic się nie stało. - Wsunął plastikowe szczątki do kieszeni marynarki i odwrócił się do żony z uśmiechem, który kiedyś kochała tak bardzo, że jego widok sprawił jej niewypowiedziany ból.

Zabiłeś nasze dziecko? Próbowalesz zabić mnie?

Ale postanowiła o nic go nie pytać, jeszcze nie. Musiała obmyślić swój następny ruch. Dopóki nie dowie się więcej, najlepiej będzie nie puszczać pary z ust i mieć szeroko otwarte oczy.

Nie na darmo była córką Harry'ego Middletona.

Rozdział 14

P.J. PARRISH

Felicja Kamińska stała przy oknie, patrząc na port w Baltimore. Miasto zasnuła mgła i światła budynków mrugały do niej jak oczy w ciemnościach. Serce jej waliło - z potwornego zmęczenia i z powodu szampana, którego wlał w nią Faust. Ale także ze strachu.

Nigdy dotąd tak się nie bała. Nawet kiedy zniknęli jej rodzice i została pozostawiona sama sobie. Nawet kiedy poczuła zaciskającą się na szyi strunę skrzypiec, gdy tamten człowiek w Rzymie usiłował ją zabić. Nawet gdy się dowiedziała, że wuj Henryk został zamordowany.

Jednak godzinę temu, widząc w szafie związanego mężczyznę z tatuażem i krew sączącą się z jego ogolonej głowy, poczuła zimny, dławiący strach, który narastał, kiedy ten człowiek jęczał, słuchając Fausta szepczącego mu do ucha, gdy ujrzała w jego oczach przerażenie, kiedy poczuła zapach jego moczu. Z drżeniem odwróciła się od okna, rozcierając dłońmi ramiona. Rozejrzała się po salonie apartamentu, patrząc na wschodnie dywany i kolonialne meble. Jeden kąt zajmował mahoniowy barek, w drugim stał lśniący fortepian gabinetowy. Po lewej stronie przez otwarte oszklone drzwi widziała jedną z dwóch sypialni. Na wielkim łóżu spoczywała należąca do Fausta torba Vuittona.

Po powrocie do hotelu Faust odprowadził ją do apartamentu, a potem bez słowa wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Człowiek, którego nazywał Nacho, został, aby jej pilnować. Kiedy w końcu zasnął na krześle przy drzwiach z bronią w ręku, Felicja pomyślała o ucieczce.

Ale dokąd mogła pójść? Faust zabrał jej paszport, ten na nazwisko Joanny Phelps, i pieniądze. Nie знаła w tym kraju nikogo.

Nie, to nie do końca była prawda. Słyszała o jednej osobie: o Haroldzie Middletonie, wykładowcy z Uniwersytetu Amerykańskiego w Waszyngtonie, jego nazwisko było na paczce z rękopisem Mozarta, którą signor Abe dostał od wuja Henryka kilka dni przed jego śmiercią.

Felicja zamknęła oczy. W głowie dźwięczała jej propozycja pomocy złożona przez Abe Nowakowskiego. Próbowwała się do niego dodzwonić jeszcze raz, ale usłyszała od telefonistki, że jej numer został zablokowany. Nie mogła dzwonić ani odbierać telefonów. I tak została więźniem Fausta, choć nie wiedziała dlaczego.

Nacho poruszył się przez sen, ale chrapał dalej.

Felicja powoli przeszła przez salon.

Jej wzrok spoczął na fortepianie w rogu.

Podeszła do instrumentu, przesunęła rękę po gładkiej, czarnej powierzchni i wolno uniosła pokrywę klawiatury. Klawisze lśniły w półmroku.

Nagle stanął jej w myślach ojciec. Ujrzała jego długie palce biegające po klawiszach ich starego fortepianu. Jej drobne dłonie podczas lekcji starały się ze wszystkich sił, żeby sprawić mu przyjemność.

Był tak bardzo rozczarowany, gdy wybrała skrzypce, instrument matki. Jak gdyby wybrała matkę zamiast niego. Ale nigdy tak nie było. Bardzo kochała ojca i bardzo go jej brakowało.

A kiedy umarł, jego miejsce zajął wuj Henryk.

Z jej oczu popłynęły łzy. Felicja nie próbowała ich powstrzymać.

Usiadła przy fortepianie.

Zagrała jeden akord. Potem krótki fragment niemal zapomnianej piosenki.

Yamaha miała zbyt jasne brzmienie i była za miękka, ale to nie miało znaczenia. Same dźwięki działały kojąco.

Zagrała „Gymnopedie” Erika Satiego, potem zaczęła „Eine kleine Nachtmusik”, utwór, który tak uwielbiał wuj Henryk.

Nagle przerwała.

Mozart.

Otarła twarz. Rękopis Mozarta od signora Abe: czyżby to był powód, dla którego sprowadził ją tu Faust?

Zerknęła na Nacho, który obserwował ją zmęczonym wzrokiem.

Szybko poszła do sypialni Fausta. Mówił, że rękopis jest „w bezpiecznym miejscu”, zamknięty na klucz. Jednym szarpnięciem otworzyła żaluzjowe drzwi szafy. Była pusta. Odwróciła się i zobaczyła cienką aktówkę Fausta, leżącą na łóżku obok torby.

Nie było w niej nic prócz pistoletu automatycznego i pustego magazynka oraz numeru „Il Denaro”. Spojrzała na datę: sprzed czterech dni. Wyjęła gazetę i ją rozłożyła.

Na łóżko opadło kilka pożółkłych stron rękopisu. Gdzie indziej człowiek w rodzaju Fausta mógłby ukryć bezcennego Mozarta, jeśli nie w widocznym miejscu, zapakowanego w gazetę z wiadomościami finansowymi?

Ostrożnie zebrała rozsypane kartki. Gdy pierwszy raz zobaczyła manuskrypt w sklepie La Musica, właściwie nie miała czasu mu się przyjrzeć. Teraz jednak nic nie umknęło jej uwadze. Skreślone

czarnym, wyblakłym atramentem znaki nie pozostawiały żadnych

wątpliwości. Charakterystyczny podpis. I wreszcie w lewym górnym rogu małe cyfry; nr 28.

Serce zabiło jej szybciej. Wiedziała, że skatalogowano tylko dwadzieścia siedem koncertów fortepianowych Mozarta. Wiele z oryginałów, które po wojnie wydobyto na światło dzienne, znajdowało się dziś w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

Skąd się wziął ten?

I czy on był powodem śmierci jej wuja?

Wróciła z rękopisem do fortepianu. Usiadła, ostrożnie rozkładając przed sobą kruche kartki. Zaczęła grać.

Pierwszą część otwierały pulsujące akordy w tonacji d-moll. Musiała grać powoli, ponieważ od strony technicznej utwór daleko wykraczał poza jej umiejętności. Serce zabiło jej mocno z przejęcia, kiedy sobie uświadomiła, że być może jest pierwszą osobą od wieków, która gra ten koncert.

Zanim dotarła do końca pierwszej części, zdążyła się spocić. Nagle przerwała. Mój Boże. Kadencja.

Wpatrywała się w nuty. Ojciec uczył ją, że Mozart często wprowadzał do swojej muzyki kadencje - wirtuozowskie, improwizowane solo. Nigdy ich jednak nie zapisywał. Współcześni wykonawcy zwykle wypełniali je własnymi improwizacjami, próbując naśladować intencje mistrza.

Zaczęła grać kadencję. Ale jej ucho wychwyciło dziwne fałszywe dźwięki. Drobne dysonanse. Nagle usłyszała głos ojca, który mówił zza jej pleców, kiedy ćwiczyła: „Gdy grasz Mozarta, kochanie, muzykę tak czystą, nawet najmniejszy błąd urasta do rozmiarów rażącej skazy”.

Felicja urwała z palcami uniesionymi nad klawiaturą. W tej kadencji było coś bardzo dziwnego.

Restauracja była prawie pusta. Dwaj kelnerzy stali na baczność, dyskretnie tuż za czerwoną kotarą. Z ich twarzy Middleton wyczytał, że mają już ochotę iść do domu.

Jednak Faust wyraźnie nigdzie się nie spieszył.

- A więc Chopin nie wzbudził w tobie żadnych podejrzeń? - zapytał.

Middleton nie był pewien, ile można mu powiedzieć. Wciąż mu nie ufał.

Nagle przypomniał sobie swoją przerwana podróż do Baltimore z parą ćpunów, Traci i Marcusem. Zmusił ich do słuchania recytatywu Schonberga, a Marcus zakpił, że utwór brzmi jak same fałszywe nuty. Tym łatwiej ukryć w nich wiadomość, odpowiedział mu wtedy. Jakże trudnym zadaniem mogło więc być zaszyfrowanie jakiegoś kodu w matematycznym pięknie Chopina?

- Od pierwszej chwili czułem, że coś z nim jest nie tak - rzekł Middleton. - Ale przypisałem to po prostu kiepskiemu fałszerzowi.

- Jedynek nic nie powiedział? - spytał Faust. Middleton pokręcił głową.
- Kiedy oglądaliśmy rękopisy, wydawał się szczególnie zainteresowany Chopinem. Nalegał, żebym zabrał partyturę do Stanów i zbadał jej autentyczność. Chociaż powiedziałem mu, że to na pewno falsyfikat.
- Może próbował go bezpiecznie wywieźć z kraju. Może nie chciał, żeby trafił w niepowołane ręce.
- Jedynek wiedział, że jest w nim zaszyfrowana formuła VX? Faust wzruszył ramionami.

Middleton odchylił się na krześle.

- A więc miałem być tylko jakimś cholernym kurierem? Faust milczał. Co jeszcze bardziej rozzłościło Middletona.

- Mogę go zobaczyć? - zapytał Faust.

Gdy Middleton nie wykonał żadnego ruchu, Faust posłał mu smutny uśmiech.

- Mówiłem ci, że jestem w beznadziejnej sytuacji. Potrzebuję twojej pomocy.

Middleton sięgnął do teczki, wyciągnął rękopis i podał Faustowi.

Faust przez chwilę przyglądał się nutom, a potem jego ciemne oczy spoczęły na Middletonie.

- Znam się na chemii. Ty znasz się na muzyce. - Podsunął mu rękopis. - Powiedz, co widzisz.

Middleton po krótkim wahaniu odwrócił partyturę, żeby móc ją odczytać, wystarczył mu widok papieru i atramentu, by przekazać Jedynakowi wstępną ocenę, że to prawdopodobnie falsyfikat. Owszem, całkiem udany, ale falsyfikat.

Teraz jednak skupił się wyłącznie na nutach. Nie spieszył się. Przestały do niego docierać przytłumione odgłosy krzątający kelnerów, zbierających ze stołów sztuce i obrusy. Pochłonęła go muzyka. Nagle uniósł głowę.

- Czegoś tu brakuje - oświadczył.

- Jak to? - spytał Faust. Middleton pokręcił głową.

- Pewnie to nic nie znaczy. Przecież to falsyfikat. Ale pod koniec pierwszej części... brakuje jednego fragmentu.

- Nie jesteś pewien - domyślił się Faust.

- Chciałbym...

- Chciałbyś zasięgnąć opinii innego eksperta?

- Tak - odrzekł Middleton.

- Mam takiego - powiedział Faust. - Chodźmy... Ale sami. Nie życzę sobie innych gości.

- Kto miałby z nami iść?

Faust uśmiechnął się i zerknął na przeciwległy koniec sali, gdzie czekali Tesla i Lespasse.

- Sami... To jeden z nieodwołalnych warunków umowy.

- Prowadź.

Faust wyciągnął rękę i jednym szarpnięciem zerwał Middletonowi mikrośłuchawkę z mikrofonem. Rzucił urządzenie na podłogę i rozdeptał.

Potem zapłacił rachunek.

- Zaczekaj tu.

Poszedł zadzwonić z automatu obok toalet i wrócił do stolika. Niecałe pięć minut później z oddali dobiegł ryk zbliżających się syren. Wszyscy w restauracji jak jeden mąż odwrócili się do okien. Po chwili przed bar po drugiej stronie urokliwej uliczki w powodzi świateł i z akompaniamentem syren zajechała kawalkada radiowozów i samochodów służb ratowniczych. W głównej roli występował oddział pirotechników.

Middleton musiał docenić sprytne posunięcie Fausta. W restauracji i na ulicy nie było ani jednej osoby, która nie oglądałaby policyjnej operacji. Niebawem wyjdzie na jaw, że to fałszywy alarm, który jednak skutecznie odwrócił uwagę.

Middleton wsunął do teczki rękopis Chopina i wstał. Faust wskazał drzwi prowadzące do kuchni.

Middleton wsunął do teczki rękopis Chopina i wstał. Faust wskazał drzwi prowadzące do kuchni.

- Wyjdziemy tyłem. Szybko. Mamy mało czasu.

A więc tu jest Felicja Kamińska, pomyślała M.T. Connolly, i tu Middleton i Faust będą kontynuować swoje spotkanie.

Connolly wiedziała już, co takiego miał Middleton, rzecz, dla której wielu ludzi było gotowych zabijać: rękopis, przypuszczalnie bezcenny, stworzony z myślą o dawaniu ludziom radości, a dziś kryjący w sobie zagrożenie w postaci masowego mord.

Siedząc samotnie przed hotelem, pogrążona w ponurych myślach, musiała z odrobiną wstydu przyznać się przed sobą, że nie znała dziwnej historii tej partytury Chopina i nie zdawała sobie sprawy, jaką wartość przedstawia takie znalezisko dla ludzkości. Co więcej, aż do dziś, jak większość Amerykanów, nigdy nie słyszała o tragedii w cerkwi św. Zofii.

Rozumiała jednak zwyrodniałe pragnienie sławy, które normalnemu człowiekowi wydawałoby się chore i niepojęte. Był to także ciekawy przypis do wydarzeń kilku ostatnich dni. Jej partnerzy z policji szukali Middletona, ponieważ sądzili, że zabił dwóch funkcjonariuszy. Ale Connolly dzięki Józefowi, swojemu aniołowi z Polski, była mądrzejsza. W rękach Middletona spoczywał klucz do masowej zagłady i choć pułkownik zawiązał sojusz z Kalmbachem i Chambersem, Connolly sądziła, że potrzebuje jej pomocy, aby uchronić formułę przed Vukasinem. Nie ufała Kalmbachowi i Chambersowi. W głębi duszy wierzyła, że atak chemiczny w granicach Stanów Zjednoczonych uda się powstrzymać tylko wówczas, gdy Harold Middleton pozostanie przy życiu.

Szybko rozejrzała się po ulicy i zerknęła na zegarek. Nie było sensu wchodzić do hotelu, zanim nie wejdą tam Middleton i Faust -bo dopiero wtedy pojawi się Vukasin. Opuściła poprzedni posterunek w restauracji kilka sekund przed Middletonem i Faustem, pewna, że przyjdą tu naradzić się z Felicją Kamińską,

która mogła im pomóc rozwikłać zagadkę.

Na cichej i uśpionej ulicy jedynymi oznakami życia było kilka świateł, które paliły się w oknach hotelu Harbor Court. Pod mrugającą latarnią stało bmw, zaparkowane w widocznym miejscu. Około trzydziestu metrów na południe, w cieniu starego dębu, stał grafitowy sedan z zaparowanymi szybami, na którego masce lśniły krople deszczu: samochód Connolly. Yukasin obserwował ją, ukryty w gościnnym mroku pod pobliskim budynkiem. Nie zamierzał robić nic, dopóki ona nie wykona ruchu. Dziewięć minut później jego cierpliwość została nagrodzona. Niemal niedostrzegalne drgnienie podwozia powiedziało mu, że osoba w środku poprawiła się na siedzeniu, szukając wygodniejszej pozycji. Był już pewien, że spędziła w samochodzie sporo czasu.

Choć wolałby, żeby za kierownicą sedana siedział Middleton lub Faust, czy nawet Kamińska, nieważne, kto był w samochodzie. Mógł to być zupełnie niewinny człowiek czekający na kochankę albo jakiś frajer odsypiający wieczór z odrobiną taniej whisky. W najlepszym razie drobny problem. Ale trzeba się było nim zająć. Nie mógł ryzykować, że ktoś go tu zobaczy.

Vukasin wyszedł z kryjówki i ruszył w kierunku samochodu. Szedł chwiejnym krokiem, zgarbiony, udając pijaka pokonującego ostatnią trasę w ciągu długiego wieczoru.

Kiedy Vukasin zbliżał się do wozu, sedan znów lekko się zakołysał. Mijając go, nie mógł zwrócić do środka, lecz usłyszał ciche skrzypnięcie mokrej szyby, którą kierowca odrobinę uchylił, aby przyjrzeć się przechodniowi. Postanowił działać.

Zawrócił i powoli podszedł do samochodu, rozkładając ręce.

- Dobry wieczór szanownemu panu, czy może mnie pan poratować kilkoma dolarami i pokazać mi najbliższy przystanek autobusowy?

- Spadaj - powiedziała Connolly, myśląc o Middletonie i rękopisie.

Vukasin przysunął się bliżej.

- Jestem zupełnie niegroźny, naprawdę.

- Zjeżdżaj stąd, ale już.

Okno otworzyło się szerzej, ukazując bladą twarz kobiety o miedzianych, krótko obciętych włosach.

- Jestem gliną - powiedziała. - Nie przeszkadzaj.

- To może ma pani ochotę na drinka? - zapytał, sięgając do kieszeni. - Mam tu butelkę rosyjskiej...

Wyciągając automat, zobaczył, jak w jej oczach coś zaczyna się krystalizować. Wie, pomyślał z uśmiechem. Wie, że nie jestem Amerykaninem i przygodnie spotkanym pijaczkiem.

Jej oczy otworzyły się szeroko. Wszystko zrozumiała. Wiedziała, kim był.

A gdy dostrzegła metaliczny błysk glocka wymierzonego w swoją głowę,

wiedziała, że zaraz umrze.

Tłumik pochłoniął huk strzału, zmieniając go w cichy, lecz silny podmuch gorącego powietrza na pustej ulicy.

Rozdział 15

LEE CHILD

Skorzystali z głównego wejścia do Harbor Court. Faust, idąc pierwszy, pociągnął drzwi i przepuścił Middletona. Dobre wychowanie, etykieta i wyraźny sygnał dla hotelowego personelu: jestem waszym gościem, a ten człowiek jest ze mną. Dosłownie objął Middletona, jedną ręką trzymając drzwi, a drugą zagarniając go do środka. Zwyczajna scena, powtarzana tysiące razy przy wejściu do hotelu. Personel spojrział, zrozumiał, odwrócił wzrok.

Vukasin nie odwrócił wzroku. Z odległości prawie czterdziestu metrów śledził obu mężczyzn zmierzających do windy.

Winda sunęła gładko, lecz wolno, z prędkością dopasowaną do niskiego budynku. Faust wysiadł pierwszy, ponieważ Middleton nie wiedział, w którą stronę skręcić. Faust rozłożył ręce pod kątem prostym jak kierujący ruchem policjant, blokując prawą i wskazując lewą stronę. Middleton ruszył korytarzem. Gruby dywan, cisza. Przytłumione dźwięki fortepianu. Jasne brzmienie i szybki, lekki mechanizm. Yamaha albo kawai, pomyślał Middleton. Nie europejski koncertowy kolos, ale japoński gabinetowy, z krzyżowym układem strun. Delikatny bas, metaliczne wioliny. Lewa ręka pewnie grała obbligato d-moll, a prawa bez przekonania melodię w stylu Mozarta. Ale to nie Mozart, pomyślał Middleton. Na pewno nie Mozart, jakiego dotąd słyszał. Grany a vista, co mogło tłumaczyć niepewność. Może pastisz. Albo akademicka ilustracja standardowej teorii muzykologicznej, według której Mozart stanowił łącznik między klasykami a romantykami. Melodia zdawała się mówić: widzicie? Zaczynamy od Bacha, a dwieście lat później dochodzimy do Beethovena.

Gdy szli, dźwięk przybierał na sile, choć nie brzmiał wyraźniej. Faust

wysforował się naprzód i przed drzwiami powtórzył scenę kierowania ruchem, blokując ciałem korytarz i gestem zatrzymując Middletona. Wyciągnął z kieszeni kartę magnetyczną. Zagłębiła się w szczelinie, czerwona lampka zmieniała się w zieloną i szczęknął mechanizm zamka.

- Proszę - powiedział Faust.

Middleton nacisnął klamkę, zanim z powrotem zapaliła się czerwona lampka. Z pokoju buchnęły radosne dźwięki fortepianu. Znow ta sama melodia od początku, tym razem grana pewną ręką, z uporządkowaną architekturą i opanowaną strukturą.

Ale to nadal nie był Mozart.

Middleton przestąpił próg i zobaczył luksusowy, lecz nowoczesnie urządzone apartament. Na krześle przy drzwiach siedział szczupły, brodaty mężczyzna z pistoletem w dłoni. Jak się okazało, nosił przydomek Nacho. Za klawiaturą gabinetowej yamały siedziała jakaś dziewczyna. Na kłapie leżały rozłożone strony rękopisu. Dziewczyna była wychudzona. Miała ciemne włosy i wymizerowaną wschodnioeuropejską twarz, na której odcisnął się niejeden smutek. Rękopis wyglądał na oryginalny. Stary, przebarwiony papier, niedbała notacja, wyblakły atrament.

Dziewczyna przestała grać. Middleton odruchowo dokończył w myślach frazę. Faust wszedł za nim do apartamentu i zamknął drzwi. W pokoju zapadła cisza. Faust nie zwracał uwagi na uzbrojonego mężczyznę. Podszedł do fortepianu, zebrał stronice rękopisu, złożył w równiutki plik i zostawił na komodzie. Potem wrócił do fortepianu i zamknął pokrywę klawiatury, delikatnie, by dziewczyna zdążyła cofnąć ręce.

- Pora przejść do rzeczy - powiedział. - Mamy rękopis Chopina.

- Sfałszowany - rzekł Middleton.

- Istotnie - przytaknął Faust. - W którym prawdopodobnie brakuje jednej strony. Zgodzisz się ze mną?

Middleton skinął głową.

- Końcówki pierwszej części. Być może nawet nie całej strony, tylko około szesnastu taktów.

- Ilu nut?

- Nie potrafię odpowiedzieć. To jest koncert. Kilkanaście instrumentów, szesnaście taktów, może brakować setek nut.

- Partia solowa - powiedział Faust. - Temat. Resztę możemy pominąć. Ile nut?

Middleton wzruszył ramionami.

- Ze czterdzieści? Temat, przetworzenie, epilog. Ale nadal nie da się odpowiedzieć na to pytanie. To nie jest Chopin, tylko ktoś, kto udaje Chopina.

- Chyba przyda się nam ta informacja - rzekł Faust. - Trzeba przechytryć tego, kto próbuje nas przechytryć. Chodzi o prawdopodobną odpowiedź.

- Przecież nie można skomponować końcówki czegoś, co nie ist-

Faust rozpiął marynarkę i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął złożoną półprzezroczystą kopertę. Rozłożył ją i wygładził. W mlecznej folii

spoczywała jedna kartka, wyrwana z reporterskiego notatnika. Była pokryta brązowymi plamkami zaschniętej krwi. Maleńkimi kropelkami. Nie były to ślady krwotoku tętniczego. Raczej pozostałość po drobnym skaleczeniu nożem albo silnym uderzeniu w twarz. Na zakrwawionej kartce ktoś odręcznie narysował cztery pięciolinie. Klucz wiolinowy. E-G-B-D-F. Edward Głośno Brzdąka Drutem po Fajerce. Metrum 4/4. Szesnaście taktów. Melodia naszkicowana wprawna ręką. Faust położył kartkę przed dziewczyną na klapie fortepianu, gdzie przedtem spoczywał rękopis Mozarta.

- Przypuśćmy, że kogoś, kto widział tę brakującą stronę, poproszono, żeby odtworzył jej zawartość.

Dziewczyna spojrzała na plamki krwi i spytała:

- Poproszono?

- No więc zażądano - poprawił Faust.

- To pismo mojego wuja - powiedziała dziewczyna.

- Na pewno?

- Charakter pisma to charakter pisma, wszystko jedno, czy pisze się tekst, czy nuty.

- Twojego wuja? - zapytał Middleton.

- To Felicja Kamińska - przedstawił ją Faust. - Chwilowo nazywa się Joanna Phelps, ale jest siostrzenicą Henryka Jedynaka. Ścisłej mówiąc, była. - Wskazał Middletona i zwracając się do dziewczyny, dodał: - A to jest pułkownik Harold Middleton. Widział się z twoim wujem w Warszawie. Twój wuj był odważnym człowiekiem. Ukradł stronę rękopisu. Wiedział, co mu grozi. Ale kara go nie minęła.

- Kto mu to zrobił?

- Przejdziemy do tego później. Najpierw musimy się przekonać, czy twój wuj napisał prawdę. - Faust wyciągnął resztę pierwszej części rękopisu i podał dziewczynie. Rozłożyła strony we właściwej kolejności. Przesuwając palcem po pięcioliniach, cicho nuciła. Po chwili uniosła pokrywę i niepewnie zaczęła odtwarzać frazy na klawiszach. Nie przerywając gry, przeskoczyła na kartkę zaplamioną krwią. Middleton kiwał głową. Słyszał ciągłość, logikę, sens. Aż do ostatniego taktu.

Ten fragment utworu powinna zakończyć cała nuta o wysokości podstawowego dźwięku tonacji, rozbrzmiewająca z absolutną nieodwołalnością. Tak się jednak nie stało. Melodia zawisała w powietrzu, tonąc w absurdalnie fałszywym trylu. Cały takt zajmował czarny gąszcz szesnastek. Pokój wypełnił się ostrym, pulsującym rytmem.

- W ostatnim takcie coś się nie zgadza - powiedziała Felicja.

- Najwidoczniej - przytaknął Faust

Dziewczyna ponownie zagrała tryl, tym razem szybciej.

- Aha, już rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Te dwa dźwięki brzmią fałszywie. Jeżeli zagrać je dostatecznie szybko, dysonans między nimi sugeruje trzecią nutę, której tu nie ma. Ale jakby ją słyszeć. I to jest właściwy dźwięk. Wyraźnie byłoby to słyszeć na skrzypcach.

- Chopin tak nie pisał - zauważył Middleton.

- Wiem - odparła dziewczyna.

- Jaka jest ta sugerowana nuta? - spytał Faust. Dziewczyna zagrała tryl do połowy taktu, po czym wcisnęła

klawisz pośrodku i zabrzmiał czysty dźwięk, emanujący spokojem, dokładnie na swoim miejscu.

- Dwie nuty - powiedziała.

- Ja słyszałem jedną - oznajmił Faust.

- Ostatnia nuta tej części i pierwsza następnej. To Chopin. Kto to zrobił mojemu wujowi?

Faust nie odpowiedział, ponieważ w tym momencie otworzyły się drzwi i do apartamentu wszedł Vukasin, Przy udzie trzymał glocka z tłumikiem i z odległości dwóch metrów Middleton poczuł, że broń była niedawno użyta.

- Jesteśmy w komplecie - powiedział Faust.

Dokonał oficjalnej prezentacji, przedstawiając ich sobie nawzajem: Vukasin, Middleton, Nacho, Kamińska. Zatrzymując wzrok na Felicji, rzekł:

- Twojego wuja zabił pułkownik Middleton. Torturami zmusił go do napisania tego fragmentu, a potem poderżnął mu gardło. W Warszawie, po wspólnym lunchu.

- To nieprawda - zaprotestował Middleton.

- Prawda - odezwał się Vukasin. - Widziałem, jak wychodził. Wszedłem tam i znalazłem ciało. Właściwie trzy ciała. Widocznie weszli mu w drogę dwaj świadkowie.

Faust odsunął się na bok, a Nacho chwycił Middletona za ramiona i obezwładnił. Vukasin uniósł glocka, celując w twarz Middletona. Po chwili opuścił broń i podał dziewczynie, rękojeścią skierowaną do niej.

- To był twój wuj - powiedział. - Jeżeli chcesz, zrób to. Dziewczyna wstała od fortepianu i zbliżyła się do niego. Wzięła broń od Vukasina, który wyjaśnił:

- Jest gotowy do strzału. Nie trzeba odbezpieczać. Wystarczy wycelować i nacisnąć, jak w tanim aparacie fotograficznym. Nie będzie dużego hałasu.

Przesunął się w lewo. Felicja uniosła glocka i wycelowała tam, gdzie celował Vukasin - w nasadę nosa Middletona. Lufa drżała, zakreślając w powietrzu maleńkie kółeczka. Z tłumikiem pistolet był długi i ciężki.

- Oni kłamią - powiedział Middleton. Dziewczyna skinęła głową.

- Wiem.

Zwróciła głową połowę ciała w lewo i strzeliła Vukasinowi w twarz. Miał rację. Nie było dużego hałasu. Tylko trzask, jak gdyby na blat stołu upadła ciężka książka, a potem mokry chrzęst, gdy pocisk dosięgnął celu, i głuchy odgłos ciała padającego na miękkie dywan. I nic więcej, poza swądem prochu i

powiększającą się kałużą krwi. Dziewczyna obróciła się z powrotem, mierząc do Fausta.

- Middleton zna się na muzyce - powiedziała. - Zdążyłam się przekonać. Nie musiałby nikogo torturować, żeby poznać tę melodię. Jest łatwa do przewidzenia. Jak wschód i zachód słońca.

- Nie wiedziałem - rzekł Faust.

- Dwie fałszywe nuty - ciągnęła dziewczyna. - Tworzące nieistniejącą trzecią. Mój wuj zawsze nazywał to wilczym tonem. A „Vukasin” znaczy wilk. To była zaszyfrowana wiadomość. Wskazał mordercę.

- Nie wiedziałem - powtórzył Faust. - Przysięgam.

- Mów.

- Wynająłem Vukasina. Musiał go zwerbować ktoś inny. Vukasin mnie zdradził.

- Kto go zwerbował?

- Nie wiem, przysięgam. Nie mamy teraz na to czasu. W tej muzyce zaszyfrowano znacznie więcej informacji niż tę, kto zabił twojego wuja.

- On ma rację, Felicjo - powiedział Middleton. - Wszystko po kolei. Chodzi o gaz paraliżujący. W porównaniu z jego skutkami 11 września mógłby okazać się spokojnym dniem na plaży.

- Atak może nastąpić już niedługo - dodał Faust. Felicja skinęła głową.

- To kwestia dni - powiedziała. Opuściła broń.

- Czterdzieści nut - rzekł Faust. - Czterdzieści liter między A i G. To za mało.

- Jeszcze kadencja u Mozarta - dorzuciła Felicja. - To też bzdura.

- Mozart nie pisał kadencji - powiedział Middleton. Felicja przytaknęła.

- Właśnie. No i nie napisał dwudziestu ośmiu koncertów fortepianowych.

Kadencja też jest wiadomością. To kawałek tej samej układanki.

- Co najpierw? - spytał Faust.

- Mozart. Tworzył przed Chopinem.

- A więc ile nut?

- Jedno i drugie razem, w sumie może dwieście.

Ciągle za mało. Nie można niczego zapisać, używając liter tylko od A do G.

Zwłaszcza po niemiecku. - Są jeszcze bemole i krzyżyki. Utwór Mozarta jest w tonacji

- Nie można zmieniać liter alfabetu bemolami i krzyżykami.

- Liczb - odparł Middleton - To nie są litery alfabetu, tylko liczby. - Jeden oznacza A, dwa oznacza B? Za mało. Szyfr musi być bardziej skomplikowany.

- Litera A nie oznacza jedynek - rzekł Middleton. - Strój równomiernie temperowany. Częstotliwość dźwięku „a razkreślne” wynosi 440 herców. Każdy dźwięk ma określoną częstotliwość. Półtony też. Dwieście nut to osiemdziesiąt tysięcy cyfr. Jak kod kreskowy. Osiemdziesiąt tysięcy cyfr dostarczy ci wszystkich informacji, których chcesz.

- Jak to obliczymy? - spytał Faust.

- Na kalkulatorze - wyjaśnił Middleton. - Nad drugą od dołu linią pięciolinii jest „a razkreślne”. 440 herców. Oktawę wyżej jest pierwszy alikwot, czyli drugi ton harmoniczny, 880 herców. Dźwięk o oktawę niższy ma częstotliwość 220 herców. Pośrednie interwały można obliczyć. Prawdopodobnie wyjdzie nam sporo ułamków dziesiętnych, ale tym lepiej. Im więcej cyfr, tym więcej informacji.

Faust pokiwał głową. Jego twarz pozostała nieprzenikniona. Wziął z komody rękopis Mozarta i włożył do foliowej koperty razem z kartką poplamioną krwią. Wcisnął plik pod pachę i skinął na Nacho. Potem spojrzał na Middletona i Felicję i nagle rzucił się naprzód, wyrrywając dziewczynie glocka z ręki.

- Nie byłem całkiem szczery - powiedział. - Nie wynająłem Vukasina. Ktoś inny wynajął nas obu. W tym samym celu. Obawiam się, że nie jest to cel dobroczynny. Mamy rycynę i wszystkie inne potrzebne składniki. Nie mogliśmy jednak uzyskać stabilnej substancji. Teraz powinno się udać, dzięki waszym bystrym spostrzeżeniom, za które bardzo dziękujemy. Wyrazimy naszą wdzięczność w praktyce - okazując wam litość. Dokładnie za dziesięć minut, kiedy już bezpiecznie opuścicie hotel, Nacho zabije was strzałem w głowę. Obiecuję, że wszystko odbędzie się szybko i bezboleśnie.

Nacho uniósł dłoń trzymającą pistolet i z niezmaconym spokojem wymierzył do nich. Wrócił na krzesło, skutecznie blokując Middletonowi drzwi. Felicja stłumiła krzyk i chwyciła Middletona za rękę. Faust uśmiechnął się z błyskiem w oku, po czym wyszedł z apartamentu.

Dziesięć minut. Dużo lub mało czasu, zależnie od okoliczności. Dziesięć minut w ogonku na poczcie ciągnie się w nieskończoność. Ostatnie dziesięć minut życia wydaje się trwać nie dłużej niż mgnienie oka. Nacho nie poruszał żadnym mięśniem. Wyglądał jak posąg, jeśli nie liczyć drgnień lufy pistoletu, którymi reagował na każdy milimetrowy ruch Middletona lub Felicji. Co półtorej minuty spoglądał także na zegarek.

Ostatni raz sprawdził godzinę i uniósł broń odrobinę wyżej. Na wysokość głowy. Palec na spuście zbiegał.

Wtedy otworzyły się drzwi.

Do pokoju wszedł Jack Perez.

Nacho odwrócił się do niego.

- Co...

się straszliwy huk. Zbiegli po schodach przeciwpożarowych.

Dziesięć minut później siedzieli w małej restauracji w porcie. - Czyli w zasadzie powiedzieliście mu wszystko? - zapytał Perez.

Felicja bardzo smutnie pokiwała głową. - Tak.

Middleton bardzo stanowczo pokręcił głową. - Nie.

- No to w końcu jak, tak czy nie? - dopytywał się Perez.

- Nie - odparł Middleton. - Ale tylko przez nieuwagę. Popełniłem kilka błędów. Chyba nie potrafiłem zebrać myśli.

- Jakich błędów?

- System równomiernie temperowany to stosunkowo nowa konwencja. Jak międzynarodowe strefy czasowe. Pomysł, żeby „a razkreślne” nastroić do częstotliwości 440 herców, narodził się długo po Mozarcie i Chopinie. W tamtych czasach stroje muzyczne w Europie bardzo się różniły, i to nie tylko w zależności od kraju czy epoki. Czasem nawet w tym samym mieście różnie strojono

instrumenty. W siedemnastym wieku organy w angielskiej katedrze mogły mieć strój pięć półtonów niższy od klawesynu w domu biskupa na tej samej ulicy. Różnice były ogromne. Kamerton stroikowy z 1720 roku grał „a razkreślne” o częstotliwości 380 herców, a w przypadku organów Bacha w Niemczech częstotliwość wynosiła 480 herców. Dźwiękowi A według kamertonu odpowiadał dźwięk F na organach. Mamy też dwa kamertony Handla. Jeden gra dźwięk A o częstotliwości 422, a drugi 409 herców.

- Co z tego? - spytał Perez.

- To, że Faustowi najprawdopodobniej niczego nie uda się wyliczyć.

- Chyba że?

- Chyba że ustalą właściwą wartość dla dźwięku A. — Czyli jaką?

- Przypuszczam, że 428. Pasuje do okresu, poza tym w rękopisie Mozarta jest wyraźna wskazówka: dwudziesty ósmy koncert fortepianowy, którego nigdy nie napisał, wiadomość została ukryta w kadencji. Gdyby numer 28 miał czegoś oznaczać, fałszerz mógłby umieścić fikcyjną kadencję w jednym z dwudziestu siedmiu prawdziwych koncertów.

- Faust się tego domyśli. Kiedy wszystko inne zawiedzie. Ma rękopis Mozarta.

- Gdyby nawet tak się stało... - Middleton spojrzał na Felicję. - Twojemu wujowi byłoby za mnie wstyd. Nie wziąłem pod uwagę temperacji. On na pewno by o niej pomyślał. Był świetnym stroicielem.

- Co to do cholery jest temperacja? - zniecierpliwiał się Perez.

- Muzyka to nie matematyka - odparł Middleton. - Gdybyś zaczął matematycznie obliczać interwały, zaczynając od dźwięku A o częstotliwości 440 herców, to już przy oktawie miałbyś nieczyste brzmienie. Trzeba cały czas kręcić i kombinować. Na słuch. Trzeba robić to, co każe ci ucho, nawet jeśli liczby mówią, że się mylisz. Bach dobrze to rozumiał. Na tym właśnie polega jego „Das wohltemperierte Klavier”. Miał własny system. Na tytułowej stronie oryginału jest odręczny rysunek. Przez wieki uważano, że to tylko ozdobne esy-floresy, ale teraz ludzie sądzą, że to był wykres idealnej temperacji instrumentu.

Perez wyciągnął długopis i pospiesznie zaczął liczyć.

- Jak więc mówisz? Jeżeli A ma 440, to B nie ma 495 herców?
 - Niezupełnie, nie. - No to ile? - Może 493.
 - Kto mógłby wiedzieć? Stroiciel fortepianów?
 - Stroiciel mógłby to wyczuć, ale nie wiedzieć.
 - No więc jak to zaszyfrowali nazistowscy chemicy?
 - Za pomocą dobrze nastrojonego fortepianu, mikrofonu i oscyloskopu.
 - To jedyny sposób?
 - Nie dziś. Dzisiaj jest znacznie łatwiej. Możesz iść do najbliższego sklepu Radio Snack i kupić cyfrowy syntezytor i interfejs MIDI. Stroisz syntezytor według dźwięku A o częstotliwości 428 herców, grasz gamy i odczytujesz liczby z wyświetlacza.
- Perez pokiwał głową, wyprostował się na krześle. I się uśmiechnął.

Rozdział 16

JEFFERY DEEVER

Żadnego tropu. Emmett Kalmbach i Dick Chambers nadzorowali przeszukanie apartamentu w hotelu Harbor Court, wynajętego przez Fausta na fałszywe nazwisko. Oczywiście, pomyślał z goryczą Middleton, trzymając przy uchu telefon; ten człowiek był mistrzem w zacieraniu za sobą śladów.

- Nic? - zapytał, ruchem głowy dając znak Felicji Kamińskiej i Jackowi Perezowi, którzy siedzieli naprzeciw niego w restauracji.

- Nie. Przeczesał wszystko - powiedział Kalmbach - Zrewidowaliśmy też Vukasina. I jakiegoś drania z dziwnym tatuażem. Nazywa się Stefan Andrzej. Aha, jeszcze tego Meksykanina, którego zdjął twój zięć, Ale nie ma najdrobniejszej wskazówki, dokąd Faust mógł zwać.

- A te lornetki, o których mówiła nam Felicja... - Dziewczyna opowiedziała im, jak Nacho wyglądał przez okno, i zrelacjonowała strzępki rozmowy, w której była mowa o dostawach i szczegółach technicznych. - Były skierowane w stronę magazynu po drugiej stronie ulicy, ale magazyn był pusty.

- Czyli przetransportował chemikalia gdzie indziej.

- Tylko, cholera, nie mamy zielonego pojęcia gdzie - mruknął agent FBI. - Szukamy dalej. Odezwę się, Harry.

W słuchawce zapadła cisza.

- Nic - mruknął Middleton. Popijał kawę, kończąc batonik. Mówił sobie, że dodaje sobie energii; w rzeczywistości jednak czekolada poprawiała mu samopoczucie. - Przynajmniej podałem Faustowi nieprawdziwe informacje o kodzie w partyturze. Nie pomogą mu w produkcji gazu.

- Ale metodą prób i błędów mógłby odkryć prawdziwą formułę? - spytała Felicja.

- Tak, mógłby. I zginęłoby wielu ludzi, naprawdę paskudną śmiercią. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Middleton zerknął na Pereza.

- Całkiem dobrze obchodziłeś się z tą beretką. - Podobnie jak z koltem, kiedy zlikwidował Eleanę Soberską.

Jego zięć parsknął śmiechem.

- Trzymałem się z daleka od rodzinnego interesu w Luizjanie. Ale to nie znaczy, że nic o nim wiedziałem. - Uśmiechnął się skromnie. - Zresztą wiesz o tym, prawda?

Middleton wzruszył ramionami.

- Jasne, że cię sprawdziłem. Chciałeś się ożenić z moją córką... Gdybyś miał chociaż jedną drobną plamkę na zyciorysie, Charley nie nosiłaby dzisiaj dwóch nazwisk.

- Szanuję taką troskę o rodzinę, Harry. Tak samo będę dbał o swoją... - Urwał i spuścił wzrok, myśląc naturalnie o dziecku, które nie zdążyło się urodzić. Middleton lekko ścisnął jego ramię.

- Wuj znał pana jako muzykologa, uno professore - powiedziała Felicja. - Ale jest pan kimś więcej, prawda?

- Tak. Właściwie byłem. Pracowałem dla wojska i rządu. Potem prowadziłem swoją grupę i tropiłem zbrodniarzy wojennych.

- Takich jak ten człowiek, który zabił wujka? - Tak.

- Powiedział pan „byłem”. Co się stało?

- Grupa się rozpadła.

- Dlaczego? - spytał Perez.

Middleton postanowił opowiedzieć im tę historię.

- To się zdarzyło w Afryce. Nasza czwórka wytropiła pewnego watażkę w Darfurze. Kradł miejscowym leki dla chorych na AIDS i sprzedawał dzieci jako żołnierzy. Zorganizowaliśmy akcję specjalną, zwabiliśmy go na wody międzynarodowe i zamierzaliśmy odstawić do Hagi na proces. Potem nasi główni świadkowie w jego sprawie, rzekomo przypadkowo, zginęli w pożarze. Ktoś zamknął na klucz drzwi i spalił dom, w którym ich ukrywaliśmy. Większość była tam z rodzinami. Zginęło dwadzieścioro dzieci. Bez świadków me było procesu. Musieliśmy go wypuścić. Chciałem wrócić do Darturu i oskarżyć go o podpalenie, ale Val - Valentin Brocco - stracił panowanie nad sobą. Usłyszał, jak drań szydził z nas i mówił, jak to nas wystrychnął na dudka. Val strzelił mu w głowę. Po tym zdarzeniu nie mogłem już dłużej działać. Rozwiązałem grupę. Trzeba przestrzegać zasad. Kiedy je złamiesz, wygrywa druga strona. Stajemy się wtedy tacy sami jak oni.

- Chyba bardzo to pana dręczyło - zauważyła Felicja.

- To byli moi przyjaciele. Było ciężko.

Jedna osoba była kimś więcej niż tylko przyjacielem. Ale tę część historii Middleton zachował dla siebie.

Odezwała się jego komórka. Middleton spojrzął na ekran i odczytał długi esemes.

- O wilku mowa... To Lespasse i Nora - wyjaśnił. - Ciekawe... Rozmawiali z

jednym z naszych dawnych kontaktów. Dowiedział się, że do fabryki w Baltimore przywieziono wczoraj maszyny, które mogą służyć do budowy systemu transportu broni chemicznej. - Spojrzał na nich. - Mam adres. Chyba pojedę to sprawdzić. - Zwracając się do zięcia, dodał: - Zabierz Felicję do jakiegoś bezpiecznego miejsca i... Perez pokręcił głową.

- Jadę z tobą.

- To nie twoja wojna, Jack.

- To są terroryści. Wszyscy walczą w tej wojnie. Jadę z tobą.

- Jesteś pewien?

- Nigdzie beze mnie nie pojedziesz.

Middleton serdecznie skinął mu głową. Potem dyskretnie wyciągnął zza paska służbowego glocka i trzymając broń pod stołem, sprawdził amunicję.

- Mam za mało. Pokaż mi swoją berettę. Perez niepostrzeżenie podał mu pistolet. Middleton zajrzał do magazynka.

- Masz dwanaście plus jeden w komorze. Pożyczę sobie ze trzy albo cztery.

- Och, nie musisz mi ich zwracać - odrzekł z ponurą miną zięć. Po chwili się uśmiechnął. - Oddaj je lepiej Faustowi.

Middleton zaśmiał się.

Wyszli z restauracji i odprowadzili Felicję do hotelu przy tej samej ulicy.

Middleton dał jej trochę pieniędzy i polecił czekać w pokoju, dopóki nie zadzwonią.

- Też chcę jechać - zaprotestowała.

- Nie, Felicjo.

- Przez tego człowieka zginął mój wuj. Uśmiechnął się do niej.

- To nie twoja profesja Zostaw to fachowcom. Niechętnie skinęła głową i ruszyła do holu.

Middleton wsiadł za kierownicę samochodu Pereza i ruszyli, jadąc coraz bardziej wyboistymi ulicami, na których spod zdartego asfaltu przebijał bruk.

- Maszyny przywieziono na West Ellicott Street 438 - powiedział. - Jakąś milę stąd. - Middleton rzucił okiem w prawo. Perez z uśmiechem pokręcił głową.

Jego też spojrzał na niego zdziwiony. - Co?

- Zabawny jesteś. Ty i twoi przyjaciele.

- Kto? Lespasse i Nora?

- Tak.

- Dlaczego?

W jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta sarkazmu.

- Podobno byliście tak cholernie dobrzy w tej robocie. A teraz daliście się nabrać na lipny trop.

- Co ty wygadujesz?

Beretta pojawiła się błyskawicznie. Middleton wzdrygnął się, czując na szyi dotyk lufy. Zięć zabrał mu glocka i razem z komórką cisnął na tył samochodu. Potem odpiął teściowi pas bezpieczeństwa, lecz sam pozostał przypięty.

- Co się dzieje? - wykrztusił Middleton.
- System transportu gazu przywieziono do Wirginii, nie do Baltimore. Sami go zawieźliśmy. To, co jest przy Ellicott Street, nie ma z nami nic wspólnego.
- Z wami? - szepnął Middleton. - Jesteś z nimi, Jack?
- Niestety, tato. Skręć tu w prawo. Jedź na nabrzeże. - Ale...
- Czarny automat dźgnął Middletona w ucho. - Już.
- Posłusznie ruszył we wskazanym kierunku i wkrótce dotarli do opuszczonego pomostu, przy którym ciągnęły się stare magazyny. Perez rozkazał mu się zatrzymać. Celując w Middletona, wypchnął go z samochodu i skierował do jednego z budynków.
- Faust spojrział na nich, jak gdyby byli gośćmi, którzy akurat zdążyli na początek przyjęcia. W kombinezonie i grubych rękawicach stał przy stole zagraconym narzędziami, rurami i przeróżnymi elementami elektronicznymi albo komputerowymi. Obok znajdowała się paleta z około pięćdziesięcioma zbiornikami z gazem. Na każdym widniał napis w sześciu językach: „UWAGA - ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE”.
- Faust obrzucił Middletona taksującym spojrzeniem.
- Zrewiduj go. - Już to zro...
- Powiedziałem, zrewiduj. Perez obszukał go.
- Czysty.
- Middleton pokręcił głową.
- Nie rozumiem... Przecież Jack zastrzelił Nacho. Faust skrzywił się.
- Musieliśmy poświęcić tego gnojka, żebyś uwierzył obecnemu tu panu Perezowi i podał nam prawdziwy szyfr. Miałem wątpliwości, czy byłeś ze mną szczery.
- Nie był - potwierdził Perez. - Twierdził, że nie potrafił zebrać myśli. Ale jestem pewien, że kłamał. Powiedział mi, jak to działa. - Opowiedział, co Middleton mówił o dostrojeniu dźwięku A i rozszyfrowaniu formuły za pomocą prostego urządzenia elektronicznego.
- Faust kiwał głową.
- Nie wziąłem tego pod uwagę. Oczywiście.
- Czyli to był element twojego planu, żeby Jack przyszedł nas uratować w hotelu Harbor Court? - spytał Middleton.
- Mniej więcej.
- Co się tu dzieje, do cholery?
- Jestem tylko biznesmenem, pułkowniku. Dziś terroryzm wygląda inaczej. Za dużo list poszukiwanych, za dużo monitoringu, za dużo komputerów. Trzeba zatrudniać ludzi z zewnątrz. Zostałem wynajęty przez patriotów, idealistów pragnących chronić swoją kulturę.
- Tak nazywasz czystki etniczne? Faust zmarszczył brwi.
- Oni nazywają to zabezpieczeniem się przed nieczystością. Mieszałeś się w wewnętrzne sprawy ich kraju. Zapłacisz za to. Zapłacą setki tysięcy ludzi.
- A ty, Jack? - warknął Middleton. Młody człowiek zaśmiał się ponuro.

- Mam swoje ideały. Ale mają dużo zer. Zarabiam dziesięć milionów za to, żeby mieć cię na oku i pomóc im uciec. Fakt, studiowałem prawo, zerwałem z rodzinnym interesem... i to był największy błąd mojego życia. Miałbym zacząć uczciwe życie? Bzdura. - Popatrzył na teścia z pogardą. - Spójrz tylko na siebie, panie Harry Middleton. Gwiazda wywiadu wojskowego, geniusz muzyczny... Faust prowadził cię na pasku przez pół świata.

- Jack, nie mamy czasu - rzekł Faust. - Spróbuję skorygować formułę. Jeżeli się uda i nie będzie nam już potrzebny, możesz się nim zająć.

- Jack, chcesz zabić tylu ludzi? - zapytał Middleton.

- Oddam część z tych dziesięciu milionów na fundusz pomocy ofiarom... - Szeroko się uśmiechnął. - Albo i nie.

Nagle umilkł. Przechylił głowę. Faust także spojrzał w górę.

- Helikopter - mruknął Perez. Ale Faust krzyknął:

- Nie, dwa! Zaraz, trzy! Faust podbiegł do okna.

- To pułapka. Policja. Wojsko. - Spiorunował Jacka wzrokiem. - Ty ich tu przyprowadziłeś!

- Nie, zrobiłem to, co uzgodniliśmy.

Middleton usłyszał silniki jeepów i transporterów, które szybko się zbliżały. W górze rozbłyły reflektory.

Faust nacisnął wyłącznik na ścianie. Magazyn pograżył się w ciemnościach. Middleton rzucił się na Fausta, ale zobaczył, jak jego niewyraźna sylwetka biegnie do rogu pomieszczenia, unosi klapę i znika. Kilka sekund później zawarczał silnik motorówki.

Do diabła! pomyślał Middleton. Włączył światło. Podbiegł do klapy.

Próbował ją unieść, ale Faust zamknął ją z drugiej strony.

Spocony i rozgorączkowany Perez wymierzył do Middletona z pistoletu.

- Nie ruszaj się, Harry. Jesteś teraz moją przepustką. Middleton, nie zwracając na niego uwagi, ruszył w stronę wyjścia z magazynu.

- Harry! - Perez wycelował w jego głowę. - Nie będę powtarzał!

Skrzyżowały się ich spojrzenia. Perez nacisnął spust. Trzask!

Middleton wyciągnął z kieszeni garść kul i pokazał mu. Gdy w restauracji udawał, że bierze z magazynka trzy czy cztery pociski, wyciągnął wszystkie — łącznie z tym w komorze.

Jego oczy przewiercały zięcia.

- Pamiętasz tamten esemes? Nie był od Nory i Lespasse'a. Był od Charley.

„Green Lantern”. To nasz sygnał alarmowy. Napisała mi, z czyjej strony grozi mi niebezpieczeństwo. Z twojej, Jack. Wiedziałem, że zaprowadzisz mnie do Fausta. Dlatego wysłałem wiadomość do Nory i Lespasse'a, żeby pojechali za mną z restauracji.

Middleton skoczył naprzód i wymierzył Perezowi cios w szczękę, a potem bez trudu wyrwał mu automat. Wsunął pocisk do komory, zaryglował i wycelował w zięcia.

- Harry, nie rozumiesz. Tylko udawałem. Chciałem się dowiedzieć, kto w tym bierze udział. Jestem patriotą.

- Nie. Jesteś zdrajcą który chciał zamordować sto tysięcy obywateli swojego kraju... - Zmrużył oczy. - Sto tysięcy i jednego.

- Jednego?

- Mojego wnuka. Charley powiedziała mi, co się stało. Jak mogłeś zrobić coś takiego? Jak?

Perez zgarbił się, wbił wzrok w ziemię i porzucił wszelkie pozory.

- Dziecko nie pasowało do mojego stylu życia.

- Charley też nie? Co miała zrobić moja córka po stracie dziecka, z rozpaczyny popełnić samobójstwo?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Middleton złapał dygocącego Pereza za kołnierz, rzucił go na kolana i przytknął lufę do jego czoła. Czuł, jak zaciska mu się palec na spuście.

Ten człowiek zabił twojego wnuka, zamierzał zabić twoją córkę. Jesteśmy w środku obławy, pierwszy cię zaatakował... Jeżeli go zlikwidujesz, nikt się tym nie przejmie. No już, zrób to! Zanim ktoś tu wejdzie. Perez z żalną miną przytknął oczy.

- Błagam cię, Harry. Błagam.

Zielona koszula, zielona koszula, zielona koszula...

Middleton opuścił broń. Pchnął Pereza, który rozciągnął się na brzuchu na podłodze.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Pomieszczenie wypełniło kilkunastu żołnierzy i ludzi w kurtkach z napisem FBI. Agenci skuli Pereza, a jednostka chemiczna w strojach ochronnych, przypominających skafandry kosmonautów, ruszyła prosto do zbiorników z gazem i rozłożonego na stole sprzętu, sprawdzając go czujnikami. Po kilku minutach jeden z funkcjonariuszy oznajmił:

- Nic nie zdążyli zmieszać. Nie ma zagrożenia.

Do magazynu wkroczył siwowłosy mężczyzna w mundurze z dystynkcjami majora. Miał posępną minę.

Och, nie... Middleton domyślił się, czego właśnie dowiedział się major Stanley Jenkins.

- Przykro mi, pułkowniku. Uciekł. Middleton westchnął.

Przynajmniej zabezpieczyli gaz. Miasto było uratowane. A Faust stanie się jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi w historii Stanów Zjednoczonych. Znajdą go. Middleton tego dopilnuje.

Pół godziny później Jack Perez znalazł się w areszcie, a Middleton stał przed magazynem w towarzystwie Tesli, Lespasse'a i Jenkinsa-swojego dawnego kolegi z wojska. Zatrzymał się przy nich samochód. Nieoznakowany. Czy federalni naprawdę sądzili, że ludzie nie poznają takich wozów? Równie dobrze mogły mieć na drzwiach ogromny napis: „Służymy i chronimy”.

Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Jednym był Dick Chambers z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, drugim zastępca dyrektora FBI Kalmbach.

- Emmett.

- Pułkowniku, nie...

- Nie wiem, co powiedzieć, Harry - wtrącił Chambers. - Kraj wiele ci zawdzięcza. Uratowałeś życie tysięcy osób.

Middleton miał nadzieję, że Kalmbach jest przyzwyczajony do lekceważenia.

Po gafie, którą było wpuszczenie do kraju Vukasina i jego chłopców, Chambers chciał wycisnąć z tego zwycięstwa, ile się dało.

- Musisz nam złożyć pełne sprawozdanie - ciągnął Chambers. - Chcielibyśmy...

- Nie - oświadczył stanowczo Middleton. - Teraz muszę się zobaczyć z córką.

- Ależ, pułkowniku, muszę porozmawiać z dyrektorem i z Białym Domem.

Na razie jednak Chambers rozmawiał tylko z plecami Middletona.

Powinna przyjść do siebie.

Przynajmniej fizycznie. Utrata dziecka i zdrada męża poważnie odcisnęły się jednak na jej psychice, więc Middleton zabrał ją do domu nad jeziorem.

Spędzili dużo czasu przed telewizorem, oglądając wiadomości. Zgodnie z jego przewidywaniami Dick Chambers i inni urzędnicy z Bezpieczeństwa Krajowego przypisali sobie większość zasług za powstrzymanie ataku gazowego i zdemaskowanie terrorystów, którzy przedostali się do kraju - „dzięki wyjątkowo dobrze sfalszowanym dokumentom”, jak wyraźnie zaznaczył. Na marginesie wspomniano o roli FBI w sprawie.

Nazwiska Harry'ego Middletona w ogóle nie wymieniono. Bo na tym, oczywiście, polegały zasady tej gry. Z analizy sprawy wynikało, że Faust kierował spiskiem, który miał na celu dokonanie zemsty na Ameryce za operację pokojową. Pracował dla niego Rugova, ale zmęczyło go więzienie i zamierzał wykupić się z niewoli skradzionym łupem, który miał wspierać finansowo terrorystów.

Dlatego został zlikwidowany przez Vukasina. Stefan Andrzej, człowiek z tatuażem, który zamordował Vala Brocco, prawdopodobnie zdradził i został zabity z tego powodu - oraz z powodu własnej nieudolności.

Kontynuowano intensywne poszukiwania Fausta, sprawdzając nowe tropy.

Wciąż miał w kraju nieznaną współlankę. Z telefonu na kartę, przypuszczalnie należącego do niego, ponieważ z tym numerem często łączył się Perez, Faust wielokrotnie dzwonił pod numery automatów znajdujących się w jednym rejonie Waszyngtonu, gdzie musieli mieszkać jego towarzysze. W tej okolicy natychmiast zainstalowano sprzęt elektroniczny i rozpoczęto obserwację.

Ale Middleton, przynajmniej na razie, nie brał udziału w poszukiwaniach.

Bardziej interesowało go zdrowie córki.

I odbudowanie relacji z Norą i J.M. Lespasse'em.

Zaprosił ich na kilka dni do domu nad jeziorem - Nie był pewien, czy

skorzystają z zaproszenia, ale przyjechali. Jego córka chyba wybaczyła Tesli, którą obwiniała o rozstanie rodziców - choć zaczęła też rozumieć, że rozwód był nieunikniony na długo przed pojawieniem się na horyzoncie Nory Tesli. Czekają ich jednak także rozmowy o innych sprawach, których z początku starali się unikać. W końcu poruszyli temat przeszłości, wracając do historii watażki z Darfuru, którego zabił Brocco, co było przyczyną rozwiązania Ochotników.

Nikt nie przyznawał się do winy ani nie przeproszał, ale żadne z nich nie próbowało się też bronić, a dzięki zbawiennemu upływowi czasu - i przyjaźni, którą rodzi wspólny cel - nareszcie dali sobie spokój z roztrząsaniem tamtego wydarzenia.

Tesla i Middleton spędzili ze sobą trochę czasu, dużo rozmawiając o mało istotnych rzeczach. Wybrali się na długi spacer i dotarli na cypel nad pobliskim jeziorem. W pewnym momencie z lasu wypadło stado jeleni i uciekło galopem. Zaskoczona Tesla chwyciła go za rękę - i tym razem nie cofnęła dłoni.

Wkrótce po odnalezieniu śmiertelnie działającego gazu zadzwonił telefon Middletona. Abe Nowakowski - przebywający w rzymskim areszcie - zawarł ugodę z amerykańskimi, polskimi i włoskimi prokuratorami. W zamian za złagodzenie wyroku zgodził się coś oddać.

Okazało się, że była to wyjątkowa rzecz.

Niebawem do domu nad jeziorem nadeszła paczka. Middleton otworzył ją i przez następne dwa dni badał jej zawartość.

- Jasna cholera - brzmiał jego komentarz, a pierwszą osobą, która go usłyszała, nie była Nora Tesla ani J.M. Lespasse, lecz Felicja Kamińska, która na wiadomość o przesyłce zjawiała się w jego domu.

Pokazał jej, co leży na steinwayu w jego gabinecie.

- To nie falsyfikat?

- Nie - szepnął Middleton. - Oryginał. Nie ma wątpliwości.

W ramach zapłaty za wyświadczone Faustowi usługi Nowakowski otrzymał partyturę, której autentyczność właśnie potwierdził Middleton: prawdziwy rękopis Chopina, dotąd nieznan, prawdopodobnie pochodzący ze skarbu odnalezionego przez Rugovę w cerkwi św. Zofii.

Była to sonata bez tytułu na fortepian i orkiestrę kameralną. Niesłychane znalezisko dla miłośników muzyki na całym świecie.

A także, jak z rozbawieniem przekonał się Middleton, dla rządu. Oficjale z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego skwapliwie skorzystali z okazji, by jeszcze bardziej podreperować wizerunek organów federalnych po udanej akcji przeciw terrorystom, i domagali się zorganizowania uroczystej premiery utworu Chopina w sali koncertowej imienia Jamesa Madisonsa w Waszyngtonie. Middleton zadzwonił osobiście do Dicka Chambersa,

nalegając, by solistką była Felicja Kamińska. Ten zgodził się bez wahania, mówiąc:

- Jestem ci to winien, Harry.

Pierwszym instrumentem Felicji były oczywiście skrzypce, ale jak zażartowała ze swoim ledwie słyszalnym akcentem:

- Z klawiszami też sobie radzę.

Middleton roześmiał się. Felicja spoważniała, dodając:

- To zaszczyt, o jakim każdy muzyk może tylko marzyć. -Uścisnęła go serdecznie. - Zadedukuję swój występ wujowi.

Na koncert wybierali się Nora Tesla, Lespasse i Charlotte, a także większość kulturalnych i politycznych elit Waszyngtonu.

Kilka dni przed koncertem Charley Middleton późnym wieczorem weszła do gabinetu ojca w domu nad jeziorem.

- Cześć, tato. Co robisz?

Tato? Nie używała tego słowa od lat. Brzmiało dziwnie w jej ustach.

- Przeglądam Chopina. Jak się czujesz, skarbie?

- Coraz lepiej. Krok po kroku.

Usiadła obok niego. Pocałował ją w głowę. Napila się wina z jego kieliszka.

- Smaczne.

Mówił tak dawno, dawno temu, próbując mleka przy śniadaniu i zachęcając córkę, by je wypila.

- Zdumiewające, prawda? - powiedziała, zaglądając do rękopisu.

- Pomyśleć, że te kartki trzymał kiedyś Fryderyk Chopin. Popatrz na te gryzmoły. Chciał wypróbować pióro? Myślał o czymś innym? Może chciał coś sobie zanotować?

Patrzyła przez okno na ciemną, nieruchomą taflę jeziora. Cicho płakała.

- Czy coś się kiedykolwiek zmieni na lepsze... - szepnęła.

- Oczywiście, że się zmieni. Wszystko się ułoży.

Tak, ułoży się, pomyślał Harold Middleton. Zawsze w końcu się układa. Ale żal i strach nigdy zupełnie nie znikną.

Zielona koszula... Zielona koszula...

Niespodziewanie przyszła mu do głowy pewna myśl. Zastanawiał się, czy zabójstwo popełnione w Darfurze przez Vaia Brocco nie stało się dla niego pretekstem, żeby wycofać się z walki, do której, jak zawsze sądził, był stworzony. Nie mógł ocalić wszystkich, więc przestał próbować ratować kogokolwiek i schronił się w świecie muzyki.

- Idę spać. Kocham cię, tato.

- Dobranoc, kochanie.

Kiedy wyszła, Middleton pociągnął łyk wina i znów pochylił się nad Chopinem, rozmyślając o przedziwnym paradoksie. Miał przed sobą dzieło sztuki napisane w czasach, gdy prawie całą muzykę tworzone na chwałę

bożą, a jednak utwór stał się elementem strasznego planu wymordowania tysięcy ludzi w imię mściwego fanatyzmu religijnego. Czasem świat po prostu traci rozum, uznał Harold Middleton.

Rozdział 17

JEFFERY DEEVER

Mężczyźni skończyli pracę o północy. - Jestem wykończony. To wszystko? -
Rozmowa toczyła się w języku serbsko-chorwackim.

Drugi mężczyzna także był zmęczony, ale milczał, patrząc niepewnie na
trzeciego, o smagłej twarzy i długich ciemnych włosach zaczesanych do tyłu.
Człowiek, który ich nadzorował - Faust - powiedział im cicho, że tak, mogą
już iść. Mówił po angielsku.

Po ich wyjściu przeszedł przez piwnicę i świecąc latarką, skontrolował efekty
ich czterogodzinnej pracy: przeprowadzili dwucalowa
giętką rurę - była zaskakująco ciężka, kto by się spodziewał? - przez kanały z
miejsca odległego o trzy budynki. Mozolnie, używając cichych ręcznych
pomp, napełnili gumowe balony prawie trzema i pół tysiąca litrów benzyny.
Następnie umieścili między balonami zbiorniki z propanem i zapalniki, a na
koniec, co było najtrudniejsze, zamontowali instalację elektroniczną.

Zostając sam w piwnicach sali koncertowej imienia Jamesa Madisona, Faust
dokonał ostatniej inspekcji systemu. Wszystko było na swoim miejscu. Dał
upust fantazji, wyobrażając sobie, co się stanie dziś wieczorem. Podczas
światowej premiery dopiero co odkrytej sonaty Chopina, w trakcie adagia
mikrofon umieszczony nad fortepianem wychwyci charakterystyczną
sekwencję dźwięków, która zostanie elektronicznie przetłumaczona na
wartości numeryczne. Te z kolei komputer rozpozna jako polecenie dla
małych silników, które otworzą zbiorniki z propanem. Kilka minut później,
kiedy rozpocznie

mą vivace, kolejna sekwencja dźwięków uruchomi zapalniki Propan zapali
się, stopi gumowe balony i błyskawicznie zmieni salę koncertową w
krematorium.

Ten skomplikowany system był konieczny, ponieważ w drobiazgowo
chronionych miejscach publicznych w stolicy używano urządzeń
zagłuszających mikrofałe, sygnały radiowe i telefony komórkowe. Zdalne

nadajniki były bezużyteczne. A mechanizm zegarowy natychmiast wykryłyby superczułe mikrofony. Paradoksalnie zapalnikiem miała zostać sama Felicja Kamińska.

Faust zamaskował pudłami balony, zbiorniki i zapalniki. Był zadowolony ze swojego planu. Middleton i rząd chwycili przynętę, którą podsunął im Nowakowski - rękopis. I najwyraźniej uwierzyli w całą maskaradę i wszystkie fałszywe informacje, które Faust przekazał Jackowi Perezowi i Felicji Kamińskiej - uwierzyli w kod ukryty w partyturze, w atak gazowy, w obserwację magazynu, w tajemniczą rozmowę na temat dostaw i chemicznych formuł, w torturowanie mężczyzny z tatuażem zamkniętego w szafie... Obrona nieprzyjaciela została unieszkodliwiona. Przyszła mu do głowy celna metafora: uwierzyli, że koncert się zakończył; nie podejrzewali, że przygotował spektakularne, nieoczekiwane crescendo.

Faust wymknął się z piwnicy, martwiąc się na myśl o Felicji Kamińskiej umierającej w pożarze. Oczywiście nie przejmował się losem dziewczyny. Martwił się, że jeśli będzie ona korzystać z oryginału partytury, rękopis zostanie zniszczony

W końcu był wart parę milionów dolarów.

Tłum widzów zaczął się zbierać na długo przed koncertem, a kolejka ciągnęła się daleko za budowę znajdującą się obok sali Jamesa Madisonsa. Wiele osób nie miało biletów, licząc na koników. Ale to była światowa premiera Chopina, nie przedsezonowy mecz Redskinsów, więc biletów nie było.

Harold Middleton złożył Felicji krótką wizytę za kulisami, życzył jej powodzenia, a potem wrócił do gości w foyer: Leonory Tesli, J.M. Lespasse'a i swojej córki Charley.

Przywitał się z kilkoma profesorami muzyki z Georgetown i Uniwersytetu George'a Masona, a także z paroma dawnymi kolegami z Departamentu Obrony i Departamentu Sprawiedliwości. Podszedł do niego Emmett Kalmbach i uścisnął mu rękę.

- Gdzie jest Dick? - spytał.

Middleton ze śmiechem wskazał głowę sekretarza Bezpieczeństwa Krajowego.

- Oddał bilet szefowi.

- Ja przynajmniej potrafię docenić kulturę - oznajmił agent FBI.

- Słyszałeś kiedyś coś Chopina, Emmett?

- Pewnie.

- Co napisał?

- Ten kawałek. - Jaki?

- No wiesz, ten znany.

Middleton uśmiechnął się, a Kalmbach zmienił temat. Światła w foyer przygasły. Weszli na widownię i znaleźli swoje miejsca.

- Odpręż się, Harry - usłyszał głos swojej córki Middleton. - Wyglądasz, jakbyś sam miał wystąpić.

Uśmiechnął się, zauważając, jak się do niego zwróciła. Nie martwił go brak czułości; to był znak, że dochodziła do siebie.

Nie potrafił się jednak odprężyć. Dzisiejszy wieczór miał przynieść doniosłe wydarzenie. Middleton nie mógł usiedzieć z przejęcia.

Przy burzliwych brawach na scenę wkroczył dyrygent. Po chwili wyciągnął rękę w prawą stronę i na scenie ukazała się dziewiętnastoletnia Felicja Kamińska w delikatnej czarnej sukni. Wyglądała jak pewna siebie profesjonalistka. Uśmiechnęła się, ukłoniła i zerknęła na Harolda Middletona. Zdawało mu się, że mrugnęła porozumiewawczo. Zasiadła przy fortepianie. Dyrygent zajął miejsce przy pulpicie. Uniósł batutę.

- Dick, mam coś ciekawego.

Chambers pracował jeszcze w swoim biurze w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Myślał o koncercie, zastanawiając się, czy jego szef jest mu wdzięczny za bilet. Uniósł wzrok.

- Chyba powinienś pogadać z tym facetem - powiedział jego nieskazitelnie taktowny asystent.

Dzwonił pracownik restauracji znajdującej się niedaleko sali koncertowej Jamesa Madisona. Oznajmił, że wychodząc nad ranem z pracy, zobaczył jakiegoś mężczyznę opuszczającego salę przez boczne wyjście. Wydało mu się to podejrzane - sala była zamknięta przez cały dzień - więc swoją komórką zrobił zdjęcie jego samochodu i tablicy rejestracyjnej. Chciał zadzwonić na policję wcześniej, ale zapomniał. Gdy to zrobił, połączono go z Bezpieczeństwem Krajowym, ponieważ na koncercie mieli być obecni wysokiej rangi urzędnicy rządowi.

- Dzisiaj nic nie wiadomo - dodał pracownik restauracji. - Z tymi terrorystami i tak dalej.

- Lepiej to sprawdzić - rzekł Chambers. - Gdzie pan jest? Odparł, że właśnie wychodzi z pracy. Podał adres restauracji. Była zamknięta, więc Chambers poprosił go, by zaczekał w pobliskim parku. Wkrótce miał tam przysłać agentów.

- Dziękuję panu. Nasz kraj jest winien ogromną wdzięczność ludziom takim jak pan.

Na scenie Felicja Kamińska grała jak jeszcze nigdy w życiu. Nie dlatego, że to był jej pierwszy występ jako solistki podczas światowej premiery, ale z powodu samej muzyki. Była odurzająca.

jak ego

Muzycy przyzwyczajają się do swojego repertuaru, podobnie jak

małżonkowie przywiązują się do siebie w ciągu wielu lat wspólnego życia. Ale pierwszy kontakt i zagranie nowego dzieła przypomina początek płomiennego romansu.

Muzyka była pełna pasji, porywająca, urzekająca. Felicja zapomniała o bożym świecie.

Była zupełnie pochłonięta grą, nieświadoma obecności tysiąca osób na widowni, nieświadoma światła, nie widziała znakomitych gości ani towarzyszących jej członków orkiestry kameralnej.

Tylko jedna rzecz nieco jej przeszkadzała.

Lekki swąd dymu.

Po chwili jednak nadszedł trudny fragment i skupiając się na Chopinie, przestała zwracać uwagę na zapach.

Ciemny sedan zatrzymał się niedaleko małego parku w północno--zachodniej części Waszyngtonu, gdzie na ławce siedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany w wytłuszczony kombinezon, rozglądając się jak nerwowy ptak.

Kiedy nadjechał samochód, wzdrygnął się i wstał dopiero na widok tabliczki: „Pojazd rządowy” i liter DBK na drzwiach. Podeszedł do człowieka, który wysiadł z samochodu.

- Jestem Joe. Z restauracji - powiedział. - To ja dzwoniłem.

- Dick Chambers. - Podali sobie ręce.

- Proszę - rzekł Joe. Pokazał telefon komórkowy. - Mam zdjęcie tablicy rejestracyjnej. Trudno przeczytać, ale na pewno macie komputery, które mogą... no, jakoś wyostrzyć obraz.

- Tak, nasz wydział techniczny potrafi dokonać cudów. Z samochodu wynurzył się drugi mężczyzna i zawołał:

- Dick, właśnie słyszałem w radiu wiadomość CNN! Pożar w sali koncertowej. Podobno duży. Naprawdę duży!

Dick Chambers uśmiechnął się i odwrócił do człowieka, który go wołał.

To był Faust. Z samochodu wysiedli jego dwaj ludzie i dołączyli do niego.

- To jest właśnie człowiek, którego widziałem - krzyknął wzburzony Joe. - Aresztowaliście go!

Ale zauważył, że Faust nie ma na rękach kajdanek.

- Nie, nie, nie... Upuścił komórkę, wpatrując się w Chambersa. - Jesteście z nimi! Już po mnie!

Tak. w zasadzie już po tobie, pomyślał funkcjonariusz Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

- Co się dzieje w sali? - zapytał Fausta Chambers.

- To na razie pierwsza wiadomość. Nikt niczego nie widział. Ulice pełne dymu. Wszędzie wozy strażackie.

- Sala koncertowa! Wysadziłeś ją?

Rozgniół obcasem telefon pracownika restauracji.

- Obawiam się, że znalazłeś się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. - Spojrzał na Fausta, który wyciągnął pistolet z tłumikiem i wymierzył

w Joego.

- Nie! Błagam pana!

W tym momencie rozbłysły reflektory, zalewając oślepiającym blaskiem Chambersa, Fausta i pozostałych.

Pracownik restauracji padł na trawę i pospiesznie odczołgał się na bok, a głośnik zadudnił:

- Chambers, mówi Emmett Kalmbach. Mamy snajperów, którzy mogą strzelać bez ostrzeżenia. Na ziemię. Wszyscy.

Funkcjonariusz DBK był w szoku, ale wahał się tylko przez chwilę. Za długo działał w tej branży. Wiedział, że od śmierci dzieli go niecały kilogram nacisku na spust Skrzywił się i położył na brzuchu, rozkładając ręce i nogi.

Obstawa Fausta uczyniła to samo.

Faust natomiast się wahał, a broń w jego ręce lekko drżała.

- Ty, na ziemię!

Faust niewątpliwie wiedział, co go czeka - przesłuchanie, skazanie, a potem albo reszta życia za kratkami, albo śmiertelny zastrzyk - więc porzucił rozsądek, wybierając desperackie wyjście. Strzelił w kierunku reflektorów, a potem odwrócił się i zaczął biec.

Chudy mężczyzna, któremu najlepiej wychodziła ucieczka przed konsekwencjami własnych czynów, zdążył pokonać dwa metry, zanim snajperzy nie zakończyli na zawsze jego kariery.

Harry Middleton wkroczył w blask świateł ustawionych przez zespół kryminalistyczny biura terenowego FBI w Waszyngtonie.

Spojrzał na zwłoki Fausta, po czym przywitał się z człowiekiem, który był ich pozorantem i przebrany za pracownika restauracji, udawał, że widział, jak Faust wymyka się z sali koncertowej.

- Józefie, nic ci się nie stało?

- Nic - odparł Padło. - Padając na ziemię, zadrapałem się tylko w rękę. Poza tym w porządku.

Inspektor z Polski zdejmował uniform z restauracji. Przyleciał tego ranka. To prawda, że trudno było załatwić funkcjonariuszowi obcych organów ścigania pozwolenie na wjazd do Ameryki, ale dla ludzi takich jak Harold Middleton i jego anonimowi zwierzchnicy biurokracja nie istniała.

Padło dowiedział się, że Faust przyczynił się do śmierci jego kochanki M.T. Connolly, i zadzwonił do Middletona, upierając się, że przyjedzie pomóc odnaleźć Fausta i jego współników. Middleton uprzedził go, że ekstradycja sprawców do Polski nie wchodzi w grę, lecz Padło chciał przekazać Amerykanom dowody w sprawie morderstwa Jedynaka, które mogły się przydać oskarżeniu w Stanach.

Middleton podszedł do Kalmbacha i mając po bokach agentów FBI, nałożył kajdanki Dickowi Chambersowi, który wpatrywał się w pułkownika.

- Przecież... Pożar. Miałeś... - Urwał.

- Miałem umrzeć? Razem z tysiącem niewinnych ludzi? No więc dziś po południu pirotechnicy rozbroili bombę i wypompowali benzynę. Przed przygotowaniem zasadzki musieliśmy jednak zyskać na czasie. Gdyby nie wybuchł pożar, bałem się, że wpadniesz w panikę i wykręcisz się od wszystkiego. Dlatego wznieciliśmy kontrolowany pożar na budowie obok sali koncertowej. Żadnych zniszczeń, za to mnóstwo dymu. Wystarczy, żeby informacja pojawiła się w radiu i telewizji. Jeżeli cię to interesuje, koncert odbył się zgodnie z planem. Nawiasem mówiąc, utwór Chopina okazał się całkiem dobry... Dałbym mu pięć z minusem. Jestem pewien, że podobał się twojemu szefowi. Ciekawe, że dałeś mu bilet, wiedząc, że zginie w pożarze. Szkoda, że nie widziałeś jego miny, kiedy mu powiedziałem, kto jest za to odpowiedzialny.

Chambers wiedział, że powinien siedzieć cicho. Nie mógł się jednak powstrzymać.

- Skąd wiedziałeś?

- Historyjka, że mózgiem wszystkiego jest Faust, wydawała mi się kompletną bzdurą. Nie wierzyłem w to. Był zbyt beczelny i impulsywny. Miałem przeczucie, że stoi za tym ktoś inny. Ale kto? Poprosiłem kilku kolegów, żeby sprawdzili w komputerach, kto z tej części Waszyngtonu, do której wydzwaniał Faust, w ciągu ostatnich kilku miesięcy podróżował do Polski i Włoch. Znaleźli paru dyplomatów, paru biznesmenów. I ciebie, pracującego w agencji, która rzekomo przez przypadek wpuściła do kraju Vukasina. Dowiedziałem się też, że dzwoniłeś do Nowakowskiego do aresztu, a dzień później zaproponował, że odda rękopis Chopina. Byłeś podejrzanym numer jeden. Ale musieliśmy się upewnić. I wypłoszyć z kryjówki Fausta. Dlatego wystawiliśmy na przynętę fałszywego świadka. Józefa Padłę, którego nie znałeś.

- To śmieszne. Sam nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem, Dick. Kiedy tylko miałem telefon z Polski o pierwszym rękopisie Chopina, nabrałem podejrzeń i zadzwoniłem do kilku osób. Wywiad z północnej Europy sygnalizował możliwość akcji terrorystycznych przygotowanych w Polsce i Rzymie. Muzyka mogła mieć z tym coś wspólnego. No więc pojechałem przekonać się co i jak. Trop zaprowadził nas do ataku gazowego w Baltimore. Przejeśliśmy chemikalia i wydawało się, że na tym koniec i trzeba jeszcze tylko odszukać Fausta. Ale którejś nocy zacząłem się zastanawiać. Atak jako zemsta za mieszanie się do wewnętrznych spraw na Bałkanach? Nie, w czystkach etnicznych nie chodziło o fundamentalizm religijny, ale o ziemię i politykę. To mi nie pasowało. Być może Vukasin uwierzył w ideologię, ale główni gracze, Faust i Rugova? Nie, im chodziło tylko o pieniądze. A zaszyfrowana w rękopisie formuła gazu? Takie rzeczy guru wywiadu uwielbiają najbardziej i niczego poza nimi nie widzą. Ale przy dzisiejszej kryptografii i kodowaniu informacji są znacznie

lepsze sposoby na przekazanie formuły z kraju do kraju. Nie, działo się coś więcej. Tylko co? Uznałem, że muszę przeanalizować sytuację inaczej. Spojrzałem na nią tak, jak patrzę na rękopisy, żeby zdecydować, czy są autentyczne: ogarnąłem całość. Czy to wyglądało na autentyczny zamach terrorystyczny? Nie. Następne logiczne pytanie brzmiało: czemu miał służyć plan fałszywego ataku gazowego? Cel był tylko jeden: ściągnąć z emerytury mnie i pozostałych Ochotników.

Oczywiście oto wam chodziło. Żeby nas wyeliminować. - Ale po co, Harry? - odezwał się Kalmbach. - Z powodu prawie miliarda dolarów w skradzionych dziełach sztuki, obrazach, rzeźbach i rękopisach - skradzionych przez naziistów w całej Europie i ukrytych w kilkunastu kościołach i szkołach w Kosowie, Serbii i Albanii. Tak jak w Świętej Zofii. Wiedzieliśmy, że Chambers na krótko wyjechał na Bałkany. Musiał poznać Rugovę i dowiedzieć się o skarbie. Potem sfinansował całą operację i wynajął Fausta, żeby ją nadzorował. Minęło kilka lat i zapragnęli zarobić, sprzedając zbiór prywatnym kolekcjonerom. Ale Rugova ich uprzedził - niestety był nieostrożny. Nie zatarł za sobą śladów i rozeszły się plotki o skarbach. Wkrótce Ochotnicy zaczęli kojarzyć jedno z drugim. Tak więc Chambers i Faust musieli wyeliminować Rugovę -i nas. Ale żeby uniknąć podejrzeń, musieli to zrobić pod przykrywką prawdziwego zamachu terrorystycznego. Sprowadzili tu Vukasina i jego bandę. Kiedy poznałem jego motyw, zacząłem szukać najlepszego miejsca, jakie mógłby wybrać, żeby nas wszystkich zabić. Odpowiedź była jasna: zamach na salę koncertową.

Middleton odwrócił się do Chambersa.

- Nie byłem zdziwiony, że w Departamencie to ty zaproponowałeś zorganizowanie tego koncertu, Dick.

- To wszystko bzdury. Jeszcze o tym usłyszysz.

- W tym pierwszym się mylisz. W drugim masz rację: będę świadkiem na twoim procesie, więc usłyszysz jeszcze dużo więcej. Ty też.

Kalmbach i dwaj agenci odprowadzili Chambersa i przybocznych Fausta, aby ich aresztować.

Middleton i inspektor Józef Padło zostali sami na rogu chłodnej ulicy.

Zaczynało mżyć.

- Józef, dziękuję ci za to, co zrobiłeś.

- Inaczej nie mogłem postąpić. A więc... koniec.

- Niezupełnie. Brakuje jeszcze odpowiedzi na kilka pytań. Ciekawi mnie zwłaszcza Eleana Soberska. Była z Vukasinem. Ale wydaje mi się, że chodziło jej o coś więcej. Chyba miała jakiś własny plan.

Przypomniał sobie, jak tuż przed śmiercią powiedziała: „Wiemy o twoich związkach z Faustem”.

- Ach - rzekł Padło - więc skarbem interesuje się ktoś jeszcze. Może ktoś, kto

ma swoją część i chciałby zwiększyć udziały w rynku.

- Tak sądzę.

- Jeden z ludzi Rugovy? Middleton wzruszył ramionami.

- Wątpię. To byli gówniarze. Myślę o kimś ustawionym znacznie wyżej. Tak wysoko jak Chambers, ale w Rzymie albo Warszawie czy Moskwie.

- Zamierzasz się dowiedzieć, kto to jest?

- Mam tę sprawę we krwi. Znasz to wyrażenie?

- Teraz już znam.

- Będę to ciągnął, dopóki się nie przekonam.

- Chcesz to zrobić sam - spytał polski policjant z przebiegłym błyskiem w oku

- czy z pomocą paru przyjaciół?

Middleton nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Tak, rozmawialiśmy o zejściu się Ochotników.

Padło poszperał w kieszeniach i wyciągnął paczkę sobieskich. Wsunął papierosa do ust, ale podejrzliwie zmarszczył brwi.

- W Ameryce to dozwolone? Middleton parsknął śmiechem.

- W parku? Na razie to jeszcze legalne.

Padło zapalił, osłaniając zapałkę przed wilgocią. Zaciągnął się głęboko.

- Jak myślisz, gdzie są skradzione dzieła sztuki?

- Faust i Chambers prawdopodobnie mają kilka kryjówek na całym świecie.

Znajdziemy je.

- I jak sądzisz, co w nich odkryjemy?

- Jeżeli Chopin może być jakąś wskazówką, będzie to coś oszałamiającego.

Nawet sobie nie wyobrażam.

Middleton zerknął na zegarek. Minęła północ, ale w końcu byli w północno-zachodnim Waszyngtonie, oazie yuppie w mieście, które często śpi.

- Napijesz się ze mną? Znam bar, gdzie mają niezłą polską wódkę.

Inspektor uśmiechnął się ze smutkiem.

- Dziękuję, chyba nie. Jestem zmęczony. Zrobiłem swoje. Jutro wyjeżdżam.

Poza tym muszę wstać, żeby się z kimś pożegnać. Może wiesz, gdzie to jest?

Pokazał Middletonowi kartkę z adresem cmentarza w Alexandrii w Wirginii.

- Oczywiście, pokażę ci drogę. Ale wiesz co... Może razem tam pojedziemy?

Moim samochodem.

- Chciałbyś?

- Józefie, mój przyjacielu, to będzie dla mnie zaszczyt.